10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

La Vuelta a España

KOLARSKA CORRIDA

ALVARO CALLEJA

La Vuelta a España

KOLARSKA CORRIDA

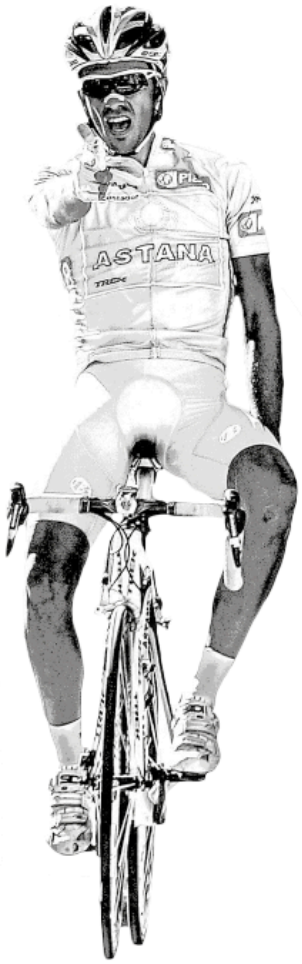
ASTANA

ALVARO CALLEJA

La Vuelta a España

KOLARSKA CORRIDA

TŁUMACZENIE: BARBARA BARDADYN

KRAKÓW 2020

Wyścig, którym należy się cieszyć
Alberto Contador

Jeśli Tour de France zmienia twoje życie, to Vuelta a España sprawia, że się nim cieszysz. Zwłaszcza gdy jesteś hiszpańskim kolarzem. Każdy wyścig wymaga poświęcenia, nie tylko po to, aby wygrać, lecz także po to, aby tam być, wykonać swoje zadanie i dotrwać do końca, ale podczas Vuelty to poświęcenie przeżywa się w sposób szczególny. Wyścig staje się o wiele znośniejszy, ponieważ kibice wspierają cię każdego dnia, na każdym podjeździe, w każdej miejscowości, przez którą się przejeżdża. Vuelta jest przyjęciem, na które wszyscy kolarze czują się zaproszeni i są szczęśliwi, że mogą wziąć w nim udział.

Po przejechaniu mojej ostatniej Vuelty, w 2017 roku, mogę o tym wyścigu powiedzieć coś, czego nie powiedziałbym o żadnym innym: ważniejsze było przejechanie go tak, jak to zrobiłem, niż ponowne wygranie klasyfikacji generalnej. Bardzo dużo znaczyło dla mnie to, że mogłem pożegnać się z zawodowym kolarstwem w ten sposób, po raz ostatni zwyciężając na Angliru, rywalizując uprzednio na każdym etapie tak, jak zawsze lubiłem, ciesząc się jazdą i próbując zaoferować kibicom coś wyjątkowego. Tego wspomnienia nie zamienię na nic innego.

Vuelta stała się w kalendarzu wyścigiem niezastąpionym, wyścigiem, który należy już do historii kolarstwa, ale jednocześnie potrafił ewoluować, aby w końcu zyskać swój indywidualny charakter. Wejście na podium Vuelty posiada wartość, która rośnie z roku na rok, a tym, którzy to osiągają, daje w peletonie status porównywalny tylko z wygraniem

innego wielkiego touru, mistrzostw świata albo któregoś z pięciu Pomników Kolarstwa.

Vuelta a España daje również możliwość zapoznania się z historią kolarstwa w ogóle, a przede wszystkim z historią kolarstwa hiszpańskiego, niemalże zawodnik po zawodniku. I właśnie dlatego czuję szczególną dumę, że jestem niewielką częścią tej spuścizny, która należy do wszystkich kibiców. Mam nadzieję, że lektura tej książki sprawi Wam taką samą przyjemność jak mnie pisanie tych kilku skromnych akapitów.

Alberto Contador

Zapomniany ojciec i tragiczny bohater

Hiszpania jest krajem bez pamięci, miejscem, w którym ludzie pędem kierują się ku przyszłości, nie myśląc o przeszłości, pogardzając tym, co dawne, plując na idoli, błyskawicznie wymazując nazwisko tego, który przynosił nam radość, gdy nie jest nam już do niczego potrzebny. Dzieje się tak we wszystkich dziedzinach, ale w sporcie to zamiłowanie do opluwania mistrzów sięga zenitu. Oczywiście dzieje się tak także w kolarstwie – religii, która jednak potrafiła, a nawet wciąż potrafi, z większym sentymentem dbać o to, co dawne, o mistycyzm, który stworzył ten niebezpieczny i piękny sport. W kolarstwie legendy często wyciągane są ze skrzyni wspomnień, aby porównywać je z dzisiejszymi czasami, udowadniając, że to, co pachnie starością, ostatecznie zawsze, ale to zawsze jest górą. Lecz mimo to wciąż istnieją postaci zapomniane. Jak na przykład pomysłodawca kolarskiego wyścigu Dookoła Hiszpanii. O ile po drugiej stronie Pirenejów Henri Desgrange, wszechpotężny ojciec Tour de France, jest wielbiony, tak tutaj Clemente López-Dóriga (1895–1957) zagubił się wśród kart historii.

Syn zamożnych rodziców, wychowany nad Morzem Kantabryjskim López-Dóriga, santanderyjczyk, miłośnik rowerów, jest odpowiedzialny za to, że dzisiaj wszyscy emocjonujemy się pod koniec każdego lata. W młodości uczestniczył w wyścigach pod pseudonimem „Lapize” (od nazwiska zwycięzcy Tour de France w 1910, który wspinając się na Tourmalet, pod adresem organizatorów krzyczał „Mordercy!”), aby uchronić się przed gniewem rodziców. Miał zakaz jazdy na rowerze, ponieważ jeden z jego pięciu braci,

Alfredo, zginął, zjeżdżając z La Pajosy. A później był pomysłodawcą, człowiekiem odpowiedzialnym za to, żeby Vuelta, ta walizka wspomnień z kołami, w ogóle powstała. Clemente, człowiek mający rozległe kontakty i mocno zaangażowany w kolarstwo, przeprowadził się do Madrytu z jasnym pomysłem w głowie: chciał, żeby Hiszpania miała swój własny Tour, swoje własne Giro.

Przy ulicy Conde de Peñalver, gdzie zamieszkał w stolicy, zaczął tworzyć w głowie zawody, które nie miały żadnej przyszłości, ponieważ Hiszpania była wtedy biednym krajem prawie bez hoteli i ze zniszczonymi drogami. Ale Lópezowi-Dóridze – który organizował już wiele wyścigów w swoim regionie i który swoimi kolarskimi sprawozdaniami wywierał presję, aby „La Pulga" Trueba, specjalista od jazdy w górach, wystartował w Tour de France – było wszystko jedno. Żywił przekonanie, że to, o czym śnił nocami, musi stać się rzeczywistością. Ze swoim pomysłem zaczął odwiedzać redakcje gazet, wszak w ten sposób narodziły się Tour i Giro, za każdym razem otrzymując odpowiedź negatywną. Aż spotkał Juana Pujola, redaktora naczelnego dziennika „Informaciones", który go wysłuchał i przystał na jego pomysł.

Ale szczęścia próbowano już znacznie wcześniej. Narciso Masferrer, dziennikarz „El Mundo Deportivo", chciał zorganizować pierwszy wyścig już w 1913 roku, lecz zmęczył się obojętnością, z jaką spotykał się w stolicy. W taki sposób 12 listopada 1912 roku dziennik „La Vanguardia" ogłosił koniec projektu, który nie był nawet projektem: „Dzisiaj wieczorem odbędzie się sesja Centralnego Komitetu Hiszpańskiego Związku Welocypedystów, na której zostanie uzgodniona linia działania wobec nieudanej propozycji stworzenia wyścigu Dookoła Hiszpanii". Istniał również poprzednik, Grand Prix Republiki, wyścig zainaugurowany w 1932 roku, który składał

się tylko z jednego etapu. Dopiero w 1935 kolarze pokonali pięć etapów na trasie Éibar–Madryt–Éibar. Wojna domowa „zabiła” te zmagania rok później.

Ale życie jest tak piękne, że czasem marzenia ostatecznie się spełniają. Nie ma znaczenia, że to nie twój projekt odniósł sukces, wszak marzenia nie zwracają uwagi na nazwiska i podpisy. To, o czym myślał Masferrer, co wyobrażał sobie López-Dóriga, co wsparł Pujol, stało się rzeczywistością 29 kwietnia 1935 roku, kiedy o godzinie 7:45 przy madryckim dworcu Puerta de Atocha burmistrz miasta machnął zieloną chorągiewką – kolor, który wyznaczył pierwszą sekundę Vuelty, kolor nadziei, której nigdy nie stracili López-Dóriga i Pujol. Nigdy się nie poddali wobec przeszkód, na jakie natrafili na drodze prowadzącej ich aż do tego miejsca.

A przecież nikt nie wierzył w ich pomysł. „Jutro, w poniedziałek, do wyścigu stanie 40 zgłoszonych zawodników, gotowych pokonać 3391 kilometrów, jakie liczy trasa złożona z 14 etapów. Dzięki entuzjazmowi okazanemu przez kierownictwo dziennika »Informaciones« dojdzie to tych zawodów, podczas gdy uważano je za niewykonalne w naszym kraju”, napisał dzień przed wyścigiem dziennik „ABC” na stronie 60. Ta sama gazeta dzień po rozpoczęciu nowych zawodów poświęciła temu wydarzeniu okładkę, na której znalazła się grupa wychudzonych kolarzy w czapkach, okularach lotniczych i apaszkach na szyi, jadących na rowerach po stołecznych ulicach. Vuelta, która wydawała się niemożliwa do zorganizowania, właśnie się rozpoczęła.

Trzydzieści dwa lata później niż Tour de France i 26 lat po Giro d’Italia, Hiszpania powitała zawody, które miały się zakończyć 15 maja w Madrycie, po odwiedzeniu Valladolid, Santander, Bilbao, San Sebastián, Saragossy, Barcelony, Tortosy, Walencji, Murcji, Granady, Sewilli, Cáceres i Zamory. Między

reklamami koszulek i win w gazetach pierwszego dnia wyścigu w centrum uwagi znalazł się Betis (drużyna *verdiblancos* zdobyła właśnie mistrzostwo Hiszpanii) oraz Vuelta. Dzienniki zajmowały się przedstawianiem tych 32 Hiszpanów i 18 obcokrajowców, podzielonych na dwie grupy sponsorowane przez Orbeę i BH, którzy stawili się na spotkanie z historią. To właśnie spośród cudzoziemców wyłonił się zwycięzca tej pierwszej edycji: Gustaaf Deloor, Belg, który wygra również w następnym roku – to dwa z trzech największych sukcesów w jego karierze (trzeci to zwycięstwo etapowe podczas Tour de France w 1937).

Deloor był właścicielem pomarańczowej koszulki (taki kolor zakładał wtedy lider wyścigu), ale kibice zakochali się w jego głównym rywalu, Mariano Cañardo, Nawaryjczyku z urodzenia i Katalończyku z wyboru, dziewiątym na ostatnim Tour de France i triumfatorze takich imprez, jak wyścig Dookoła Katalonii czy Dookoła Kraju Basków. Nie odpowiadał on prototypowi hiszpańskiego kolarza: niskiego i chudziutkiego wspinacza, wolniejszego niż pijany stary żółw. Cañardo, syn funkcjonariusza Gwardii Cywilnej, miał umięśnione ciało i wiedział, jak wykorzystać swoją szybkość. „L'Auto", pismo, które było pomysłodawcą Tour de France, rok wcześniej przedstawiło go w ten sposób: „Ze względu na styl i umiejętności to kolarz bardziej belgijski niż hiszpański, ponieważ jest silny, krzepki i wytrzymały".

Zewnętrzna siła Cañardo szła w parze z siłą wewnętrzną, z charakterem wykutym na bazie tragedii. Mając zaledwie sześć lat, stracił ojca, a jako 13-latek został sierotą i musiał przenieść się do barcelońskiej dzielnicy Sant Andreu, gdzie mieszkała jego siostra. Pochodzący z Olite (Nawarra) i wychowywany w Huesce, gdzie od dziecka był pasterzem, to właśnie w stolicy Katalonii znalazł swoje miejsce na ziemi. Od jednego warsztatu

stolarskiego do drugiego, zaczepiając się też w fabryce produktów chemicznych i w sklepie z żaluzjami, zarabiał na życie, aż na jego drodze pojawiło się kolarstwo. Stało się to przypadkiem, ponieważ Cañardo, który właśnie rozpoczął pracę w zakładzie stolarskim pod nazwą Miravent y Llambi, zaprzyjaźnił się z jednym z kolegów, wielkim miłośnikiem bicykli, który przekonał naszego bohatera, aby też sprawił sobie rower. Kupił go za trzysta peset i były to najlepiej zainwestowane pieniądze w całym jego życiu. Nauczył się jeździć, upadając, zderzył się nawet z samochodem. W końcu zapisał się do klubu Ciclos Horta, żeby – niedługo potem – zgłosić się do udziału w Copa de los Pepitos, gdzie otarł się o pierwszą dziesiątkę. Jego przyszłość była już zapisana.

Kolekcjonując wyścigi Dookoła Katalonii (w trakcie kariery triumfował w tej imprezie siedem razy), wygrywając wyścig Dookoła Kraju Basków, Getxo i wiele innych oraz po debiucie w Tour de France, Mariano Cañardo otarł się o zwycięstwo w pierwszej Vuelcie w historii. Przegrał o niewiele ponad 12 minut, ponieważ od początku uwzięła się na niego kapryśna fortuna. Już na pierwszym etapie uciekał razem z innym Belgiem, Antoine'em Dignefem, przebił oponę, ponownie włączył się do ucieczki i przegrał sprint, ponieważ koło jego roweru zahaczyło o szyny tramwajowe. Katalończyk z Nawarry stracił równowagę i to wystarczyło, żeby jego rywal wyprzedził go o pół koła, odbierając mu zwycięstwo.

A dwa etapy później, podczas trzeciego, znowu przebił oponę w trakcie pościgu za ucieczką przez kantabryjskie góry. Odzyskał stracony czas za sprawą niesamowitego tempa i dogonił rywali. Jednakże ponownie przebił oponę. „I znowu dosięgnął swoich przeciwników, jadąc 50 kilometrów na godzinę. W tym momencie Cañardo bardziej niż kolarzem był niebieskim pociskiem", relacjonował przez telefon specjalny

wysłannik „ABC” do redakcji swojej gazety. Zostało dziesięć kilometrów, a o zwycięstwo tego pełnego emocji dnia rywalizowało sześciu zawodników, pierwszego wielkiego dnia Vuelty. I tak, razem, zdenerwowani, przyjechali do Bilbao, gdzie zakończyła się batalia, którą prowadzili przez cały dzień. Końcowy odcinek składał się z trzech okrążeń i cały był wypełniony kibicami. Przed drugim przekroczeniem mety Cañardo przyspieszył, minął wyznaczoną linię i się zatrzymał, sądząc, że tu kończy się trzeci etap. Uśmiechając się, przekonany, że wygrał, zobaczył swoich pięciu rywali przejeżdżających z największą szybkością. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że się pomylił. Na powrót wsiadł na siodełko i rzucił się w pogoń za uciekającymi. W nogach miał tyle siły, że ich dogonił, chociaż po prawie siedmiu godzinach pedałowania na finiszu był dopiero trzeci.

Dwa nieszczęścia na dwóch z trzech etapów nie pozwoliły Cañardo na radość. Na domiar złego musiał jeszcze patrzeć, jak jego pomocnicy dzień po dniu wycofywali się z wyścigu i niedługo potem został jedynie w towarzystwie Salvadora Cardony oraz Włocha Paola Bianchiego, który na dziewiątym etapie przewrócił się, potrącony przez samochód jadący w przeciwnym kierunku. „Nie mogę zostawić Cañardo samego”, powtarzał raz za razem włoski zawodnik. Pedałując z całą mocą, jaka została mu w drugiej nodze, i trzymając kierownicę nieuszkodzoną ręką, Bianchi był gotowy na wszystko, byle tylko nie zostawić bez wsparcia swojego lidera, który wcześniej – w końcu – wygrał piąty etap i potrzebował pomocy.

Deloor był daleko przed nim, miał ponad osiem minut przewagi, podczas gdy do zakończenia wyścigu pozostały już tylko trzy etapy. Ale Cañardo nie miał zamiaru się poddawać. Nie liczył się jednak z tym, że znowu spotka go pech, tym razem podczas dnia przerwy w Sewilli, tuż przed trzema ostatnimi

etapami. Słuchając transmisji z meczu Niemcy – Hiszpania, Cañardo napchał się owocami i przez całą noc wymiotował, co sprawiło, że następnego dnia miał tylko tyle siły, żeby nie stracić więcej czasu. A na przedostatnim etapie szczęście kolejny raz się od niego odwróciło, ponieważ w okolicy Zamory, gdzie znajdowała się meta, zerwał mu się łańcuch i musiał pożyczyć rower od jednego z kibiców, by móc dokończyć odcinek. Stracił prawie pięć minut, wypadając z podium klasyfikacji generalnej.

Z urażoną dumą Mariano Cañardo, którego pod względem woli walki nikt nie mógł pokonać, na ostatni etap, który kończył się w Madrycie po 250 kilometrach, przygotował osobistą zemstę. Jego wybieg polegał na szalonym zjeździe po mokrej drodze z przełęczy Los Leones w sercu pasma górskiego Guadarrama. Nie udało mu się zaskoczyć Deloora, który przykleił się do jego koła, ale odrobił straty do pozostałych, zajmując ostatecznie drugie miejsce w klasyfikacji generalnej na oczach dziesiątek tysięcy kibiców zgromadzonych na Casa de Campo.

Jednakże jego osobista Vuelta jeszcze się nie skończyła. Niespełna 24 godziny po zakończeniu pierwszego hiszpańskiego wyścigu w historii, Nawaryjczyk o katalońskim sercu, o czym opowiedział w 1978 roku na łamach dziennika „Dicen”, udał się do więzienia, żeby odwiedzić Lluísa Companysa, prezydenta Generalitat[1], siedzącego za kratkami za – owszem – ogłoszenie krótkotrwałej niepodległości Katalonii. Cañardo porozmawiał z nim, podarował mu trofeum za drugie miejsce i bukiet kwiatów, a wyszedł stamtąd z książką polityka zatytułowaną *Catalunya-Companys* z dedykacją: „Mojemu przyjacielowi i wspaniałemu sportowcowi, zza krat, Lluís Companys”. Pięć lat później polityk został rozstrzelany. Czterdzieści siedem lat

później umarł Mariano Cañardo, pierwsza legendarna postać wyścigu Dookoła Hiszpanii.

Zerwanie narodowego układu

„To był zamach stanu, rewolucja, rozłam”. To słowa Juliána Berrendero, kolarza o niebieskich oczach, po drugiej Vuelcie w historii i kilka tygodni przed wybuchem wojny domowej. Był 1936 rok i kolarstwo miało właśnie za sobą drugi rozdział wyścigu pełnego układów, zdrad, polarnego chłodu, ulewnych deszczy, zalanych dróg i dziwnych incydentów na trasie (Cañardo potrącił psa, a muł przeszkodził dwóm innym kolarzom). Ponownie wygrał Gustaaf Deloor, Belg, który znowu rozgromił wszystkich podczas niewymagającego wyścigu (zaplanowanego w taki sposób, aby zapobiec rezygnacjom uczestników) i trwającego już trzy tygodnie.

Bohater pierwszej edycji, Mariano Cañardo, przestał się liczyć już prawie na początku, ale – wierny swemu wojowniczemu charakterowi – uparł się, by też zostać główną postacią. Problem polegał tylko na tym, że nie wybrał on gruntu sportowego, lecz pozasportowy, ogłaszając się królem peletonu z uwagi na szacunek, jaki wzbudzało jego nazwisko. Mimo że władza sponsorska znowu została podzielona między BH i Orbeę, Nawaryjczyk dołożył wszelkich starań, aby stworzyć wspólny front Hiszpanów, nie zwracając uwagi na to, co znajdowało się na ich koszulkach. Nie chciał, żeby powtórzyło się to, co rok wcześniej, gdy Vueltę wygrał obcokrajowiec. Ponieważ po dwóch pierwszych fatalnych etapach sam nie liczył się już w klasyfikacji generalnej, wybrał walencjanina Antonio Escurieta, drugiego ze stratą niemal ośmiu minut i 38 sekund do lidera Deloora po czwartym etapie, jako wspólnego lidera hiszpańskich kolarzy. Wszyscy, niezależnie od tego, przez kogo byli sponsorowani, mieli go wspierać.

Jednakże w sporcie nie brakuje zdrad. Zerwanie układu zaproponowanego przez Cañardo zajęło trochę czasu, ale nadszedł dzień, w którym niepisane zasady tamtego porozumienia między Hiszpanami zostały naruszone. Doszło do tego podczas kontrowersyjnego 16. etapu, między Asturią a Galicją, na trasie między romantycznym Gijón a uroczym Ribadeo. Dzień i tak już był ciekawy, ponieważ manifestacja asturyjskich pracowników aż dwukrotnie zatrzymywała peleton, powodując kilkugodzinne opóźnienie, łącznie z zaimprowizowanym śniadaniem w Avilés. Trzeba to było zobaczyć, by uwierzyć.

Lecz na tym się bynajmniej nie skończyło. Madrytczyk José Arias został wykluczony z wyścigu za to, że chwycił się furgonetki, a zbuntowany Bask Francisco Goenaga wykazał się impertynencją, „zapominając" osłaniać Escurieta i odłączając się od grupy. To zdenerwowało Cañardo, który w najczystszym stylu Lance'a Armstronga wystrzelił do niego jak z procy. Podnosząc ręce i krzycząc ile sił w płucach, Mariano nakazał mu powrót do reszty. Nieposłuszny Goenaga, zmęczony zachowaniem wicemistrza poprzedniej edycji, od razu udał się do sędziów wyścigu. Został przez nich jednak zignorowany, więc wrócił do grupy. I tym razem nie mógł nawet zyskać kilku metrów, ponieważ Cañardo mocno trzymał go za koszulkę. Tak opisał to dziennik „AS": „Goenaga nie zrozumiał tej gry i zaczął przyspieszać, za co został brutalnie skarcony przez Antonio Escurieta. I trochę bardziej niż brutalnie przez Mariano Cañardo".

Bunt pomocników Escurieta mógłby się skończyć na tym akcie sprzeciwu Goenagi, ale do rebelii wkrótce przyłączyło się kolejnych dwóch, i to jednych z najlepszych: Kantabryjczyk Fermín Trueba i madrytczyk Julián Berrendero, wielkotourowiec, który niedługo potem zostanie nazwany we

Francji „Czarnym o niebieskich oczach” ze względu na kontrast jego ciemnej skóry i błękitnych oczu. Oni dwaj zaczęli wywracać wyścig do góry nogami, począwszy od 19. etapu, tego, który organizatorzy zagrozili zamianą na jazdę indywidualną na czas z powodu apatii podczas poprzedniego, przejechanego ze średnią prędkością niewiele większą niż 24 kilometry na godzinę. Wygrał go Trueba, pokazując, że jest naprawdę mocny, co oburzyło wielu, przekonanych, że sporo zawodników było w lepszej formie niż pomocnik Escurieta, który nie posiadał ducha walki Cañardo i sprawiał, że ta edycja wyścigu stała się po prostu nudna.

Jednakże tego samego wieczoru w hotelu Hiszpanów zatrzymał się także Óscar Leblanc, szanowany były kolarz z ważnymi zwycięstwami na koncie. I podczas gdy Trueba i Berrendero kręcili się po kwaterze, podszedł do nich, aby zapytać, dlaczego, do diaska, nie starają się bardziej. Powód tak go zaskoczył, że poprosił ich, aby rzucili w diabły to, co zostało ustalone, żeby złamali dane słowo. I żeby nie przejmowali się konsekwencjami, jakie mógłby pociągnąć za sobą ich akt nieposłuszeństwa, bo on zajmie się wszystkim, co może ich spotkać w odpowiedzi na jego prośbę.

„I teraz już wiemy, dlaczego tyle etapów odbyło się po cichu, niemal na palcach. Byli chorzy. Zabroniono nawet kichać. Najmniejszy gwałtowny ruch mógł pogrążyć Escurieta. Mieliśmy pewność, że dojdzie do tej katastrofy i nikt nie będzie mógł powiedzieć, że jej nie zapowiedzieliśmy. Nie sądziliśmy jednak, że niecierpliwcy wykorzystają etap Verín–Zamora, żeby rozpętać burzę. Podejrzewaliśmy, że między Verín a Zamorą »giganci« będą się przygotowywać przed ostatnim etapem Vuelty, jednocześnie opiekując się chorymi. Kolejny raz. Na pożegnanie”. W ten sposób dziennik „ABC”, który wspaniale relacjonował pierwsze dwie edycje Vuelty, opisywał, jak odkrył

drugie dno intrygi, scenariusz tych dziwnych zawodów, bez emocji i właściwie bez rywalizacji.

Nie przejechano nawet 10 kilometrów tego 20., przedostatniego etapu, kiedy Fermín Trueba i Julián Berrendero wystrzelili jak opętani. Walka nie skończyła się aż do Zamory, 200 kilometrów dalej. Ich tempo wytrzymało tylko dwóch kolarzy: Belg Gustaaf Deloor oraz Włoch Antonio Bertola. Za nimi ruszył także Alfons Deloor, brat lidera, z bezecnym pomysłem, aby zniszczyć zagubionego Escurieta, który niczego nie rozumiał i ograniczał się do trzymania się koła Cañardo. Upływające minuty dodawały animuszu czterem odważnym na czele, aż przebite opony odłączyły dwóch – tych, którzy wszystko rozpoczęli, zbuntowanych, którym tamtego dnia szczęście sprzyjało, ponieważ po tym zdarzeniu zostali doprowadzeni do czołówki przez Alfonsa Deloora i jego pomocnika Alphonse'a Schepersa, ścigających uciekinierów. Dzięki nim Trueba i Berrendero uratowali sytuację. I tak dojechali do mety, wyprzedzając o 16 minut i 42 sekundy Escurieta, który spadł na piąte miejsce w klasyfikacji generalnej, gdzie teraz rządzili trzej obcokrajowcy, Berrendero był czwarty ze stratą niewiele ponad pięciu minut do podium.

„Berrendero ruszył po miejsce Escurieta i osiągnął to we wspaniały sposób. Był to etap pełen nerwów, który sprawił, że zapomnieliśmy o wielu, wielu godzinach senności. Ale był to również etap, który zapisał się w historii jako ewidentne rozbicie hiszpańskiej reprezentacji jako zespołu. Berrendero i Trueba nas oszukali. Podczas wielu etapów udawali, że są wyczerpani. Czasami odnosiło się wrażenie, że za chwilę wydadzą ostatnie tchnienie. A ci mężczyźni niespodziewanie mocniej ścisnęli kierownicę, zacisnęli zęby i pofrunęli… Bo to, co zrobili, było prawdziwym fruwaniem", relacjonował

reporter „ABC” z charakterystycznym patosem, jakiego zawsze dostarczał ten wspaniały sport.

A jeśli ktoś myślał, że ten brak lojalności Kantabryjczyka, madrytczyka, walencjanina i Nawaryjczyka, niczym w bajce, nie będzie miał żadnych konsekwencji, wielce się mylił. Miano się o tym przekonać bardzo szybko, bo już następnego dnia, ostatniego dnia Vuelty 1936. Żaden Hiszpan nie stanął na podium na przepełnionym stadionie Metropolitano – tym prawdziwym, miejscu kultu każdego porządnego kibica Atlético – ale intryga dostarczyła równie emocjonującej, co nieprzewidywalnej batalii. Mogło się zdarzyć wszystko. I tak też było.

Na podjeździe pod przełęcz San Rafael zaatakował osławiony duet, gotowy kolejny raz zniszczyć ustalony plan. Obaj kolarze chcieli wygrać klasyfikację górską, której liderem w tamtym momencie był Salvador Molina, heroicznie wytrzymujący natarcia swoich walecznych rywali. W drodze do Madrytu Hiszpanie ciągle się atakowali, ku uciesze zajmujących dwa pierwsze miejsca braci Deloorów, uprzywilejowanych obserwatorów tej wojny na śmierć i życie. Najsprytniejszym z lokalnych zawodników okazał się drobny Emiliano Álvarez, który wystrzelił na zjeździe do Madrytu, aby cieszyć się ze zwycięstwa na stadionie *rojiblancos*. Oczywiście miał na to przyzwolenie Berrendero i Trueby, wszak jako jedyny się od nich nie odwrócił. Za nim, z ponad dwuminutową stratą, przyjechali dwaj wielcy „artyści” tej edycji, a 15 sekund później Cañardo, Belgowie i spółka.

Po zakończeniu Vuelty polemika trwała w najlepsze. Teraz w roli głównej znalazły się nagrody. Układ Cañardo zawierał podział między wszystkich Hiszpanów, którzy domagali się, aby pieniądze zdobyte przez Berrendero i Truebę zostały włożone do wspólnego worka. Oni jednak nie myśleli tak samo

i odmówili, ponieważ układ był już zerwany. W redakcji „Informaciones”, gdzie toczyła się dyskusja, atmosfera zrobiła się gęsta, pojawiły się wyzwiska i doszło nawet do rękoczynów między kolarzami. Rezultat był taki, że pod eskortą Gwardii Cywilnej musiał stąd wyjść Julián Berrendero, najbardziej podbudowany człowiek Vuelty, który wygra jej trzecią edycję, w 1941 roku – ze względu na trwającą wojnę domową wyścig zorganizowano dopiero pięć lat później – a także w 1942.

Pomiędzy swoim udziałem w wyścigu w 1936 a dwoma zwycięstwami Berrendero przebywał na uchodźstwie, a potem został aresztowany. Mieszkał we Francji, w Pau, gdzie pozostał po Tour de France w 1936, który ukończył na 11. miejscu, i otworzył sklep z rowerami. Trzy lata później, w 1939, mając dosyć przebywania z dala od swojej narzeczonej, rodziny i przyjaciół, postanowił wrócić do Hiszpanii. Gdy był już blisko Madrytu, Berrendero został schwytany na peronie przedostatniej stacji podczas podróży po zdewastowanym i smętnym kraju. Następne 18 miesięcy życia spędził w obozie koncentracyjnym.

Od czasu udziału w Tour de France Berrendero potępiał wszystko, co działo się w Hiszpanii, pokazując, że ojczyzna go nie obchodzi. Za to zachowanie spadła na niego krytyka ze strony niektórych mediów, jak gazety „El Mundo Deportivo”, która napisała, że „unika swojej odpowiedzialności wobec Republiki”. „Prasa wyolbrzymiła moje słowa”, skarżył się po latach Berrendero. Przed śmiercią w sierpniu 1995 roku przekazał swoje nagrody za Tour de France 1937 (w tamtym roku wygrał jeden etap, a w poprzednim klasyfikację górską) na rzecz sierot – ofiar wojny domowej.

Zrządzenie losu w obozie koncentracyjnym postawiło na drodze Berrendero kapitana, który rozpoznał go, przeglądając pewnego dnia gazetę. Wziął go do biura i mocno uściskał ku

zaskoczeniu kolarza, który nie rozumiał, skąd taka wylewność w tak nieprzyjaznym otoczeniu. Okazało się, że przed laty jeździli razem. „Te dwa jajka z ziemniakami, które mi wtedy dał, smakowały jak zwycięstwo”, powiedział później Berrendero. Został ułaskawiony w 1941 roku, kilka tygodni przed startem w Vuelcie z hiszpańskim akcentem. W Vuelcie „skazańca”.

Wyścig pośród niepewności i bomb

Jeśli Tour de France został zbudowany na bazie wielkich wyczynów, nędzy, sabotaży, bojkotów, strajków, demonstracji i tysiąca innych incydentów, to Vuelta a España właściwie skopiowała ten scenariusz. Wyścig uczynili wielkim mężczyźni, którzy pedałując, wychodzili ze skóry, ale nie byłby on tak bardzo emocjonujący, gdyby nie wszelkiego rodzaju sytuacje, które sprawiły, że losy rywalizacji stały się niepewne. Od zawieszania zawodów z powodu wojen i braku pieniędzy dla pracowników, którzy blokowali drogę, po bomby podkładane przez ETA, zatrucia, śnieżyce, a nawet rzucanie w peleton różnymi przedmiotami. Vuelta jest jak wielka i problematyczna rodzina, która obdarowuje swoich rodziców niewyobrażalną radością i nieakceptowalnym smutkiem. Z nieba do piekła i z powrotem. Diabelski młyn, który obraca się jak najszybciej z pedałami w roli silnika.

Wiele wysiłku kosztowało zorganizowanie pierwszej edycji, ale kontynuacja wcale nie okazała się łatwiejsza. Radość Clemente'a Lópeza-Dórigi i Juana Pujola trwała tylko dwa lata, ponieważ wojna domowa zmiotła Vueltę po jej drugiej edycji w 1936 roku. Została wznowiona dopiero, gdy minęły okrutne czasy, w 1941 roku, i były to zawody, podczas których pewien szwajcarski kolarz musiał spakować manatki i wracać do domu po tym, jak napchał się lodami. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby w kraju mogła odbyć się tak ważna impreza, ale Ministerstwo Edukacji i Rekreacji, utworzone dwa lata wcześniej w celu promowania i organizowania wydarzeń artystycznych, kulturalnych i sportowych, zabrało się do pracy,

żeby przywrócić wyścig. Każdy wysiłek się opłacił, byle tylko Hiszpania zaczęła się podnosić.

I tak 12 czerwca peleton złożony z 32 uczestników podzielonych na dwie grupy, sponsorowane przez kluby piłkarskie FC Barcelona i RCD Espanyol, jak również kilku niezależnych kolarzy w szarych koszulkach organu administracji publicznej, ruszył sprzed siedziby Narodowego Oddziału Związków Zawodowych, po odśpiewaniu, z ręką w górze, „Twarzą ku słońcu”[2]. Takie to były czasy. W ten sposób rozpoczęła się Vuelta, podczas której Julián Berrendero pokonał Fermína Truebę, a Galisyjczyk Delio Rodríguez jechał tak, że jego łupem padło 12 etapów! Ten rekord pobije dopiero Belg Freddy Maertens w 1977 roku, wygrywając 13 razy.

Była to też jedna z tych edycji, podczas której organizatorzy zwracali uwagę na pasywność kolarzy, rezygnując nawet z nagród w gotówce na trzecim od końca etapie, gdy galisyjski upał tak się dał we znaki zawodnikom, że do pokonania 168 kilometrów potrzebowali ponad siedmiu godzin. Lider Berrendero – który wygra także rok później – był wściekły: „Z samochodów wszystko tak dobrze widać… Jak walkę byków zza ogrodzenia. Skoro dzisiaj nikt nie chciał jechać, to dlatego, że brakowało energii, entuzjazmu albo woli walki. Ja na przykład nie miałem potrzeby, aby dawać z siebie wszystko, ani więcej chęci niż pozostali”.

Rok później, w 1942, dziennik „Informaciones” odzyskał kontrolę nad Vueltą, znowu przekazując stery nad ekipami klubom piłkarskim. Deportivo i ponownie Barça były obecne na starcie, który musiał zostać opóźniony o dwa tygodnie, ponieważ zagraniczni kolarze nie dawali znaku życia. W wyścigu miały uczestniczyć ekipy z Belgii, Francji i Włoch, ale żadna nie odpowiedziała przed 16 czerwca, na kiedy przewidziany był początek rywalizacji. Siedem dni później

udział w Vuelcie potwierdził jedynie Włoch Pierre Brambilla, w związku z czym start przełożono na 30 czerwca, kiedy stawili się jego dwaj rodacy oraz wielu Francuzów, z René Vietto, gwiazdą Tour de France, na czele.

Po zakończeniu tamtej Vuelty na kolejną edycję, z powodu drugiej wojny światowej, trzeba było czekać trzy lata. Za organizację wznowionego wyścigu odpowiadał dziennik „Ya" (zastąpił „Informaciones"), który wycofał się po zakończeniu Vuelty w 1950 roku, uprzednio rezygnując z edycji w 1949. I tak minęło prawie pięć lat bez najważniejszej kolarskiej imprezy w Hiszpanii. W 1955 roku na ratunek pospieszył dziennik „El Correo Español-El Pueblo Vasco", razem ze swoim dyrektorem naczelnym Alejandro Echevarríą, późniejszym prezesem sieci telewizyjnej Mediaset España. Wtedy też rozpoczął się prawdziwy rozkwit imprezy, która jednak po dekadzie na powrót zaczęła borykać się z problemami. Niewiele brakowało, by historia Vuelty zakończyła się w 1966 roku z powodu trudności finansowych gazety-organizatora. Nie doszło do tego tylko dzięki interwencji rządzącego krajem generała Francisco Franco.

„El Correo Español-El Pueblo Vasco" kierował wyścigiem do czasu, aż ETA[3] rok po roku zaczęła zagrażać jego organizacji. Gazeta zrezygnowała, zostawiając stery agencji Unipublic, która obecnie należy do ASO, firmy organizującej Tour de France, i która przetrwała do dzisiaj, co roku wyprowadzając Vueltę na hiszpańskie drogi. Oczywiście nie bez trudności, wszak już na samym początku napotkała problemy. W 1980 roku TVE[4] rzucała kłody pod nogi w kwestii transmisji. „Vuelta zagrożona", napisał „El País". Komunikat dotyczący odwołania wyścigu był już przygotowany, kiedy Ministerstwo Kultury sięgnęło po środki rezerwowe, żeby przekonać stację telewizyjną.

Kolarski wyścig Dookoła Hiszpanii od czasu powstania w 1935 roku może opowiedzieć historię kraju, który przeżył wszystko. Wraz z każdą edycją, a także z każdym rokiem bez niego, opisywał panoramę narodu, który – cokolwiek by się działo – zawsze jednym okiem patrzył na peleton, gdy rozpoczynał się wyścig. Początek naznaczyły wojny: „To było coś strasznego! Człowiek czuł się tak, jakby znajdował się w innym świecie, na ulicach nie było żywego ducha, żadnego domu… W niektórych regionach woleli dać nam wino niż wodę, bo nie można było sobie pozwolić na luksusy", opowiadał swego czasu baskijski kolarz Máximo Dermit. A później ETA zamieniła zawody w prawdziwy koszmar.

Po raz pierwszy ETA dała o sobie znać podczas ostatniego etapu Vuelty w 1967 roku, rozsypując gwoździe i rozlewając olej na zjeździe z Sollube, zaledwie 30 kilometrów przed metą, gdzie miał zostać udekorowany lider Jan Janssen. Powstał taki chaos, że mało brakowało, a dyrektor wyścigu zostałby uziemiony, bo w jego aucie zostały przebite trzy opony, a oprócz tego wielu kolarzy się przewróciło. „Gwardia Cywilna oświadczyła, że pomimo otwartego śledztwa trudno jest rozpoznać sprawcę lub sprawców, ponieważ nie było świadków, sprawcy wykorzystali bowiem odcinek drogi, przy którym nie stali ludzie. Wiadomo jedynie, że gwoździe zostały wytworzone domowym sposobem. Prasa z Bilbao zaapelowała do wszystkich mogących znać jakiś trop, który doprowadziłby do zatrzymania sprawców", podała agencja informacyjna Mencheta. Gwardia Cywilna nie miała żadnej pewności, ale podejrzewała, kto mógł być za to odpowiedzialny.

Tym bardziej gdy rok później, w 1968, ETA podłożyła bombę przy kolejnym zjeździe, tym razem z Urbany, w drodze do Pampeluny, na 15. etapie. Wybuch zranił dwóch pasażerów samochodu, którym podróżowali kibice chcący zobaczyć

przejeżdżających kolarzy, a także zniszczył asfalt, tworząc wyrwę od jednego pobocza do drugiego. Dziurę spowodowaną przez grupę terrorystyczną próbowano zapełnić piachem i kamieniami, żeby wyścig mógł być kontynuowany, licząc się przy tym z dystansem, jaki dzielił uciekającego Uribezubię i peleton. Etap został jednak anulowany, ponieważ kolarze, członkowie wielobarwnego węża, odmówili dalszej jazdy. José Pérez Francés, jedna z hiszpańskich gwiazd tamtych czasów, wyrósł na lidera rewolty, przeciwstawiając się samej Gwardii Cywilnej, która nawet oskarżyła go o to, że jest po stronie ETA: „To był pierwszy raz, kiedy wszyscy kolarze stanęli za mną murem", opowiadał później zawodnik. Etap wznowiono, ale potem został on zakończony w miasteczku Lorca w prowincji Nawarra, skąd kolarzy zabrano samochodami do Pampeluny. W ten sposób przekazali to organizatorzy: „Wobec poważnego wypadku, do którego doszło 68 kilometrów po starcie, organizatorzy kolarskiego wyścigu Dookoła Hiszpanii, po naradzie z międzynarodowymi komisarzami i chronometrażystami, postanowili, zgodnie z artykułem 18 regulaminu, anulować ten etap".

Agencja informacyjna Europa Press wskazała tylko na zagranicznych kolarzy jako odpowiedzialnych za przerwanie wyścigu: „Zawodnicy z zagranicy otrzymali anonimy, w których zapewniono ich, że podczas Vuelty dojdzie do incydentów, zwłaszcza w Kraju Basków". Skutkiem zamachu byli ranni, zatrzymani i wyścig stojący pod znakiem zapytania, o krok od definitywnego anulowania. Ostatecznie, na szczęście dla sportu i społeczeństwa, i za sprawą gróźb odebrania licencji tym, którzy zrezygnują z dalszej jazdy, Vuelta a España ruszyła dalej.

W 1972 roku ETA pojawiła się znowu z kolejną bombą, tym razem na przełęczy Lizarrusti, ponownie niszcząc drogę, chociaż mniejsza siła ładunku umożliwiła szybkie naprawienie

szkody, tak więc zdarzenie to nie miało wpływu na wyścig. Łatwa nie była też edycja z 1977 roku, która rozpoczęła się strajkiem linii lotniczej Iberia, zmuszając organizatorów do załatwiania na ostatnią chwilę autobusów do Alicante, skąd wyruszał tamten wyścig; natomiast przy wjeździe do Kraju Basków znowu pojawiły się gwoździe, a na przedostatnim etapie, w drodze na szczyt Urkioli, peleton mijał nawet barykady. W strefie mety policja musiała zatrzymać tych, którzy próbowali udaremnić wyścig. Dzień później, żeby nie dopuścić do kolejnego chaotycznego etapu, metę przeniesiono z San Sebastián w Kraju Basków do leżącej w prowincji Burgos Mirandy de Ebro.

A w 1978 roku to samo. W pierwszej części przedostatniego etapu, na trasie liczącej 148 kilometrów między Amurrio a San Sebastián, Vuelta przeżyła jeden z najsmutniejszych dni, który powinno się wymazać z pamięci. Zdarzyło się wszystko i nic dobrego. Peleton na prawie dwie godziny musiał się zatrzymać w Durango, ponieważ na jezdni znalazły się deski i mnóstwo pinezek. Kolarze wsiedli do samochodów i autobusów i pojechali do Zarautz, miejscowości, w której nastąpił drugi tego dnia start, tym razem po to, by pokonać 34 kilometry, jakie pozostały do mety. W sumie przejechano 84 z przewidzianych 148 kilometrów.

Po odpoczynku kolarze znowu założyli stroje, aby stawić czoła drugiej części etapu tego dnia, jeździe indywidualnej na czas po ulicach pięknego San Sebastián, z finałem na welodromie Anoeta. Mogli sobie tego jednak zaoszczędzić, ponieważ ostatecznie wyniki zostały anulowane ze względu na ataki kibiców, którzy wyładowali swoją złość na niektórych zawodnikach, popychając ich, uderzając, a nawet rzucając w twarz piaskiem.

Nieprzyjemny epizod w Durango i surrealistyczne sceny w San Sebastián przyczyniły się do pożegnania z wyś[5], co wykorzystała ETA, aby wrócić do akcji w 1990 roku, detonując przy drodze dwa małe ładunki wybuchowe. Po półtorej godzinie postoju Álvaro Pino, jeden z kolarzy, przekonał wszystkich, aby kontynuować wyścig.

Już po zakończeniu działalności przez ETA to strach przed terroryzmem dżihadystów zasiał panikę kilka godzin po pierwszym etapie Vuelty 2017 we francuskim Nîmes, kiedy uzbrojony mężczyzna postawił wszystkich na nogi. Ewakuowano stację kolejową, a strach rozlał się po wielu strefach miasta. Znajdujący się w sali prasowej dziennikarze przeżyli chwile wielkiego zdenerwowania. „Weszła policja i powiedziano nam, żebyśmy tam zostali, żebyśmy nie wychodzili i żebyśmy trzymali się z dala od okien", opowiada na potrzeby tej książki Fernando Llamas, redaktor dziennika „Marca". Z kolei José Rodríguez, komentator Radia Marca, o wszystkim dowiedział się z wiadomości na WhatsAppie, które przychodziły do niego z Hiszpanii, podczas gdy on spokojnie jadł kolację w restauracji poza biurem prasowym: „O tym, co się działo, dowiedziałem się dopiero z wiadomości od kolegów, którzy byli w Hiszpanii. Akurat znajdowaliśmy się daleko od miejsca, w którym to się stało, więc nie mieliśmy żadnego problemu".

Ale perturbacje podczas wyścigu wynikały nie tylko z działalności ugrupowań terrorystycznych. Na przestrzeni lat dochodziło do wszelkiego rodzaju zdarzeń. Od przestojów spowodowanych strajkami (do jednego z nich doszło w drodze na stadion La Romareda w 1960 roku, gdzie z powodu opóźnienia kolarze dostali burę od kibiców) albo demonstracjami (na przykład demonstracja pracowników stoczni z Ferrolu w 1987), po skargi na organizatorów z powodu

źle oświetlonych tuneli (żarówki zainstalowane na wyścig w jednym z takich miejsc na przełęczy Cotefablo nie działały, co skutkowało wycofaniem się z wyścigu Reimunda Dietzena, który w wyniku upadku doznał złamania kości czaszki).

Pomyłki dyrekcji wyścigu również przysporzyły niejedno zmartwienie w historii Vuelty, jak choćby samochód, który jechał na czele wyścigu w 1946 i pomylił trasę, zabierając ze sobą trzech kolarzy. Gdy potwierdzono ich zniknięcie z właściwej drogi, sędziowie pojechali ich szukać. Etap został wznowiony dopiero 34 kilometry dalej. Albo to, co wydarzyło się w 1965 roku podczas edycji złożonej z samych pomyłek. Najpierw źle ulokowane oznaczenie wyeliminowało ze sprintu Rika Van Looya i Antóna Barrutię przy wjeździe na welodrom w Gijón, a później niefortunnie ustawiona bariera w Palencii wyrzuciła Van Looya (ależ on miał pecha!) oraz Rudiego Altiga, który na dodatek złamał nogę. Prawie dziesięć lat wcześniej, w 1956 roku, organizatorów obwiniali także Francuzi, gdy oświadczyli, że wracają do domu, ponieważ zatruli się kanapkami, które przygotowano z myślą o kolarzach.

Kapryśna pogoda była kolejnym częstym powodem powstawania chaosu podczas Vuelty. Fala upałów w 1948 roku zamieniła tamtą edycję w najwolniejszą w historii, pozostawiając po sobie osobliwe zdjęcia przedstawiające kolarzy zatrzymujących się w każdej kolejnej miejscowości, żeby wylać na siebie – dosłownie – wiadra zimnej wody. Nie zwracali uwagi na polecenia komisarzy i wznawiali wyścig dopiero wtedy, gdy wszyscy dochodzili do porozumienia. I nie tylko upał przeszkadzał zawodom, ponieważ śnieg doprowadził do anulowania – po raz pierwszy – jednego etapu w 1957 roku. Był czwarty dzień wyścigu i przełęcz Pajares w roli głównej, gdzie Gwardia Cywilna musiała bardzo mocno się starać, żeby

uratować pięciuset kibiców, którzy zostali uwięzieni na szczycie.

Anulowane etapy, zamachy, nie-zamachy, bojkoty, strajki, demonstracje… W ciągu ponad 80 lat Vuelta a España dostarczyła wielu niewiarygodnych historii.

Łzy Costy i szczęście Langariki

Są ludzie, którzy rodzą się pod szczęśliwą gwiazdą. Bez względu na to, jak źle przedstawia się sytuacja, wiedzą, że zawsze mają dobrego ducha gdzieś wysoko, pośród chmur, który ich uratuje. Mogą wypaść z dziesiątego piętra i klapnąć tyłkiem w miękkim miejscu pełnym zieleni, które obdarzy ich tylko kilkoma rozległymi i głębokimi siniakami na pamiątkę. Albo mogą robić wszystko, co możliwe, aby przegrać zawody, a ostatecznie je wygrać. I istnieją także inni, bracia z bractwa złego losu. Cokolwiek by robili, nic nie wychodzi im tak, jak to sobie wyobrażali poprzedniego wieczoru. Mogą spaść z pierwszego piętra i zginąć na miejscu. Albo zrobić wszystko, co możliwe, aby wygrać zawody i ostatecznie je przegrać. I to w najbardziej dramatyczny sposób z możliwych. Przykłady obu tego typu ludzi są wszędzie, za każdym rogiem i we wszystkich dyscyplinach sportu. Również w kolarstwie.

W 1946 roku Vuelta doprowadziła do spotkania dwóch członków klubu nieszczęśników: jeden to Manuel Costa, nieznany Katalończyk, drobny i delikatny, a drugi – Dalmacio Langarica, Bask z prowincji Bizkaia, ceniony zawodnik, mocno zbudowany twardziel. Wydawało się, że na przekór wszelkim prognozom wygra ten pierwszy, ale ostatecznie przegrał; a drugi, faworyt od początku, w trakcie zawodów skazywany był na porażkę w starciu z rewelacją wyścigu, lecz ostatecznie zwyciężył, pokonawszy dziesiątki przeszkód, na jakie natrafiał na całej trasie. Jeden i drugi zrobili z Vuelty 1946 emocjonujący i pasjonujący wyścig, jeden z tych z nieprzewidywalnym scenariuszem.

A przecież początek nie zapowiadał się najlepiej. Wyścigowi groziła nuda, bo kandydat numer jeden bardzo wcześnie założył koszulkę lidera – białą z czerwonym pasem. Świat kolarski szybko zdał sobie jednak sprawę, że tę Vueltę będzie bardzo trudno kontrolować, ponieważ Bask cieszył się z prowadzenia zaledwie 48 godzin, tyle bowiem zajęło Juliánowi Berrendero i Delio Rodríguezowi przygotowanie na niego zasadzki, wskutek czego stracił ponad trzy minuty. A na następnym etapie sytuacja zrobiła się jeszcze mniej ciekawa, kiedy Holender Jan Lambrichs niespodziewanie wyrwał do przodu, zabierając na swoim kole Manuela Costę, który podczas poprzedniej Vuelty, w swoim debiucie, otarł się o pierwszą dziesiątkę w klasyfikacji generalnej, ale który nie miał nawet ekipy. Mógł wprawdzie liczyć na pomoc grupy Galindo, chociaż w rzeczywistości był on tylko kolejnym niezależnym kolarzem.

Tamtego dnia, na szóstym etapie między Sewillą a Granadą, obydwaj odważni – Lambrichs i Costa – mieli pokazać, kto tu rządzi. Stawili czoła deszczowi i na mecie o 27 minut wyprzedzili Langaricę i spółkę. Costa został nowym liderem, mając 22 minuty przewagi, ale nie wygrał tego etapu, który w rzeczywistości… wygrał. Jedyne, czego zabrakło mu do pełnego zwycięstwa, to osiągnięcie tego w sposób legalny, gdyż sędziowie przyłapali go, jak podczas sprintu chwytał się siodełka Lambrichsa. Ale gorycz utraty zwycięstwa szybko minęła, gdy Costa zobaczył swoje nazwisko na czele klasyfikacji. Znajdował się na niej teraz niespodziewany zawodnik, walczący o najwyższy stopień podium.

Nikt nie myślał o nim przed wyścigiem i niewielu było też takich, którzy stawiali na niego po uzyskaniu sporej przewagi po ucieczce na trasie do Granady. A tym bardziej widząc twarz Langariki, który pragnął za wszelką cenę odzyskać oddany za darmo teren. Odrabianie strat zaczął dzień później, odnosząc

zwycięstwo etapowe i wykładając karty na stół. Chciał wygrać Vueltę i był gotowy wykrzesać ostatnią kroplę energii, jaką znajdzie w nogach.

Dalmacio próbował powtórzyć swoje zagranie także podczas kolejnych dni, ale spotkał go pech, który nie chciał go opuścić. Jeśli nie przebijał opony w decydującym momencie, to ta odklejała mu się od obręczy, gotując mu spotkanie z podłożem. Musiał się mocno, bardzo mocno napocić, żeby zmniejszyć dystans do Costy, który drugiego dnia odpoczynku, w San Sebastián, już po 15 etapach, miał prawie 16 minut przewagi. Jaki był problem? Otóż jego rywal, Langarica, jechał u siebie. A Katalończyk nie ukrywał strachu, mówiąc w wywiadzie dla „El Mundo Deportivo": „Czuję się bardzo dobrze, ale boję się trochę tego, co będzie dalej".

I słusznie. Biskajczyk znał każdy zakręt na tych trasach, a na domiar złego na zjeździe z Urkioli na drogę wybiegł Coście kibic. Wcześniej, na podjeździe, drobniutki Katalończyk ogromnie cierpiał, żeby nie stracić za bardzo do Langariki, który wspinał się zawzięcie. Z wielkim trudem lider Vuelty dotarł wreszcie na szczyt i rzucił się do zjazdu, gdzie uderzył w niego nadjeżdżający niespodziewanie samochód. Jedno koło jego roweru zostało całkowicie zniszczone, ciało kolarza było potłuczone i zakrwawione, a twarz zapłakana. Płakał z bólu po upadku, ale przede wszystkim dlatego, że wiedział, iż na tym kawałku drogi uciekało mu to, o czym śnił całymi nocami.

Chronometr doliczał sekundy i minuty ku rozpaczy Costy, który – jako że auto z mechanikami nie nadjeżdżało – musiał pożyczyć koło, co wiązało się z późniejszą dziesięciominutową karą. Doliczając cztery minuty, jakie stracił na mecie, jego przewaga stopniała do zaledwie minuty i 40 sekund. Mając na względzie to, ile jeszcze zostało do pokonania (siedem etapów), i ze złamanym morale, nieuniknione wydawało się to, co stało

się dwa dni później na kantabryjskim terenie, gdzie Langarica, który ukończył etap z wieloma złamanymi szprychami w tylnym kole, odzyskał koszulkę, za którą podążał tyle czasu, od tamtej zasadzki w Granadzie w pierwszym tygodniu rywalizacji.

Langarice pozostało już tylko przypieczętować ostateczne zwycięstwo, pierwsze zwycięstwo baskijskiego kolarza w Vuelcie, podczas jazdy indywidualnej na czas w Asturii. Na 53-kilometrowym odcinku zyskał prawie osiem minut nad Costą, stłamszonym przeciwnościami i pogrążonym w smutku, gdy zobaczył, że w klasyfikacji generalnej wyprzedzili go także Julián Berrendero i Jan Lambrichs. Choć przez wiele dni wydawało się, że zwycięstwo w Vuelcie należy już do niego, z powodu zderzenia z samochodem ostatecznie został z pustymi rękami, a z powodu przeklętych 25 sekund nie znalazł się nawet na podium.

Ale nieszczęścia nudzą się same, więc zazwyczaj chodzą parami. Najlepiej wie o tym sam Manuel Costa, który rok później, podczas Vuelty 1947, znowu otarł się o końcowe zwycięstwo. Należąc już oficjalnie do ekipy Galindo – która w 1946 w trakcie wyścigu próbowała włączyć go do swojego podstawowego składu, aby wszędzie pojawiła się jej reklama – Katalończyk wywrócił do góry nogami tamtą edycję na 12. etapie, między Bilbao a Santander. Była to być może jego najlepsza akcja w karierze. Zaatakował na przedmieściach biskajskiej stolicy i w wielkim stylu pokonał 200 kilometrów, pedałując w pogoni za czymś, co na starcie wydawało się niedorzeczne, ponieważ rozpoczął ten etap z ponad dziesięciominutową stratą do lidera Delio Rodrígueza, który nie miał sobie równych, ale akurat tego dnia poszło mu źle i w dodatku dostał karę kolejnych dziesięciu minut za chwytanie się samochodu.

Kiedy już w hotelu Costa zdjął buty, skarpetki, rękawiczki, koszulkę i spodenki, kiedy wytarł pot, przekonał się, że został liderem klasyfikacji generalnej i że miał ponad pięć minut przewagi nad drugim zawodnikiem, którym nie był Delio, lecz Belg Édouard Van Dyck. Wprawdzie nie było to blisko pół godziny, jak w poprzednim roku, ale pięć minut to i tak znacząca przewaga, zważywszy, że Costa mógł liczyć na coś, czego brakowało mu w 1946: doświadczenie bycia w centrum wszystkiego, spojrzeń i ataków, oraz ekipę, z którą mógł się bronić.

A w razie gdyby ta przewaga była zbyt mała, kilka dni później Van Dyck, przebijając oponę, podarował mu jeszcze trzy minuty. Lider miał więc niewiele ponad ośmiominutowy margines błędu przed przedostatnią czasówką Vuelty 1947, będącą drugą częścią 16. etapu, z Ribadeo jako końcową scenerią 70-kilometrowej trasy. Wygrał Van Dyck i niemal w całości odrobił oddane minuty. Zabrakło mu jedynie 15 sekund, aby odebrać koszulkę lidera Coście, który znowu się załamał, dobitnie pokazując, że rywalizacja z chronometrem nie jest jego największą specjalnością.

Katalończyk nie liczył się jednak z tym, że trzy dni później szczęście się do niego uśmiechnie. Kilka kilometrów przed Vigo Van Dyck przebił oponę i stracił prawie dwie minuty. Później emocje znowu przeniosły się na teren, na którym Hiszpan czuł się najgorzej: ostatnia czasówka, między Astorgą a León. Na 47 kilometrach miał się wyłonić zwycięzca Vuelty 1947,. Costa posiadał dwie minuty i 12 sekund przewagi. „Będę musiał mocno się starać, ale prawda jest taka, że czuję się bardzo dobrze”, powiedział dziennikarzom kolarz Galindo, który po raz drugi w ciągu dwóch lat pedałował po zwycięstwo w narodowym wyścigu. Możliwe jednak, że towarzyszyła mu zbyt duża euforia. Na mecie w León Costa znowu zalał się

łzami, przegrawszy z niepokonanym Van Dyckiem. Na pocieszenie pozostało mu przynajmniej to, że zdobył drugie miejsce na podium, które wymknęło mu się 365 dni wcześniej. Ale nawet to – miejsce na pudłach zarezerwowanych dla tych najbardziej uprzywilejowanych – nie wystarczyło na otarcie łez.

Legendarna rywalizacja

Jest wyjątkowy. Niepowtarzalny. I prawdopodobnie jest najbardziej charyzmatyczną postacią, jaka kiedykolwiek pojawiła się w światowym peletonie. Nie było drugiego takiego jak on. Nie ma drugiego takiego jak on. I niemal na pewno nie będzie drugiego takiego jak on. Bo to po prostu niemożliwe. Jako dziecko – biedny. Jako nastolatek – łowca kotów. Jako młody człowiek – mistrz. Jako dorosły – hiperaktywny. A jako staruszek na powrót stał się młody. Federico Martín Bahamontes jest wieczny. W 2018 roku skończył 90 lat i jest najstarszym żyjącym zwycięzcą Tour de France. Można szukać i szukać, ale nie znajdzie się nikogo starszego niż on. „Orzeł z Toledo", który zachował tę samą szczupłą sylwetkę z czasów, gdy rywalizował w peletonie, jest nieśmiertelny. Podobnie jak jego kolarstwo – jakże widowiskowe. Jak jego osobowość – krążownik pośród żaglowców i prostych statków rybackich. Fede jest jedyny w swoim rodzaju, ze swoimi zaletami, a jest ich wiele, i wadami, tak potrzebnymi, aby zbudować niezwykłą legendę.

Kolarz z Toledo ma 89 lat, kiedy przychodzi na spotkanie ze swoim krajanem na potrzeby tej książki. Jego wiek temu przeczy, ale wydaje się, że wciąż wkłada koszulkę z numerem startowym, że nadal robi swoje na drodze. Szczupły i kościsty, jak zawsze, ogorzała skóra i ten sam urywany głos, który sprawia, że jego zdania brzmią tak charakterystycznie. Dzięki lokalnemu akcentowi sprawia wrażenie zwykłego człowieka, dziadka, który przeszukuje pamięć, żeby opowiedzieć o swoich bataliach. Ale te jego batalie nie są zwyczajne. Może opowiedzieć na przykład, że kiedyś wygrał Tour de France. Że

pokonał najlepszych na świecie. Że był taki czas, kiedy nikt nie miał wystarczająco dużo odwagi, żeby zadzierać z nim w górach. On był królem. Najlepszy wspinacz w historii. Tak określili go sami organizatorzy francuskiej imprezy, na której sześciokrotnie wygrywał klasyfikację górską – lepszy od niego okazał się tylko Richard Virenque, rozpieszczony dzieciak, który triumfował siedem razy.

„Nigdy niczego się nie bałem, Tour de France też nie. Wiele razy wygrywałem klasyfikację górską we Francji, ale ci, którzy znali mnie już w czasach, zanim zostałem zawodowym kolarzem, zgadzają się co do tego, że jeszcze lepiej wspinałem się wtedy, kiedy byłem amatorem. I ja oczywiście też tak uważam", mówi z dumą Bahamontes, kolarz, który zatrzymał się na szczycie przełęczy, żeby zjeść lody, toledańczyk, którego nazwiskiem nazwano belgijski magazyn kolarski – tak jest wielki. Alejandro, bo tak brzmi jego prawdziwe imię, jest legendą, ale nie potrafi się pogodzić z tym, że z górskiego tronu usunął go ten Virenque: „Jeśli on jest najlepszym góralem, to ja jestem Napoleonem. I powiedziałem mu to prosto w twarz".

I ujawnia swój sekret – dlaczego tak dobrze się wspinał. „Mój trik polegał na tym, że śniadanie jadłem w pokoju hotelowym. Wszyscy objadali się befsztykiem i ryżem, ale ja byłem przekonany, że jeśli zjem mało, będę lepiej podjeżdżał, tak więc przed etapem brałem tylko pięć herbatników i piłem herbatę. Wiedziałem, że mogę zjeść mało i nie będę się źle czuł, bo robiłem tak jako młody chłopak", wyjaśnia Fede, który już jako dziecko przekonał się o tym, jakie ciężkie jest życie. Urodził się w lipcu 1928 roku i bardzo wcześnie zaczął pracować. Musiał przynosić pieniądze do domu, swoim rodzicom, Juliánowi i Victorii. „Zajmowałem się handlem na czarnym rynku. Korzystałem ze starego roweru ojca, żeby jeździć po chleb i mąkę do Torrijos i po cieciorkę do Gálvez. Codziennie

pokonywałem 60 albo 70 kilometrów", opowiada nasz bohater, który zaledwie w wieku ośmiu lat musiał uciekać z Toledo przed wojną domową. „Kiedy wybuchła, poszliśmy pieszo z Toledo aż do dzielnicy Ciudad Universitaria w Madrycie, gdzie przez ponad tydzień spaliśmy pod brezentem. Później przygarnęła nas pewna kobieta, ale nie mieliśmy niczego, nawet jedzenia. Byliśmy tam rok, a potem ruszyliśmy do Villarrubii de Santiago, gdzie spędziliśmy wojnę".

Ukształtowany w surowych warunkach, jakie zapewnia nędza, Bahamontes, człowiek bystry, już w wieku 12 lat zaczął łupać kamienie, aby budować drogi, jak jego ojciec. Ale Villarrubia de Santiago, małe miasteczko na wschodniej rubieży prowincji Toledo, nie była ostatnim przystankiem jego dziecięcej podróży, ponieważ jego rodzina chciała, pragnęła, marzyła o tym, by wrócić do swoich korzeni. Żonglując sfatygowanym domowym budżetem, kupili wóz i mulicę, którą ze względu na jej elegancję nazwano Andaluzyjką, i wrócili do Cesarskiego Miasta, miejsca Trzech Kultur. „Ale wciąż nie mieliśmy pieniędzy. Jedyne mięso, jakie widzieliśmy, to mięso kotów, na które polowałem nocami za pomocą kija albo procy", wspomina najwspanialszy góral w historii z dumą człowieka, który nigdy nie dawał za wygraną.

Od wielkiej biedy do zwycięstwa w Tour de France. Życie Federico Martína Bahamontesa to życie chłopaka z Toledo, który ani na chwilę nie przestał w siebie wierzyć. „Wygrałem Tour i wiele innych wyścigów, ale zaczynałem od grania w piłkę nożną. Potem kupiłem sobie pierwszy rower za 150 peset i zapisałem się na wyścig tutaj, w Toledo". I oczywiście wygrał. Jak tyle razy później. Nie będzie już człowieka, który potrafiłby go zatrzymać. Jako zawodowy kolarz zadebiutował w 1954 roku, tym samym, w którym po raz pierwszy wygrał klasyfikację górską Tour de France. Potem triumfował jeszcze

pięciokrotnie, w 1958, 1959, 1962, 1963 i 1964, a oprócz tego został pierwszym Hiszpanem, który zdobył żółtą koszulkę, wygrywając historyczną edycję w 1959 roku. Raz zwyciężył również w klasyfikacji górskiej Giro i dwukrotnie Vuelty, nie licząc wygranych etapów podczas obu tych wyścigów.

Genialny i nieprzewidywalny, Bahamontes wygrał dużo, jednak przede wszystkim przeszedł do historii kolarstwa ze względu na widowiskowy sposób jazdy oraz swój ekscentryczny charakter. Rzadko zdarzał się wyścig zakończony bez co najmniej jednej anegdoty związanej z kolarzem z Kastylii-La Manchy. Człowiek zawdzięczający wszystko wyłącznie sobie, indywidualista i buntownik, wspaniały i uparty, walczył ze wszystkimi. A zwłaszcza ze swoim rywalem par excellence Jesúsem Loroño, człowiekiem, który najbardziej cierpiał z powodu jego złości, hiperaktywności i wielkości. Obydwaj, Bahamontes i Loroño, wyznaczyli pewną epokę w kolarstwie, doprowadzając wśród hiszpańskich kibiców do podziału na *bahamontistów i loroñistów,* zapewniając jedną z najbardziej pasjonujących, nerwowych i emocjonujących rywalizacji w sporcie.

Żaden z nich nie pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Przez całą dekadę, na przełomie lat 50. i 60., dochodziło między nimi do różnego rodzaju spotkań. Na szosie i poza nią. Był to osobliwy wyścig, mający na celu pokazanie, który z nich był bardziej uparty, który był odważniejszy. I ani jeden, ani drugi nie używał hamulców. Jeśli Bahamontes był uparciuchem, Loroño nie zostawał w tyle. Biskajczyk urodzony w 1926 roku, dwa lata starszy, dorastał, kopiąc okopy dookoła Bilbao, a rower odkrył dlatego, że jeździł nim do lasu rąbać drwa, gdy jako 15-latek stracił ojca. Wkrótce zaczął jeździć po kryjomu, w tajemnicy przed matką, która nie chciała, aby mknął tak

szybko na tym mało solidnym sprzęcie, a później wojsko przeszkodziło mu w wyjeź

To właśnie w wojsku, w Santander, zaczęła się jego kariera. Dzięki kapitanowi, miłośnikowi kolarstwa, Jesús Loroño odkrył swoje powołanie, to, do czego się nadawał, po co przyszedł na świat. Jego dowódca widział, jak jeździ, i uważał, że to nie było zwyczajne, że Biskajczyk nie był tylko jednym z wielu. Dlatego też zachęcał go, aby ciężej trenował i żeby wykonał kolejny, bardzo ważny krok. A mianowicie żeby w 1947 roku wystartował w Subida al Naranco[6], asturyjskim wyścigu, który powstał sześć lat wcześniej i w którym brali udział najlepsi kolarze z narodowego peletonu. Nie wahając się ani chwili, odważny, nieświadomy trudności Loroño, o cerze i ciele niestrudzonego robotnika, wziął strój, buty i rower i pojechał do Asturii. Po pierwszym etapie – niespodzianka – był trzeci. A po drugim i ostatnim – niespodzianka – był pierwszy. Naranco należało do niego, a w związku z tym także klasyfikacja generalna. Przed nim wygrywali ten wyścig tak znakomici kolarze jak Fermín Trueba, Dalmacio Langarica czy Delio Rodríguez.

W kolejnych latach Loroño odnosił wartościowe zwycięstwa, jak etapowy triumf oraz wygranie klasyfikacji górskiej Tour de France w 1953 roku, a także zajmował cenne miejsca, jak piąta lokata we francuskim tourze w 1957, jednak to w Vuelcie dał z siebie to, co najlepsze. To tutaj wzruszał Hiszpanię, tutaj zmusił kibiców, aby uwierzyli, że może się równać z Federico Martínem Bahamontesem, największym kolarzem tamtych czasów. Wielu uważa, że gdyby miał lepszych pomocników, że gdyby otrzymał większe wsparcie, Loroño miałby na koncie takie same osiągnięcia jak toledańczyk, z którym rywalizował przez całą karierę.

Obiecywali dużo już podczas pierwszej Vuelty, na której obydwaj się pojawili. Był 1955 rok i podczas gdy Fede debiutował w krajowym wyścigu, Biskajczyk z Larrabetzu pierwszy raz wystartował już pięć lat wcześniej, zajmując miejsce w pierwszej dziesiątce. Obydwaj jeździli w hiszpańskiej reprezentacji pełnej świetnych kolarzy: z Miguelem Pobletem, Salvadorem Botellą, Francisco Masipem czy pierwszym iberyjskim zdobywcą podium Tour de France Bernardem Ruizem. Dyrektorem był Julián Berrendero, zwycięzca dwóch edycji Vuelty. A przecież włączenie Loroña i Bahamontesa do jednej drużyny to jak wręczenie dziecku detonatora.

I na wybuch bomby nie trzeba było długo czekać. Po trzecim etapie liderem został kolarz baskijski, ale szybko zdał sobie sprawę, że jego koledzy wcale nie byli kolegami, lecz wrogami w skórze przyjaciół, rywalami przebranymi za wiernych pomocników. Dwa dni później, na piątym etapie, Loroño stracił najważniejszą koszulkę, kiedy wpadł w zasadzkę przygotowaną przez Francuzów, Raphaëla Géminianiego i spółkę. Hiszpan został sam.

Bahamontes i Poblet nie mieli siły po przebiciu opon, z kolei Botella, Ruiz i Masip zgubili się w grupie obcokrajowców. Mimo to Loroño zareagował i wyskoczył jak szalony z pomocą jedynie Włocha Fiorenzo Magniego. Na mecie wybuchnął, zarzucając kolegom, że pozostawili go samemu sobie. Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. „Obraził nas, mówiąc takie rzeczy, których nie toleruję u nikogo”, powiedział wściekły Bernardo Ruiz dziennikarzowi „El Correo Catalán”. W tym samym tonie ciągnął Masip: „Jest taki jeden baskijski dziennikarz, który robi mu pranie mózgu, i teraz uważa się za ważniejszego od samego Louisa Bobeta” [pierwszy kolarz, który trzy razy z rzędu wygrał Tour de France]. Bahamontes, bo jakżeby inaczej, przyłączył się do festiwalu opinii: „Mamy dosyć Loroña i tego, co mówi”.

Między jedną sprzeczką a drugą Francuzi torowali sobie drogę do końcowego zwycięstwa Jeana Dotto. Wcześniej jednak doszło do mało spodziewanego i niecodziennego gestu w czasach, kiedy Hiszpanie zawzięcie walczyli między sobą. W drodze do Valladolid, na trzecim od końca etapie tamtej edycji, Jesúsowi Loroño zepsuł się rower, więc pożyczył sprzęt Bahamontesa, który nieoczekiwanie mu go odstąpił. Po chwili złamała się kierownica nowego roweru Fede, wskutek czego mocno uderzył o ziemię. Jeden z kibiców zlitował się nad kolarzem z zakrwawioną twarzą i dał mu rower, którym mógł przekroczyć linię mety.

Była to jednak tylko oaza na pustyni, bo już w następnym roku, 1956, znowu doszło do kłótni w hiszpańskiej ekipie, teraz dowodzonej przez Luisa Puiga, którego o mały włos nie wysłano do domu wariatów razem z jego pomysłami. Puig postanowił, że liderem będzie Salvador Botella, co oburzyło Loroña, który eksplodował: „Botella nie ma żadnego prawa, by zostać liderem, bo dopiero co pokonałem go w Bicicleta Eibarresa[7], ale dla Luisa Puiga najwyraźniej nie ma to żadn ego znaczenia. To nie do przyjęcia. Jestem mocniejszy, dlatego jeśli ktoś musi być liderem, to tym kimś jestem ja”. Tamtą Vueltę wygrał Włoch Angelo Conterno, a Loroño zajął drugie miejsce, podczas gdy Bahamontes otarł się o podium, kończąc wyścig na czwartej pozycji. Wojna przeniosła się na edycję z 1957 roku.

„Z tymi dwoma wirtuozami kolarstwa muszę koordynować to, czego nie da się koordynować”, narzekał Puig tuż przed startem Vuelty, która rozpoczęła się pomyślnie dla toledańczyka. Bahamontes został liderem już po trzecim etapie, wykorzystując roztargnienie na kantabryjskim terenie swojego zawziętego rywala. Loroño nie zorientował się bowiem, że do 13-osobowej ucieczki dołączyli Botella oraz sam Bahamontes,

który później samotnie wjechał na szczyt i dotarł do mety z ponad 14-minutową przewagą. „Emocjonujące było to, jak kolarz z Toledo zjeżdżał, nie zważając na niebezpieczeństwo i dokonując niebywałego wysiłku wjechał na Stadion Miejski w Mieres, gdzie 50 tysięcy osób zgotowało zwycięzcy gorące powitanie", relacjonował dziennik „ABC".

Vuelta, która dopiero co się rozpoczęła, wydawała się już rozstrzygnięta. Ale kolarstwo nie na darmo jest tak pięknym sportem. Po anulowaniu następnego etapu z powodu śniegu i przejechaniu kolejnego bez problemów, nadszedł szósty dzień rywalizacji, który zapoczątkował odwrócenie losów tamtej edycji wyścigu. Między Valladolid a Madrytem Salvador Botella włączył się do ucieczki i odebrał pozycję lidera Bahamontesowi, który wściekł się, mimo że zbuntowany walencjanin w rozmowie z dziennikarzami myślał, że jest inaczej. „Przykro mi, że zabrałem mu żółtą koszulkę, ale myślę, że jest zadowolony", powiedział nowy lider, który atakował niemalże od początku. Następnego dnia wrócił do rzeczywistości. „Orzeł" pokazał sportową złość na Los Leones, awansując na drugie miejsce w klasyfikacji generalnej, teraz na czele z pochodzącym z Albacete Francisco Moreno, którego zastąpi 24 godziny później.

Wyścig znowu malował się dla toledańczyka w jasnych barwach, bo Loroño tracił do niego ponad 16 minut. Ale ten ostatni – korzystając z rady Bernarda Ruiza, który w tamtym roku nie jechał razem z hiszpańską ekipą, ponieważ „nie miał zamiaru być niańką Bahamontesa" – chciał zniszczyć radość swojego przeciwnika na trasie do Tortosy podczas dziesiątego etapu wyścigu (do końca pozostało ich tylko sześć). Doświadczony Ruiz już na początku odłączył się od peletonu i poprosił Baska, by za nim jechał. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, bo kilka godzin póź

Walka przeniosła się więc, jak to się często zdarza, do hotelu. Federico nie należał do zawodników, którzy szybko się uspokajają, toteż wykorzystał pierwszą sposobność, przy której natknął się na swojego rywala – podczas kolacji – aby go zaatakować. Loroño stawił mu czoła i mało brakowało, aby doszło do rękoczynów. Musiał nawet interweniować Hiszpański Związek Kolarski, prosząc Puiga, żeby zrobił coś, by tych dwóch nie zachowywało się już więcej jak na szkolnym podwórku. Dyrektor zebrał całą ekipę i udało mu się doprowadzić do słynnego „Układu z Hueski", zwieńczonego uściskiem dłoni obydwu kolarzy. Układ trwał tyle, ile wytrzymał Bahamontes, człowiek, który chciał tę sprawę załatwić po swojemu.

Puig uzgodnił z obydwoma, że Jesús wygra klasyfikację generalną, a Fede powalczy o klasyfikację górską, ale żaden z nich nie ufał całkowicie temu drugiemu. Dlatego atak Bahamontesa, mający na celu przypieczętowanie zwycięstwa w klasyfikacji górskiej, jak zostało zaplanowane, wywołał to, co było do przewidzenia. Loroño rzucił się za nim w pogoń, a „Orzeł" się wściekł. „Jedzie za mną, atakuje mnie. Nie ma już żadnego układu, nie będę już się zatrzymywał na szczycie", powiedział dyrektorowi, jak relacjonuje José Luis Cánovas w artykule „Historia de un presidente". Puig kolejny raz został zdradzony przez swoich chłopców. „Jednak Puig nie wahał się, by nakazać kierowcy land rovera organizatorów, z którego śledził etapy, aby na zjeździe z przełęczy zablokował drogę Bahamontesowi od jednego pobocza do drugiego, aż udało mu się włączyć go do peletonu", pisze dalej Cánovas w książce upamiętniającej jedną z najważniejszych postaci w historii kolarstwa.

Vuelta 1957 zakończyła się triumfem Jesúsa Loroño, który w ten sposób wygrał jedyny wielki tour w karierze, a Bahamontes zajął drugie miejsce i został królem gór. Wiele go

to kosztowało, ale Puig osiągnął to, co było nie do pomyślenia. Jego zagranie, choć za cenę doprowadzenia serca do granicy wytrzymałości, było mistrzowskie. Dlatego żywił przekonanie, że w 1958 roku mógłby znowu je powtórzyć. „Loroño jest na starcie najmocniejszym elementem zespołu, ale Bahamontes będzie miał takie same przywileje", zakomunikował Puig przed rozpoczęciem zawodów, aby zadowolić ambicje obydwu kolarzy, między którymi znowu doszło do scysji na początku wyścigu. Wtedy selekcjoner przypomniał wydarzenia z przeszłości i przypieczętował między obydwoma liderami „Układ z Barcelony".

Nie sprawdziło się to jednak biednemu Puigowi, który ogłosił, że podaje się do dymisji, zmęczony już tysiącem sprzeczek słynnego duetu, który w tamtym roku nadal się kłócił, co wykorzystał Francuz polskiego pochodzenia Jean Stablinski, aby cieszyć się z końcowego zwycięstwa; Bahamontes zajął szóste miejsce, a Loroño – ósme. Później nie jeździli już w Vuelcie w jednej ekipie, ponieważ w 1959 roku Bahamontes startował w koszulce grupy Kas, a Loroño bronił barw Faemy. I ta przygoda też nie rozpoczęła się dobrze dla toledańczyka, który skarżył się na wymierzony w niego bojkot ze strony francuskiej prasy: „Wszyscy są przeciwko mnie, zarówno Hiszpanie, jak i obcokrajowcy. Moi rodacy właściwie woleliby zobaczyć, jak wygrywa Van Looy albo Rivière niż ja".

Podczas tamtej Vuelty, w 1959 roku, Bahamontes pogubił się, atakując w niewłaściwych momentach, i ostatecznie wycofał się po wymianie oskarżeń z dyrektorem wyścigu Luisem Bergareche. Chodziło o to, że przywrócił on do peletonu pięciu zawodników Faemy, którzy przyjechali na metę poza limitem czasu. Fede zapamiętał to sobie i tę – jego zdaniem – niesprawiedliwość chciał sobie powetować rok później. Jeden z jego pomocników, Julio San Emeterio, również nie zmieścił się

w limicie czasu, ale nie został przywrócony. Bahamontes, zdenerwowany jak nigdy, nie zgodził się z tą decyzją i zmusił swojego kolegę do stawienia się na podpisywaniu listy startowej przed następnym etapem. Oczywiście nie pozwolono mu wystartować, więc toledańczyk biegiem udał się do Luisa Bergareche'a, któremu przypomniał to, co stało się rok wcześniej. Później podczas etapu zorganizował własny strajk, pedałując powoli i nawet znieważając jednego z kibiców, który – wnosząc po reakcji kolarza – najwyraźniej nie powiedział mu nic miłego.

Kilka lat później, w 1965, na nowo odżył spór na linii Bahamontes-Bergareche, ponieważ dyrektor Vuelty był przekonany, że kolarz z Kastylii-La Manchy umyślnie prezentuje tak żałosny poziom. „Kpi sobie z organizatorów i z hiszpańskich kibiców", wypalił Bergareche, który wtedy nie wiedział, że nogi odmawiały już Bahamontesowi posłuszeństwa. Jego rywal, Jesús Loroño, z kolarstwem pożegnał się trzy lata wcześniej. Zakończyła się kariera sportowa „Orła", żywej legendy Vuelty i kolarstwa, która wciąż jest pośród nas. To żywy pomnik.

Charakter Pepe i nieczyste zagranie

Lata 50. były czasem rywalizacji pomiędzy Federico Martínem Bahamontesem i Jesúsem Loroño, czasem bólu głowy dyrektorów sportowych i organizatorów, którzy mogli odetchnąć, kiedy geniusz z Toledo zapominał o hiszpańskim tourze i koncentrował się na francuskim. Tak właśnie się stało na początku lat 60., kiedy „Orzeł" był nieobecny od 1961 do 1964 roku. Pierwsza edycja bez króla gór, bez najlepszego z hiszpańskich kolarzy być może w całej historii (z racji tego, że był jednym z pionierów, ze względu na swoje umiejętności, swoją wielkość, osobliwy sposób bycia, nieśmiertelność), czyli edycja z 1961 roku, została wykorzystana przez wielu młodych zawodników, aby błysnąć całym swoim talentem. Pokazał się walencjanin Angelino Soler, który wygrał Vueltę w wieku zaledwie 21 lat, i zachwycił Kantabryjczyk José Pérez Francés, człowiek o silnym charakterze, który przez następną dekadę miał być jedną z czołowych postaci hiszpańskiego kolarstwa.

W swoim drugim starcie w Vuelcie Pérez Francés zajął trzecie miejsce. Wcześniej, w debiucie w 1960 roku, wrócił do domu przed zakończeniem wyścigu, po tym jak rzucił się z pompką rowerową na dyrektora belgijskiej ekipy. Taki właśnie był José, dla najbliższych Pepe, jeden z najbardziej utalentowanych kolarzy, którzy urodzili się na hiszpańskiej ziemi, choć bardzo często zapominany w kolarskich książkach. Od małego zakochany w rowerze, nigdy się z nim nie rozstał. Ani na początku życia, kiedy dorastał w otoczeniu ram, kół i kierownic (jego ojciec był mechanikiem rowerowym), ani jako starszy pan, wszak nierzadko można go spotkać pedałującego w wieku

81 lat. Odstawił rower dopiero wtedy, gdy jego nową pasją stały się spacery z psem.

Trzeci na Tour de France w 1963 roku, cztery razy na podium Vuelty i dwukrotnie w pierwszej szóstce Giro – Pérez Francés, który jako nastolatek wyjechał do Barcelony po rozwodzie swoich rodziców, nigdy nie zdołał wygrać wielkiego touru. Jeśli nie zdrada jakiegoś zbuntowanego kolegi, to triumf odbierał mu inny kolarz będący w lepszej formie albo wykazujący się większym sprytem. Zdarzyło się tak wiele razy. Również w 1962 roku, kiedy wyznaczył sobie cel w postaci zwycięstwa po niespodziewanym podium w 1961. Chciał wygrać, ale trafił na samego Jacques'a Anquetila, który przybył do Hiszpanii z kolarskim dream teamem, Saint-Raphaël, zapewniającym mu do pomocy takich zawodników, jak Jean Stablinski czy Rudi Altig. Ten ostatni został liderem już drugiego dnia wyścigu. Dwa dni później oddał prowadzenie, ale odzyskał je w Andaluzji, w pustynnej Almeríi, po siódmym etapie. Po szóstym zaś ze zwycięstwa cieszył się inny z ważnych członków francuskiego zespołu, zawodnik z polskimi korzeniami, Jean Graczyk, a wcześniej ekipa Saint-Raphaël dała popis podczas jazdy indywidualnej na czas w Benidorm.

Po zakończeniu pierwszego tygodnia Vuelty 1962 na szczycie klasyfikacji generalnej znajdowało się sześciu kolarzy francuskiej ekipy. Szóstym był właśnie szef całej bandy, *Maestro* Jacques, elegancki i czasami arogancki mistrz, zawodnik o perfekcyjnej postawie aerodynamicznej, specjalista od jazdy w górach, ideał mężczyzny dla wielu kobiet, wspaniały sportowiec, znienawidzony rywal. Wszystko znajdowało się pod kontrolą. A przynajmniej tak się wydawało, ponieważ zachowanie Altiga – niemieckiego pomocnika, który kilka lat później zostanie mistrzem świata – jadącego wzdłuż Costa del Sol w kierunku Málagi na początku drugiego tygodnia

rywalizacji, kazało Anquetilowi coś podejrzewać. Altig, który jechał w żółtej koszulce[8] lidera, z całych sił ciągnął peleton, aby nie oddać jej innemu koledze, Jeanowi-Claude'owi Annaertowi, znajdującemu się w ucieczce.

Wystarczyły zaledwie 24 godziny, żeby wojna w drużynie marzeń stała się publiczna. Wkrótce po wyjeździe z pięknej Málagi, zostawiwszy za sobą zapach piasku i wody, straciwszy z zasięgu wzroku Morze Śródziemne i kierując się w stronę Kordoby, Anquetil rozpoczął swoją grę. Wykorzystując zjazd z przełęczy de la Reina, pierwszej która na tamtej Vuelcie dawała taką możliwość, późniejszy pięciokrotny mistrz Tour de France przyłączył się do 15-osobowej grupy uciekających. Wśród nich nie było Altiga, którego Anquetil całkowicie zaskoczył i który musiał bardzo się starać, przy nieocenionej pomocy Belgów, aby zmniejszyć dystans, jeszcze bardziej powiększony przez napierającego Francuza. Anquetil chciał go wyeliminować i dlatego nakazał Irlandczykowi Seamusowi Elliottowi, żeby ruszył 50 kilometrów przed metą, kiedy na czele utworzyła się sześcioosobowa grupka.

A jakby tego było mało, zdenerwowany całą sytuacją Altig stracił jeszcze kolejne pół minuty za posilanie się w niedozwolonym punkcie, w związku z czym musiał oddać żółtą koszulkę swojemu koledze Elliottowi. „Mam już dosyć zwycięstw Altiga, bardzo mnie to denerwuje. Dlatego nie pozwoliłem, żeby peleton dogonił uciekającą szóstkę na ostatnich kilometrach", powiedział stanowczo Anquetil, który od trzeciego etapu zmagał się z grypą. Gorączkując i niemal nie mogąc zmrużyć oka w hotelu, lider miał dość tego, że jego pomocnik wystawia go do wiatru na szosie. Miał już wystarczająco dużo kłopotów ze swoim kapryśnym organizmem, żeby jeszcze jeden z jego kolegów działał mu na nerwy.

Lecz Niemiec był niezmordowany. Nie zważając na to, że Anquetil był jego szefem, Rudi Altig, 25-letni zawodnik bez właściwie żadnych sukcesów na szosie (chociaż, owszem, odnosił je na torze, był już mistrzem świata w wyścigu na dochodzenie), znalazł sposób, aby podnieść się po ciosie i stawić czoła liderowi. Udało mu się bez informowania swojego dyrektora wziąć najlepszy aerodynamiczny sprzęt i stawił się we francuskiej Bajonnie na linii startu 15. etapu, 82-kilometrowej czasówki z metą w San Sebastián, chcąc po raz trzeci odzyskać żółtą koszulkę. I udało mu się to, bo nawet sam Anquetil, prawdziwa błyskawica w tej dyscyplinie, nie dał mu rady.

Owszem, była to tylko sekunda różnicy, ale wystarczyła, żeby Niemiec wywrócił przewidywania do góry nogami. „Altig wywołuje zdziwienie, bo nikt nie spodziewał się po nim takiego wyczynu. Wiadomo, że dopiero drugi raz jechał czasówkę na dystansie dłuższym niż 80 kilometrów i że poprzednim razem miał 15 minut straty do Anquetila, ale dzisiaj wyprzedził go o sekundę. I patrzy się na niego ze współczuciem, bo wszyscy obawiają się reakcji Anquetila, a także Géminianiego, jego dyrektora sportowego”, napisał redaktor dziennika „ABC”. Zapowiadało się na to, że atmosfera w hotelu grupy Saint-Raphaël będzie gorąca, bo Francuz nawet się nie zatrzymał, żeby porozmawiać z dziennikarzami, tylko zacietrzewiony od razu udał się do swojego pokoju. Nie czekał nawet, aż Altig przyjedzie na metę legendarnego stadionu Atocha.

Po trwającej całą wieczność czasówce Anquetil miał prawie pięć minut straty do lidera i niewiele czasu na jakikolwiek wyczyn. Pozostały tylko dwa etapy – oba w Kraju Basków – a francuski czarodziej nawet nie ukończył drugiego, z finałem i dekoracją w Bilbao. Pod pretekstem infekcji żołądkowej Anquetil wymazał swoje nazwisko z klasyfikacji i pojechał do

domu. Ku uciesze Rudiego Altiga, który musiał przekonać swoich kolegów z ekipy (ci prosili go, by podzielił się nagrodą, jak zrobiłby to *Maestro*), aby na niego pracowali, nie dopuszczając do żadnej zasadzki w ciemnych górach Kraju Basków. Ostatecznie przyjechał do Bilbao, mając siedem minut i 14 sekund przewagi nad drugim Pérezem Francésem.

Z urażoną dumą z powodu straconej szansy na wygranie jedynego wielkiego touru, jakiego mu brakowało, i w nie najlepszym humorze z powodu zdrady jednego ze swoich kolegów, Jacques Anquetil wrócił na Vueltę w następnym roku, 1963. Oczywiście już bez Rudiego Altiga. Druga próba w Hiszpanii okazała się zwycięska dla Francuza, któremu zostały jeszcze do wygrania dwa z jego pięciu wyścigów Tour de France i jeden z dwóch Giro. Podczas tamtej edycji Vuelty jednym z jego głównych wrogów był właśnie José Pérez Francés, któremu przytrafiło się absolutnie wszystko. Upadał i się podnosił. Wygrał jeden etap i przegrał drugi, który de facto wygrał, ale został zdyskwalifikowany za to, że jeden z kolegów ciągnął go, podając mu rękę. W końcu zrezygnował i wrócił do domu, bo miał dosyć tego, że organizatorzy wyścigu dbają tylko o obcokrajowców.

Kantabryjczyk dostarczył kibicom wszelkiego rodzaju emocji w czasie swoich startów w Vuelcie, w której uczestniczył dziesięć razy, dwukrotnie stając na drugim stopniu podium i dwukrotnie na trzecim. Pepe, człowiek o wybuchowym charakterze, został zapamiętany chociażby ze zdarzenia podczas sprintu na trzecim etapie Vuelty 1964, w Salou, gdzie belgijski kolarz Edward Sels uderzył go łokciem, pozbawiając tym samym możliwości powalczenia o bonifikaty. Jak na to zareagował? Zsiadł z roweru, podniósł go i rzucił Selsowi, tak wiernemu swojemu ukochanemu Van Looyowi. Doszło do

rękoczynów i dopiero funkcjonariusze Gwardii Cywilnej dali radę ich rozdzielić. Cały Pérez Francés.

Prezent dla Poulidora

Przez całe lata jedną z największych bolączek organizatorów Vuelty było przyciągnięcie zagranicznych postaci, które przydałyby wyścigowi blasku. Przy każdej edycji była to taka sama męka – szukanie zapomnianych gdzieś w szufladach banknotów, aby przekonać gwiazdy i spróbować udobruchać lokalnych zawodników, wściekłych z powodu tylu przywilejów, których oni nie otrzymywali. Sięgając do portfela i narażając się na złość Hiszpanów, organizatorzy Vuelty prawie zawsze mieli w swoim peletonie kolarza o atrakcyjnym nazwisku, który rywalizował z hiszpańskimi wspinaczami. Była to idealna kombinacja. Cudzoziemiec, wróg przeciwko wszystkim gospodarzom, z natury obrażonych i w tamtych czasach tak nieprzewidywalnych, że przez cały wyścig mogli się ze sobą bić, lekceważąc obcokrajowca i w rezultacie rozkładając przed nim czerwony dywan aż do najwyższego stopnia podium.

Tak na przykład stało się w 1964 roku. Podczas gdy Hiszpanie w komplecie (Francisco Gabica, José Pérez Francés, Julio Jiménez, Luis Otaño i Fernando Manzaneque) zajmowali się kłótniami poza zaciszem własnego domu, sąsiad z Francji wykorzystał zamieszanie, aby znaleźć się na czele pierwszej dziesiątki w klasyfikacji generalnej, wyprzedzając dziewięciu Hiszpanów, wprawionych w osłupienie i patrzących jak cielę na malowane wrota. „To jedyny wyścig, który Poulidor wygrał w życiu, i to dlatego, że myśmy mu go podarowali”, stwierdził Pérez Francés, w tamtym czasie jedna ze sztandarowych postaci hiszpańskiego kolarstwa; został wygwizdany w Madrycie przez rozzłoszczoną publiczność i nie potrafił ukryć rozgoryczenia, widząc, jak Raymond Poulidor, wiecznie

drugi, człowiek, który zawsze przegrywał Tour de France, pokonał ich wszystkich.

Złość ogarnęła nawet wysoko postawione osoby. Tak wypowiedział się Manuel Serdán, prezes Hiszpańskiego Związku Kolarskiego: „Trzeba pamiętać, że w grze jest prestiż naszego kraju, zwycięzcę trzeba szanować jak należy”. A przecież zwycięstwo wymknęło się Hiszpanom z powodu ciągłych wzajemnych animozji i rachunków do wyrównania, o – co najważniejsze – zaledwie 33 sekundy. Taka różnica dzieliła Raymonda Poulidora, który miał już na koncie podium Tour de France i mistrzostw świata, od Luisa Otaño, Baska, przyszłego właściciela sklepu żelaznego, który, choć był bardzo blisko, to nigdy wcześniej nie zajął żadnego z trzech pierwszych miejsc wielkiego touru. Po tamtym wyścigu płakał.

Przyczyną czegoś tak typowego w hiszpańskim kolarstwie tamtego okresu, tych awantur dzień w dzień, indywidualizmu biorącego górę nad koleżeństwem, co prowadziło do wielu konfliktów w narodowej reprezentacji, była w 1964 roku wojna, która wybuchła w grupie Ferrys. Hiszpańska ekipa puchła z dumy po ostatnim Tour de France, gdzie Pérez Francés zajął trzecie miejsce, a Fernando Manzaneque odniósł heroiczne zwycięstwo w Alpach. Urojona rywalizacja zwiastowała nerwową walkę między nimi a Poulidorem, dobrodusznym młodym Francuzem, który porzucił gospodarstwo rodziców, aby zyskać nieśmiertelność, pedałując po najbardziej zaskakujących zakątkach na mapie.

Wyścig zapowiadał się dla Hiszpanów bardzo dobrze, bo drugiego dnia Pérez Francés postawił na brudną zagrywkę, żeby wcisnąć się do ucieczki wyprowadzonej przez Belga Rika Van Looya ponad 100 kilometrów przed metą. Udało im się zdobyć – im i kolejnej garstce śmiałków – ponad siedmiominutową przewagę. Z tego scenariusza wkrótce

wypisał się Van Looy, jadący w żółtej koszulce lidera, po upadku, wskutek którego – jak się wydawało – złamał sobie obojczyk, ale według lekarza wyścigu nie spowodował nic poza stłuczeniami. Belg odjechał samochodem i dostał sporą karę za nieusprawiedliwioną rezygnację. To sprawiło, że po szóstym etapie pierwsze miejsce zajmował Pérez Francés. Nie cieszył się nim jednak długo, ponieważ jego ekipa, potężna Ferrys, zaczęła się rozpadać 72 godziny później, w Kraju Basków, w drodze do San Sebastián.

Siedemdziesiąt kilometrów przed stolicą prowincji Gipuzkoa grupa Kas, pochodząca z pobliskiej Vitorii, postanowiła wywrócić wyścig do góry nogami za pomocą zagrania, na które zareagowała Ferrys, być może w najbardziej kontrowersyjny sposób z możliwych. Nie odpowiedziała bowiem Pérezem Francésem, tylko Luisem Otaño, dobrze znającym teren, przez który tamtego dnia przejeżdżał peleton. Miał on jednak w głowie inne plany, niż bronienie szans swojego lidera za sprawą zwykłej obecności w czołowej grupie. Kiedy do mety pozostało 36 kilometrów i mając przed sobą wspinaczkę na Agiñę, Otaño zaskoczył wszystkich mocnym atakiem, dzięki czemu, przekraczając metę, zdobył podwójną nagrodę. Wygrał etap i został nowym liderem, odbierając żółtą koszulkę swojemu koledze, zdumionego tym, czego właśnie doświadczył.

Równie zdumiony jak Pérez Francés był sam Otaño, który zostawił swój rower i ze spuszczoną głową chodził po mokrej murawie stadionu Atocha. Nie mógł odzyskać tchu, wydusić z siebie ani słowa, odpowiedzieć gestem kibicom, którzy prosili i skandowali „Luis, Luis!”. Musiało minąć pięć minut, żeby nieco orzeźwiony Otaño otworzył usta, chociaż nie wiedział jeszcze, że swoją akcją zrzucił własnego lidera z najcenniejszego miejsca, ponieważ dopiero w tym momencie kończył się etap. „Nie chciałem, żeby Pérez Francés stracił żółtą

koszulkę. Ja, jako że znalazłem się w ucieczce i byli w niej kolarze z innych ekip, zrobiłem wszystko, żeby zostawić ich za sobą", próbował się tłumaczyć Bask. Kilka sekund później nadeszła kolej na odpowiedź pokonanego, który się uczesał i podszedł do dziennikarzy z szelmowskim uśmiechem. „Ja miałem tylko pilnować Poulidora", powiedział, przekonany, że jego kolega zrobił to, co należało. Dziwiła jednak taka uprzejmość i serdeczność. Niedługo wszystko miało się wyjaśnić.

Prawda jest taka, że wyścig zrobił się emocjonujący. „Dzięki zachowawczej taktyce Péreza Francésa Vuelta niespodziewanie stała się interesująca i zagadkowa" – napisał Luis Losada na łamach „ABC". „Nie zdziwiłbym się, gdyby niebawem zbuntował się Manzaneque", zaryzykował stwierdzenie specjalny wysłannik gazety. Oczywiście Losada trafił, ponieważ wkrótce trzeci kolarz z tria Ferrys znalazł się na czołówkach gazet, skarżąc się, że brakuje mu wolności, że jest zamknięty w ekipie, która woli innych zamiast niego. I o ile słowa może ponieść wiatr, to czynów już nie.

Wybuchnął w mediach, ale do akcji wkroczył na 12. etapie tamtej nieprzewidywalnej Vuelty. Manzaneque, trzeci w edycji z 1958 roku i szósty w Tour de France w 1961, wyrwał do przodu, wspinając się na przełęcz Alisas, 40 kilometrów od Santander, na dodatek rodzinnego miasta José Péreza Francésa. Manzaneque zyskał ponad minutę przewagi nad swoimi kolegami i awansował z piątego na trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej. Tymczasem Kantabryjczyk starał się, aby pęknięcia w zespole nie były widoczne na zewnątrz: „Najważniejsze jest to, żeby wygrał ktoś z naszej ekipy, nieważne kto". Ale Manzaneque, który tracił niewiele ponad dwie minuty do Otaño, nie myślał tak samo: „Jeśli o mnie chodzi, drużyna nie istnieje". To było więcej niż ostrzeżenie.

Gwiazdy Ferrys zawładnęły wirtualnym podium Vuelty na końcowej prostej, zbliżając się nieubłaganie do długiej jazdy indywidualnej na czas na trzecim od końca etapie, kiedy jeszcze wiele mogło się zdarzyć. Podczas gdy wszystkie oczy były skierowane na hiszpańskie trio, prawie nikt nie zauważał tego, który – przynajmniej teoretycznie – był wielką gwiazdą wyścigu, Francuza Raymonda Poulidora, zwanego pieszczotliwie „PouPou", który pedałował w cieniu, nie robiąc wokół siebie szumu, nie chcąc przeszkadzać, czekając na właściwy moment, na swój moment. Nie tracił zimnej krwi wobec wewnętrznych porachunków rywali ani mistrzowskiej akcji „Zegarmistrza", pochodzącego z Ávili Julio Jiméneza, dzień przed czasówką.

Wobec obojętnej ekipy Ferrys, w której nikt nikogo nie wspierał, Jiménez pokazał sportową złość w Górach Kantabryjskich i przyjechał na metę w León, mając osiem minut przewagi nad faworytami, co wystarczyło, aby założył żółtą koszulkę zaledwie na trzy dni przed finiszem w Madrycie. „Trzeba było coś zrobić. Wyścig nie mógł wyglądać tak jak w ostatnich dniach i uznałem, że dzisiaj był na to dobry moment", mówił najsłynniejszy „Zegarmistrz" w peletonie, który miał niecałe pół minuty przewagi nad Otaño, dwie minuty nad Pérezem Francésem, niewiele ponad dwie i pół nad Manzaneque i Eusebio Vélezem oraz trzy minuty i 17 sekund nad Poulidorem.

Licząca 73 kilometry czasówka z metą w Valladolid miała przypieczętować los całej tej szóstki. I oczywiście, zgodnie z przewidywaniami, tak jak każdy przypuszczał, wygrał Francuz. „PouPou" nie dał żadnej szansy na niespodziankę, odnosząc zwycięstwo etapowe i całościowe. Skromny kolarz zachowywał się na trasie Vuelty jak maszyna, pożerając hiszpańskich zawodników niczym trzymetrowy potwór

pochłaniający herbatniki. Milcząc i bawiąc się w chowanego, Raymond Poulidor przejechał cały wyścig z sekretem, którego nie znał nikt oprócz niego: miał cudowną pewność, że zdobędzie żółtą koszulkę w Valladolid. Dlatego pozwolił na to, by jego rywale przez dwa tygodnie walczyli między sobą, słownie okładali się pięściami za pośrednictwem gazet, wyżywali się na szosie, wykańczali się niemożliwymi atakami. Dzięki idealnej strategii Francuz, który sprawiał wrażenie, że lepiej zna każdy metr trasy niż lokalni zawodnicy, pokonał wszystkich, tak jak potrafią tylko ci najwięksi.

Dwudziestoośmioletni Poulidor wyglądał na człowieka, który będzie królował przez najbliższe lata. Tak uważali eksperci. „Oto Raymond Poulidor, człowiek, który zaczyna. Dzisiaj odniósł pierwsze wielkie zwycięstwo w karierze. Jestem pewien, że jeśli pozostanie wierny rozsądnym treningom swego mistrza Antonina Magne'a, będzie wielką postacią światowego kolarstwa, tym bardziej że niedługo z peletonu odejdą Anquetil i Bahamontes", napisał Luis Losada, który – tak jak wszyscy – nie wiedział, że kolarstwo powita wkrótce swojego ulubionego kanibala. O ile Anquetil zatruł Poulidorowi pierwszą część kariery, to Eddy Merckx utrwalił jego pseudonim „wiecznego przegranego". „PouPou" osiem razy stawał na podium Tour de France i czterokrotnie na podium mistrzostw świata, lecz nigdy nie wygrał żadnej z tych dwóch imprez.

Na przekór logice

Było to starcie buntownika z buntownikiem. Nieustanna walka z ustalonym porządkiem. Opowieść heroiczna, pasjonująca i poruszająca. Była to historia równie piękna, co efemeryczna, równie wspaniała, co tragiczna. Pojedynek twarzą w twarz, ramię w ramię, bez spuszczania wzroku. Dwaj mężczyźni, jeden pochodzący z Kastylii-La Manchy, drugi z Asturii, zapewnili porywający recital emocji z dozą zawziętości i kontrowersji, ale także z dodatkiem dramatyzmu, równie przeklętego, co potrzebnego w każdej heroicznej opowieści. Byli idealnymi następcami Federico Martína Bahamontesa, kolarza niepowtarzalnego, który odkrył nowe ścieżki, poszatkował zawsze zarezerwowaną dla Hiszpanów rolę przegranego, i nauczył nas wygrywać w domu nieprzyjaciela. Dzięki „Orłowi" płakaliśmy ze szczęścia, a za sprawą Luisa Ocañi, tragicznego „Francuza", oraz José Manuela Fuente, wyjątkowego i nieodżałowanego „Tarangu", przebyliśmy pasjonującą drogę, na której cieszyliśmy się jak dzieci i na której wzruszaliśmy się jak dorośli, a kiedy obydwaj odchodzili z tego świata, nasze serca zaczęły bić słabiej.

O ile pisząc o życiu i przebiegu kariery sportowców uprawiających inne dyscypliny, trzeba dokonać olbrzymiego wysiłku, żeby emocjonować się czymś, co wcale nie jest aż tak emocjonujące, o tyle w kolarstwie jest zupełnie inaczej. Trzeba bardzo się starać, aby nie dać się porwać pasjonującej narracji. Dlatego też niełatwo jest opowiadać o batalii, którą całymi latami toczyli na szosach połowy Europy dwaj bohaterowie, którzy nie patrzyli na liczniki, którzy dawali się ponieść impetowi i których już z nami nie ma. Ocaña, cierpiący na

depresję i marskość wątroby, popełnił samobójstwo, strzelając sobie w głowę, w wieku zaledwie 48 lat. Zniknął fizycznie i tylko fizycznie, ponieważ niewidzialne ślady mistrzów nigdy nie są zacierane. Doszło do tego w 1994 roku, zaledwie dwa lata przed Fuente, który zmarł, mając 50 lat, jako niewolnik wspomnień, jakie zostawiła mu płonica, której nabawił się w dzieciństwie i która spowodowała nawet, że jako dziewięciolatek na 11 dni stracił wzrok.

„Nigdy nie miałem prawdziwego dzieciństwa ani prawdziwej młodości", napisał „Tarangu" w autobiografii. Urodzony w Limanes, małej asturyjskiej parafii [hiszpańska jednostka administracyjna], która nie liczy nawet tysiąca mieszkańców, Fuente, pochodzący z bardzo prostej rodziny, syn rolników, wcześnie zaczął zmagać się z chorobą i prawie nie miał szansy na naukę. Ukończył szkołę podstawową i porzucił książki na rzecz pracy na roli, harując po 12 godzin dziennie, a później zaczął pracować jako robotnik metalowiec. Tymczasem jego zamiłowanie do rowerów otrzymało nowy impuls – gdy miał 14 lat, ojciec kupił mu za 150 peset rower od miejscowego nauczyciela. „To był rower rekreacyjny", wspominał Fuente, który marzył o tym, by być jak Anquetil, jak Bahamontes, aby samemu dokonać jednego z tych wyczynów, które sprawiały, że zapominał o wszystkim.

Biorąc pod uwagę jego niewielkie zarobki i smutną sytuację finansową rodziców, „Tarangu" musiał wypożyczać rower, kiedy zapisywał się na jakiś wyścig. A jako że radził sobie całkiem nieźle, wkrótce kupił sprzęt z drugiej ręki. Czas mijał mu wśród pokonywanych kilometrów i sprzeczek z rodzicami, którzy nie chcieli, żeby został kolarzem, aż trafił do wojska. Tam nie zapomniał o treningach, chociaż musiał to robić w stroju wojskowym. Taki właśnie był – twardy i uparty Asturyjczyk, który jeśli coś wbił sobie do głowy, nie ustawał,

dopóki tego nie osiągnął. Działo się tak również podczas wyścigów. Gdy pojawiała się myśl o ataku, reagował w ciągu sekundy i przyspieszał. A jeśli mu się nie udawało, próbował ponownie. Raz i drugi, aż opadał z sił. „Tak było już za czasów amatorskich, kiedy atakowałem na wszystkich wyścigach. Na metę prawie zawsze przyjeżdżałem ostatni".

Fuente przeszedł na zawodowstwo w 1971 roku, kiedy trafił do legendarnej grupy Kas. W tym czasie Luis Ocaña, pochodzący z Priego w prowincji Cuenca, Francuz w Hiszpanii i Hiszpan we Francji, zachwycał już w wielkich tourach. Jako dziecko Ocaña wyemigrował z rodziną do Mont-de-Marsan, francuskiego miasteczka, gdzie wychowywał się na przyszłego i najgroźniejszego rywal samego Eddy'ego Merckxa. Nie było większego zmartwienia dla „Kanibala" niż Ocaña (a także Fuente, który nie dawał mu żyć podczas Giro). Obydwaj, Eddy i Luis, wyznaczyli jedną z najbardziej pamiętnych epok w historii Tour de France, gdzie szczęście zawsze było po stronie żywej legendy, a niepowodzenia po stronie najbardziej niefortunnego spośród kolarzy, nieszczęsnego Hiszpana.

I o ile podczas francuskiego lata to Merckx był największym przeciwnikiem Ocañi, który wygrał Wielką Pętlę dopiero wtedy, gdy Belg nie brał w niej udziału, czyli w 1973 roku, o tyle w Vuelcie był nim „Tarangu", tworząc edycje dla potomności, niektóre w czołówce najlepszych w historii. Debiut Fuente w hiszpańskim wyścigu zbiegł się z pierwszym zwycięstwem w klasyfikacji generalnej (i jedynym pomimo wielu prób) Ocañi, w 1970 roku, który był drugi w 1969, a rok wcześniej został mistrzem Hiszpanii. Mając zaledwie 24 lata, pokonał Agustína Tamamesa w wyścigu, w którym zaczął dominować już od prologu w Kadyksie, a jako 25-latek, w 1971, zderzył się z belgijskim murem – Ferdinand Bracke i Wilfried David zepchnęli go na najniższy stopień podium.

Kiedy w 1972 roku, w wieku 26 lat, Ocaña postanowił nie brać udziału w Vuelcie z powodu pieniędzy i dlatego, że zażyczył sobie ponad 40-kilometrowej czasówki, Fuente, który błysnął już na etapach we Włoszech i Francji, teraz mógł oczarować Hiszpanię. „Próbowaliśmy doprowadzić do rywalizacji Ocaña-Merckx, ale nie byliśmy w stanie tego zrobić, bo jeden postawił takie warunki, jak na gwiazdę przystało, a drugiemu nie pozwolili wystartować sponsorzy", wyjaśniał dyrektor Vuelty Luis Bergareche. Walka o końcowe zwycięstwo była więc otwarta. W wyścigu brali udział wszechstronny legendarny Bask „Txomin" Perurena, indywidualista Jesús Manzaneque, a także Agustín Tamames, Miguel María Lasa, José Antonio González Linares oraz wielu obcokrajowców, jak Portugalczyk Joaquim Agostinho, który stracił przytomność po tym, jak zaliczył poważny upadek na drodze w kierunku Tarragony na ósmym etapie.

Vuelta 1972 była najcięższa ze wszystkich organizowanych do tamtej pory, ponieważ po raz pierwszy finały etapów zaplanowano także w górach, na Formigal i na Arrate, w trudnym ostatnim tygodniu wyścigu. A jakaż mogłaby być lepsza sceneria dla popisów „Tarangu", tego 26-letniego Asturyjczyka, który dni magiczne przeplatał z katastrofalnymi, cudowne akcje z dopadającymi go groźnymi „bombami". Fuente był bowiem zawodnikiem kontrastów i właśnie z tego powodu podczas edycji z 1972 roku nieliczni zwracali uwagę na jego nazwisko przy wskazywaniu kandydatów do końcowego zwycięstwa, które na niebywale nudnym początku wyścigu widziano na koncie Perureny. Wszystko wskazywało na to, że nadeszło nowoczesne kolarstwo, bardziej taktyczne i mniej pasjonujące, bardziej defensywne i mniej atakujące. Ale tak nie było. „Tarangu" miał ożywić ten wyścig.

Począwszy od czwartego etapu, liderem był „Txomin” Perurena, który na czele wyścigu stał również na starcie 12. etapu, mając za sobą całą potężną ekipę Kas, która go chroniła. Tego dnia na Formigal, w Pirenejach w prowincji Huesca, góry po raz pierwszy miały być metą etapów Vuelty. Był to idealny dzień na spektakl Fuente, pomocnika Perureny, do którego tracił ponad dwie minuty. Asturyjczyk został wybrany przez dyrektora Kas, Antóna Barrutię, żeby odpowiedzieć na atak przeprowadzony przez José Grande niedługo po rozpoczęciu etapu w Saragossie. Kilkadziesiąt kilometrów dalej Fuente porzucił swoich kompanów i ruszył samotnie, jadąc 80 kilometrów aż do mety, dokonując wyczynu będącego w zasięgu tylko nielicznych. „Tarangu” frunął po terenie, na którym rodziły się legendy kolarstwa, po zniszczonych i stromych drogach, między ośnieżonymi szczytami.

Pożerał kilometry z taką zachłannością, że 15 biednych kolarzy nie zmieściło się w limicie czasu. Zostali oni jednak przywróceni do wyścigu, ponieważ ich kat przesadził, znacznie przekraczając średnią przewidzianą prędkość. Aby lepiej zrozumieć jego wyczyn, wystarczy jedna informacja: na metę przyjechał z prawie dziewięciominutową przewagą nad Perureną, swoim szefem i liderem wyścigu. Fuente zrobił wielkie wrażenie i teraz prowadził w klasyfikacji generalnej. „Zaczynałem wyścig z takim zadaniem, by pomóc wygrać Lasie, a sam miałem próbować zwyciężyć w górach, gdyby nadarzyła się ku temu okazja, ale teraz…”. Teraz on, kolarz nieprzewidywalny, był czołową postacią po zastosowaniu taktyki nakreślonej w trakcie etapu, do czego szczerze przyznał się sam Barrutia: „W hotelu planuje się wiele wyścigów, które później układają się zupełnie inaczej”.

Barrutia był postacią, na którą skierowane były wszystkie spojrzenia, ponieważ to do niego należała decyzja, jaką

podejmie Kas. Ułatwił to jednak poszkodowany Perurena, który powiedział mu, żeby postawił na Fuente, żeby spróbował wygrać Vueltę z Asturyjczykiem, mocnym i zmotywowanym po tym, co wydarzyło się między Saragossą a Formigal. Podczas następnych etapów nowy lider wyścigu ograniczył się do potwierdzania tego, że jego kandydatura jest poważna, walcząc na Arrate i El Vivero w drodze na metę w Bilbao. Lasa i Tamames, ci najbardziej aktywni, z niecierpliwością czekali na 16. etap przedostatniego dnia (Vuelta kończyła się dwuczęściowym etapem dzień później), między Kantabrią (Torrelavega) i Krajem Basków (Vitoria). Do hiszpańskiego duetu przyłączył się Francuz Désiré Letort, aby powalczyć o drugie miejsce dla Lasy. Ich akcja, ponad 70 kilometrów przed końcem etapu, sprowokowała kolejny wspaniały występ José Manuela Fuente, który przyspieszył, kiedy Francuz zwiększył już dystans. Dogonił go i zostawił za sobą, aby wspiąć się na przełęcz Orduña, gdzie dotarł samotnie. Chciał udowodnić, że wygrana na Formigal, jak również zwycięstwo w Pirenejach w Tour de France, nie były przypadkowe. Dlatego gdy tylko dał jasno do zrozumienia, że jest królem gór, zwolnił i pozwolił się wyprzedzić ścigającym go rywalom. Chciał zaczekać na swojego kolegę José Antonio Gonzáleza Linaresa, żeby ponownie doprowadzić go do grupy najlepszych. Wielki pokaz dominacji.

„»Operacja Fuente« zakończyła się znakomicie. Jej cele zostały z łatwością zrealizowane. Zwycięstwo ma już w kieszeni, jego przewaga pozostaje niezagrożona. Pozwolił odjechać Letortowi, Uribezubii i Menéndezowi i zaczekał na Gonzáleza Linaresa. Dołączył do niego i zabrał ze sobą, aż obydwaj dojechali do czołowej grupki”, napisał dziennik „ABC” w relacji z tego pamiętnego etapu. „Patrzeć, jak ten chłopak wspina się na przełęcze, to piękne widowisko. Jedzie lekko,

niczym na skrzydłach, jakby bez wysiłku, sprawiając niebywałe wrażenie nieważkości”.

Pozostał jeszcze minietap i wieczorna 20-kilometrowa czasówka, ale Vuelta 1972 została już rozstrzygnięta przez „Tarangu”, agresywnego na rowerze, lecz spokojnego, dobrego człowieka, gdy z niego schodził. Pamiętał też o tym, komu tak naprawdę zawdzięcza to, że mógł zdobyć żółtą koszulkę: „Dedykuję to zwycięstwo Barrutii, który dużo ryzykował, gdy postanowił we mnie uwierzyć”. Fuente wszedł na najwyższy stopień podium w San Sebastián, mając sporą przewagę nad swoim kolegą Miguelem Marią Lasą, ponad sześć i pół minuty, i nad swoim rywalem Agustínem Tamamesem (siedem), jedynym zawodnikiem z pierwszej ósemki, który nie należał do grupy Kas.

Fuente nie wrócił na Vueltę w następnym roku, w 1973, kiedy Ocaña zajął drugie miejsce, ale wystartował w 1974, w edycji, która była jedną z najlepszych, a obydwaj zawodnicy prezentowali szczytową formę. A przecież żaden z nich nie stanął na starcie z zamiarem stoczenia prawdziwej walki, ponieważ „Tarangu” myślał o Giro, z kolei „Francuz” o wszystkich trzech wielkich imprezach, w związku z czym Vueltę traktował jak trening. Ich rywalizacja zaczęła się po ostatnim Tour de France, kiedy Ocaña chciał, żeby Fuente był jego osobistym Eddym Merckxem, i gdzie wybuchła między nimi walka podczas ataków podejmowanych bez żadnego sensu. „Chciałem, żeby Fuente, który robił wszystko, by uprzykrzyć mi życie, był moim Merckxem, ale zdałem sobie sprawę, że on jest bardziej jak ja: to szalony buntownik, który nigdy nie ugnie się przed niczyim autorytetem”, opowiadał swojej żonie Josiane, co ujawnił dziennikarz Carlos Arribas w książce *Ocaña*.

Z dwiema gwiazdami patrzącymi kątem oka na rywali Vuelta 1974 wyruszyła z Almeríi z Miguelem Marią Lasą jako faworytem numer jeden. W wyścigu jechał również „Txomin” Perurena, który znowu był liderem, kiedy Fuente kolejny raz narobił zamieszania w madryckich górach, na dziewiątym etapie wyścigu. Wyścigu, który zapowiadał się na historyczny, zapamiętany przez wszystkich, którzy go obserwowali. Na podjeździe pod Los Leones Fuente przypuścił atak. Odpowiedział mu Ocaña, któremu jednak zabrakło sił, przez co musiał zmniejszyć tempo. O pół minuty wygrał ten pierwszy, który jeszcze więcej sekund zyskał następnego dnia podczas króciutkiej i dziwnej czasówki w Los Ángeles de San Rafael, liczącej zaledwie pięć kilometrów – był to wymysł ekscentrycznego i zawsze kontrowersyjnego Jesúsa Gila[9], założyciela tej miejscowości i właściciela (albo i nie, któż to wie) pieniędzy, które wyłożył na stół organizatorom Vuelty, aby w ten sposób wypromować swój wielki urbanizacyjny projekt.

Po tym etapie liderem został „Tarangu”, bardziej przyzwyczajony do chłodu i śniegu, który bez przerwy towarzyszył kolarzom. „To zimno mnie zabija”, skarżył się Ocaña, tracąc w klasyfikacji generalnej ponad półtorej minuty do swojego wroga i nie wiedząc jeszcze, że naprawdę potężny cios otrzyma kilka dni później, i to na terenie rywala, na Naranco. Rywala, cieszącego się z dobrej formy i nadzwyczaj zmotywowanego jazdą po swoich drogach, przy wsparciu swoich krajan, w żółtej koszulce lidera. Tamtego dnia Fuente wygrał etap, a na Ocañę spadł deszcz plwocin, wyzwisk i gwizdów. Hiszpański idol nie był mile widziany na asturyjskiej ziemi.

Napięcie rosło. A Ocaña cierpiał, ponieważ kaszel ledwie pozwalał mu mówić, ponieważ jechał z zapaleniem oskrzeli, ponieważ stracił kolejne trzy minuty i ponieważ czekały go

jeszcze dwa etapy w Księstwie Asturii. Ale pojawił się „Tarangu", żeby uspokoić swoich ziomków, prosząc ich publicznie, aby – choćby byli jego najbardziej zagorzałymi kibicami – nie zapomnieli następnego dnia oklaskiwać Luisa, który nie zasłużył na to, co spotkało go podczas podjazdu pod Naranco. I kibice go posłuchali. Wielka owacja powitała Ocañę na starcie w Oviedo, gdzie kolarz Kas zatopił się we wzruszającym uścisku z liderem Bic, przepraszając go za to, co się stało.

Vuelta była kontynuowana z atakami Ocañi na Fito i Urkioli i upadkiem obydwu dzień przed zakończeniem wyścigu. Jechali tak blisko siebie, jeden tak się bał drugiego, że ich kierownice sczepiły się ze sobą na zjeździe z Elgety. Ocaña podniósł się bez żadnych obrażeń, ale Fuente nie miał tyle szczęścia i nie był w stanie zatamować krwi lecącej z twarzy. Być może z powodu tego zakrwawionego oblicza właściciel żółtej koszulki uniknął surowego przyjęcia, jakie na mecie przygotowali dla niego zagorzali zwolennicy Miguela Maríi Lasy, drugiego w klasyfikacji generalnej, który kilka dni wcześniej doniósł mediom o zdradzie swojego dyrektora, a zarazem dyrektora „Tarangu".

Tamtego dnia Fuente oddał zaledwie kilka sekund, wytrzymując ostatni dwuczęściowy etap, żeby przypieczętować swój drugi triumf w Vuelcie. Tym razem tytuł zapewniło mu 11 sekund dzielących go od Joaquima Agostinho. Ponad minutę przewagi miał na Lasą i prawie dwie minuty nad wielkim przegranym Luisem Ocañą, bohaterem, który nie chciał wcześniej wrócić do domu, ponieważ – jak uważał – mężczyzna nigdy nie rezygnuje, kiedy porażka jest blisko. Ocaña próbował się zmobilizować, ale nie mógł nic zrobić wobec naporu nieujarzmionego Fuente, który nie mając czasu na cieszenie się zwycięstwem, udał się do Italii, by wystartować w Giro. We

włoskim wyścigu zajął piąte miejsce, nie mogąc poprawić swojej drugiej pozycji z 1972 roku, mimo że zdominował tamtejsze góry jak nigdy wcześniej, sprawiając, że wielki Eddy Merckx padał na twarz. Końcowy triumf uniemożliwiła mu tylko jedna z typowych dla niego „bomb". Stał także na podium Tour de France – w 1973 roku był trzeci.

„Ocaña i Merckx pozbawili mnie wielu zwycięstw. Luis jest najlepszym hiszpańskim kolarzem wszech czasów, a Eddy moim wrogiem i przyjacielem numer jeden", powiedział przed śmiercią Fuente, który wrócił na Vueltę już tylko rok później, w 1975, na następny wyczekiwany rozdział pojedynku z Ocañą. Jednak kolejne odcięcie prądu wyeliminowało Asturyjczyka z walki, podczas gdy kolarzowi z Kastylii-La Manchy zabrakło minuty, aby znaleźć się na podium. Dwa miesiące później kariera José Manuela Fuente napotkała poważne przeciwności losu. Pierwszy etap Tour de France ukończył poza limitem czasu i po nim wyznał, że coś w jego organizmie nie funkcjonuje tak jak dawniej. „Wszyscy mi mówili, że po prostu nie byłem w formie, ale ja prawie umierałem", tłumaczył jakiś czas później.

Mając zaledwie 29 lat, Fuente dowiedział się, że cierpi na toksyczne zapalenie wątroby i przewlekłą chorobę nerek. Były to skutki przebytej w dzieciństwie płonicy. Próbował wrócić do ścigania, zrywając kontrakt z Kas, podpisując umowę z włoską grupą Bianchi i nawet biorąc udział w Vuelcie a los Valles Mineros[10] w 1976 roku. Właśnie podczas tego wyścigu zdał sobie sprawę, że nie nadaje się już do tego zajęcia, które dostarczyło mu tyle radości, do tej dyscypliny, która w swojej księdze bohaterów miała już stronę z jego nazwiskiem. Definitywnie rozstał się z kolarstwem prawie dwa lata wcześniej niż jego zawzięty rywal Luis Ocaña, któremu zostało do zdobycia jeszcze jedno podium w Vuelcie, właśnie

w 1976 roku. Do historii przeszły edycje naznaczone przez prawdopodobnie najbardziej pasjonującą i najbardziej emocjonującą rywalizację w dziejach hiszpańskiego wyścigu.

Wreszcie „Kanibal”

Organizatorzy Vuelty marzyli o nim, odkąd wygrał swój debiutancki Tour de France w 1969 roku. Mając zaledwie 24 lata, Eddy Merckx, najlepszy kolarz wszech czasów, przypieczętował swój triumf we Francji, aby dołożyć kolejne trofeum do zapełnionej po brzegi gabloty. Pomimo młodego wieku kolekcjoner zwycięstw, który jako dziecko nie cierpiał książek, a jako dorosły człowiek nienawidził smaku porażki, miał już na koncie wygrane Giro, mistrzostwa świata, kilka wyścigów Mediolan–San Remo, Paryż–Roubaix, Dookoła Flandrii, Liège–Bastogne–Liège, Strzała Walońska… A była to jedynie niewielka próbka tego, co osiągnął w całej karierze: pięć zwycięstw w Tour de France, pięć w Giro, jedno w Vuelcie, trzy wygrane mistrzostwa świata, siedem wyścigów Mediolan–San Remo, pięć Liège–Bastogne–Liège, trzy Paryż–Roubaix, dwa Giro di Lombardia, dwa Dookoła Flandrii… Prawdziwa maszyna, kolarz, który przybył z odległej planety i pożerał rywali tak jak ktoś, kto każdego ranka pije kawę, aby rozpocząć dzień. Nikt ani wcześniej, ani później nawet się nie zbliżył do jego osiągnięć. Nawet tamten amerykański superbohater, który wiele lat później w niebieskim stroju wcisnął się do europejskiego peletonu, a po jakimś czasie stał się niewidzialny.

„Kanibala” chciano sprowadzić u szczytu popularności, ale kierownictwo hiszpańskiego wyścigu nie było w stanie go przekonać. Bo albo Vuelta nie pasowała mu do kalendarza, albo sponsor ekipy Molteni, producent wędlin, uznał, że tutaj, w Hiszpanii, jego firma nie zarobi. Tysiące razy organizatorzy Vuelty puszczali do niego oko, ale gwiazda światowego kolarstwa opierała się ich urokom. Po wielu nieudanych

próbach w 1973 roku znaleźli idealną drogę, aby dotrzeć do Merckxa, który teraz i owszem, chciał wystartować w Vuelcie, aby wygrać jedyny wielki tour, jaki pozostał mu do skompletowania. Z tak wspaniałej okazji, edycji, która wywoływała ogromne poruszenie, trasa została skrojona na miarę Belga i z myślą o tym, by odebrać szanse jego wielkiemu rywalowi, Luisowi Ocañi, który wściekał się z powodu takiej niegodziwości. I w gabinetach kierownictwa wyścigu nikt tego nie ukrywał: „Proszę bardzo, macie ich. Zrobiliśmy wszystko, aby sprowadzić Merckxa. A później wy, dziennikarze, nalegaliście, żeby wystartował także Ocaña, więc macie ich obu. To, co się teraz stanie, to już ich sprawa… i wasza. Oni będą rywalizować, a wy będziecie to relacjonować”.

Trasa Vuelty 1973 rozpoczynała się w turystycznej miejscowości Calp i wiodła z południa na północ po płaskim terenie, prawie bez górskich odcinków, co w końcu jest solą kolarstwa. Bardziej niż zawody z prawdziwego zdarzenia wyglądało to na hołd dla belgijskiej gwiazdy. Merckx wykorzystał prolog, aby założyć koszulkę lidera, której nigdy wcześniej nie nosił, i aby zacząć zwiększać przewagę nad Ocañią, a także nad Bernardem Thévenetem, Francuzem, który uzupełniał trio o mocnym zapachu Tour de France. Pierwszego dnia Ocaña oddał zaledwie sześć sekund, ale była to już zła wróżba, biorąc pod uwagę cudowny talent, jaki posiadał Merckx do zarządzania swoją przewagą, jakkolwiek niewielka by ona była.

Tylko dwa dni zajęło mu zdjęcie z siebie presji – o ile Merckx w ogóle wiedział, że takie słowo znajduje się w słowniku. Najpierw żółtą koszulkę odebrał mu Holender Gerben Karstens, a później, po czwartym etapie, przejął ją dzielny Katalończyk José Pesarrodona, który został liderem na rodzinnej ziemi Ocañi, we wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO

mieście Cuenca. Tam, na wrogim terenie, między wiszącymi domami a wiszącymi mostami, Merckx się zagotował i skrytykował organizatorów po tym, jak przez Radio Vuelta otrzymał błędną informację na temat danych, które później nie zgadzały się z tym, co zobaczył na własne oczy. Podano, że Pesarrodonę i jednego z pomocników Eddy'ego, Josa Deschoenmaeckera, od peletonu dzieliła tylko jedna minuta, a nie cztery, jak było w rzeczywistości. Kiedy szef ekipy Molteni zdał sobie z tego sprawę, błyskawicznie przyspieszył tempo grupy faworytów, aby cios był jak najmniej dotkliwy. Merckx ukończył etap jako trzeci, w klasyfikacji generalnej do lidera tracił półtorej minuty.

Po tym, co wydarzyło się w Cuence, Vuelta ograniczyła się właściwie do tego, co działo się na lotnych finiszach i na metach etapów, z całą uwagą skupioną na bonifikatach, przeklętych dla Ocañi i dla każdego rywala szybkiego Merckxa, który odzyskiwał utracony teren dzięki sekundom zdobywanym bez potrzeby atakowania. „Mam już dosyć rozmawiania o bonifikatach. Są do dyspozycji wszystkich. A poza tym to nie ja ustalałem zasady", chciał dać jasno do zrozumienia Belg, gdy w wyścigowej karawanie zaczęły się plotki. Jeśli ktoś miał coś do powiedzenia, powinien zadrzeć z nim w dżungli sprinterów, jechać na pełnej prędkości, walczyć ramię w ramię.

Zdobywając kolejne sekundy, Eddy Merckx powoli odrabiał straty, pieczętując swój wyczyn po 11. etapie, na którym wygrał górską premię na przełęczy Collformic oraz lotne finisze. To wystarczyło, aby odebrać koszulkę lidera Pesarrodonie, który akurat był u siebie: „Nie zniechęciła mnie jej utrata na oczach moich ziomków, bo to nie ja straciłem żółtą koszulkę. To zasady mi ją odebrały. Wiem, że na początku wszyscy je akceptujemy, ale to nie oznacza, że są one sprawiedliwe. Bez bonifikat Vuelta nie byłaby przesądzona, bo Merckx nie ma ekipy". Ocaña

podzielał jego zdanie: „Liczy się tylko zdobywanie bonifikat, a im ich więcej, tym lepiej. To oczywiste, że organizatorzy tak zaplanowali trasę, żeby wygrał Merckx. Bonifikaty są nawet przy wejściach do hoteli".

Oburzeni Hiszpanie skarżyli się publicznie, ale na szosie nie dawali za wygraną. Istniały jeszcze realne szanse na to, by znowu odebrać prowadzenie „Kanibalowi", który nie rozumiał, skąd brała się taka wrogość. On nie czuł się winny czegoś, na co nie miał żadnego wpływu. „Jeśli nikt nie stawia mi przeszkód, to sam nie będę ich sobie tworzył", powiedział Merckx, który wykonał właściwie decydujący krok podczas czasówki w Torrelavedze, na 17-kilometrowym etapie na dwa dni przed końcem wyścigu. Ocaña tracił po niej do Belga trzy minuty, gdy został już tylko jeden dzień jazdy w górach. Etap królewski.

Spodziewano się zasadzki Ocañi na trasie z przełęczami Alisas, Los Tornos i Orduña. I Hiszpan, zawsze gotowy do działania, nie miał zamiaru odpuszczać. Na Alisas wspiął się jako pierwszy, oczywiście nie uwalniając się od Merckxa, który odpowiedział mu na Los Tornos. Została więc walka na Orduñi, ostatniej przełęczy etapu. Ocaña zaatakował u podnóża i wreszcie pozbył się swojego uciążliwego wroga, człowieka, który skradł mu tyle zwycięskich popołudni. Na szczyt przełęczy dotarł z półminutową przewagą nad Merckxem, a także nad Thévenetem, który włączył się do tej rywalizacji. Zanim jednak zdążył zjechać, znowu siedzieli mu na kole. Nie miał szans. Ocaña nie wygrał tego etapu, pokonany przez Merckxa, który nawet nie mrugnął okiem i który już ocierał się o końcowe zwycięstwo w Vuelcie, jedynym wielkim tourze, w którym nigdy jeszcze nie triumfował. I udało mu się to. Belg wygrał znowu drugą część ostatniego etapu, krótką czasówkę w San Sebastián. Luis Ocaña przypieczętował po niej drugie miejsce, a podium uzupełnił Bernard Thévenet – obaj z dużą

stratą do „Kanibala”, który zawładnął okładkami hiszpańskich gazet.

I nie bez przyczyny, wszak najwspanialszy kolarz w historii właśnie podniósł wartość hiszpańskiego wyścigu jak nikt przedtem. Niezbyt szczęśliwy był za to Ocaña, który nie mógł się powstrzymać wobec natarczywości dziennikarzy: „Czyż nie sprowadzono mnie po to, żebym odgrywał rolę rywala dla Merckxa i zajął drugie miejsce? No więc wywiązałem się z zadania”. Miesiąc później Belg wygrał również Giro. W następnym roku skompletował legendarny tryplet, triumfując w Giro, w Tour de France i w mistrzostwach świata. Na Vueltę już nie wrócił.

Batalie „Borsuka” i „gówniany mistrz”

Brakowało jeszcze dwóch miesięcy do jego pierwszego triumfu w Tour de France, ale znawcy światowego kolarstwa już widzieli w Bernardzie Hinaulcie ewentualnego następcę Eddy’ego Merckxa, nowego „Kanibala” w osieroconym peletonie. Był 1978 rok i Francuz, „Borsuk” o silnej osobowości, który nie bał się stawiać czoła starszym, był wskazywany jako jeden z kolarskich brylantów. Miał już na koncie sporo wygranych wyścigów, niektóre z nich tak ważne, jak Liège–Bastogne–Liège, Gandawa–Wevelgem czy Dauphiné Libéré, ale jego data urodzenia wskazywała, że miał dopiero 23 lata, a jego dotychczasowe starty sygnalizowały, że nie posiadał żadnego doświadczenia w walce o klasyfikację generalną w wyścigach trzytygodniowych. Ale wielcy zawodnicy, tacy jak Anquetil czy sam Merckx, nie zwracają uwagi na czas trwania zawodów. Tak więc w tamtym sezonie Hinault, syn rolników, był wielkim faworytem Vuelty.

I bardzo szybko przedstawił swoją kandydaturę. Prolog w Gijón należał do niego. Był najszybszy na śliskim welodromie Las Mestas, gdzie zabrakło Ferdinanda Bracke, zwycięzcy Vuelty z 1971 roku, ponieważ ten przed rozpoczęciem etapu dostał zawału serca i trafił do szpitala. Ów inauguracyjny etap był pierwszym z pięciu, jakie wygrał wtedy Francuz, który – w stylu Merckxa – także zdobywał bonifikaty, wykorzystując czasem metody odbiegające od uczciwych, co wywołało złość jego rywali. Apogeum nastąpiło podczas 15. etapu na zjeździe, gdzie prowokacja Francuzów doczekała się odpowiedzi Hiszpanów. Enrique Cima, zmęczony już oszustwami Asturyjczyk, postanowił, że najlepszym sposobem na

zatrzymanie tego wszystkiego będzie chwycenie kierownicy Luciena Didiera, jednego z pomocników Hinaulta, który w rezultacie znalazł się na ziemi. „Didier zagrodził mi drogę, a potem mnie uderzył. Miałem dość jego sztuczek”, opowiadał później Cima, który dostał za to karę w wysokości 10 tysięcy peset.

Następnego dnia napięcie panujące między zawodnikami grupy Kas a obcokrajowcami nadal przynosiło pozasportowe wiadomości. Tym razem to Andaluzyjczyk Enrique Martínez Heredia uwikłał się w kłótnię z właścicielem żółtej koszulki, chociaż, na szczęście, ręce jednego nie miały kontaktu z kośćmi drugiego. „Byłem sam przeciwko 25 i tamtego dnia prawie wybuchła wojna”, wspominał po latach sam Bernard Hinault. I w gruncie rzeczy rozumiał zachowanie rywali: „Hiszpanom nie podobało się, że ktoś obcy robi z nich pośmiewisko. To ich urażona duma doprowadzała do takich niezrozumiałych reakcji”. Potem podkreślał różnice między sposobem jazdy Hiszpanów i reszty Europejczyków, nie potrafiąc pojąć, dlaczego – jego zdaniem – ci pierwsi nie umieją jeździć, bardziej zajmując się wewnętrznymi walkami.

Prawda jest taka, że tamta Vuelta (która z powodu mistrzostw świata w piłce nożnej odbywała się w tym samym czasie co Giro d’Italia) była pełna niecodziennych zdarzeń, jak choćby to z udziałem Andrésa Olivy, kolegi Cimy, Martíneza Heredii i ponownie „Borsuka”, o czym opowiadał ten pierwszy: „Podjechałem do niego i ryknąłem jak lew. Bernard chwycił mnie za szyję i potrząsał moją głową, a jako że był bardzo silny, kierownica wymknęła mi się z rąk i obaj wylądowaliśmy na ziemi”.

Hinault przypieczętował zwycięstwo w Vuelcie przedostatniego dnia, jadąc po mistrzowsku. W ten sposób relacjonował to dziennik „El País”: „Chcąc udowodnić, że może

być słusznym i oczywistym zwycięzcą wyścigu, Hinault, wielka nadzieja francuskiego kolarstwa, rozpoczął mocny atak przed przełęczą Orduña, jednej z pięciu premiowanych na tym etapie. Zostawił peleton, doścignął Gandariasa i Pizziniego, którzy jechali w ucieczce, i zostawił ich – najpierw Hiszpana, a później Włocha – 30 kilometrów przed metą, kiedy zobaczył, że ich zmiany na nic mu się nie zdają, bo dwie ostatnie przełęcze, Ayurdin i Chozas, pokonał jako pierwszy. Do Amurrio dotarł z przewagą minuty i 56 sekund nad grupą 14 zawodników, w której znajdowali się jego główni rywale". Jednak to, co się wydarzyło, to, co Francuz zrobił między Bilbao a Amurrio, najlepiej podsumował Andrés Gandarias, Biskajczyk z jednym wygranym etapem w Giro, którego akcja francuskiego kolarza całkowicie zaskoczyła: „Hinault jest taki jak Merckx. Prosił mnie o zmiany, ale powiedziałem mu, że jak niby miałbym to robić, skoro jedzie jak szalony. Wybuchnął śmiechem i odparł, że owszem, jedzie jak szalony. Zniszczył mi nogi".

Podczas tego wyścigu ujawnił się potencjał Bernarda Hinaulta jako kolarza stworzonego do wielkich tourów. Vuelta była pierwszą trzytygodniową imprezą, na której „Borsuk" stanął na najwyższym stopniu podium, ale oczywiście nie jedyną, bo dwa miesiące później wygrał pierwszy ze swoich pięciu Tour de France. Triumfował także w trzech Giro d'Italia, raz w mistrzostwach świata, a w 1983 roku wygrał kolejną Vueltę. Wtedy też po raz pierwszy TVE transmitowała wszystkie finałowe kilometry etapów i był to jeden z tych wyścigów, który najbardziej wciągnął kibiców, przyklejonych do ekranów telewizorów, aby zobaczyć walkę między światową gwiazdą a swoimi rodakami: Marino Lejarretą, Alberto Fernándezem czy Álvaro Pino. A także z kolarzami, którzy odcisnęli swoje piętno na tym sporcie, jak Holender Hennie Kuiper, znienawidzony Laurent Fignon i wielki Eduardo Chozas. To

była najlepsza siódemka (nie zapominając o Pedro Delgado, Juliánie Gorospe czy Vicente Beldzie) edycji, która przeszła do historii ze względu na udział mistrza Tour de France, Hinaulta, oraz właściciela tęczowej koszulki, Włocha Giuseppe Saronniego. Ale również z powodu pojawienia się na mapie wyścigu miejsca, które już na zawsze zostanie związane z historią Vuelty i kolarstwa, czyli Jezior Covadonga, tego asturyjskiego zakątka zawładniętego mgłą, deszczem i zimnem – obowiązkowymi składnikami, aby z ciężkiego podjazdu uczynić miejsce magiczne. Byli wspaniali kolarze i wystarczająco długa trasa. A także niemało emocji.

Przede wszystkim za sprawą Marino Lejarrety, sympatycznego kolarza znanego jako „Trzcina z Berriz", który został triumfatorem Vuelty w 1982 roku po dyskwalifikacji za doping Ángela Arroyo. Lejarreta – Biskajczyk, który mógł wygrać znacznie więcej, niż wygrał, bo na to zasłużył, wielokrotnie ocierając się o podium dwóch pozostałych wielkich tourów – od początku kariery cieszył się sympatią kibiców, którzy uwielbiali go za sposób jazdy i sposób bycia. Do dzisiaj zatrzymują go na wąskich ulicach Kraju Basków, aby poprosić o zdjęcie, o autograf, zupełnie jakby czas się zatrzymał.

Lejarreta zaskarbił sobie życzliwość ludzi dzięki takim występom jak właśnie w 1983 roku podczas emocjonującej bezpośredniej walki z samym Hinaultem, któremu wyrwał żółtą koszulkę po dwóch spektakularnych etapach pod koniec pierwszego tygodnia. Najpierw, podczas szóstego etapu (bardzo długiego, takiego jak przed laty) z finiszem w miasteczku Vielha, Hiszpanie chcieli zaleźć za skórę liderowi jeszcze przed pokonaniem połowy trasy, neutralizując ucieczkę na początku podjazdu pod przełęcz La Bonaigua. Właśnie tam Lejarreta, młody i obiecujący „Perico" Delgado, nieodżałowany Alberto

Fernández oraz utalentowany Julián Gorospe doszli do porozumienia, żeby zostawić w tyle Hinaulta, który mógł liczyć na pomoc jedynie swojego nieodłącznego wtedy Laurenta Fignona, Francuza z kucykiem. Wygrał Lejarreta, dzięki czemu założył żółtą koszulkę. „Bycie nowym liderem jest powodem do radości, ale losy wyścigu nie są jeszcze przesądzone, ponieważ faworytem, zarówno dla mnie, jak i wielu innych, wciąż pozostaje Bernard Hinault, który jest najlepszy w jeździe na czas", powiedział dziennikarzom baskijski kolarz ze swoją zwyczajową skromnością, tak rzadko spotykaną wśród gwiazd.

Natomiast podczas drugiego z tych wspomnianych sensacyjnych etapów, ósmego, ze startem w Sabiñánigo, stolicy kolarskiej turystyki, i metą na terenie uzdrowiska w Panticosie, otoczonego pejzażem niczym z bajki, Marino Lejarreta zaskoczył wszystkich i zaczął wierzyć, że może teraz się uda, że może tym razem wygra Vueltę na szosie. Podczas godnej zapamiętania czasówki kolarz z Berriz, który był tuż przed swoimi 26. urodzinami, pojechał tak, że pokonał nietykalnego Hinaulta. „Lejarreta upokorzył mistrza", „Klęska Hinaulta" – to niektóre z tytułów, jakie pojawiły się w prasie. „Francuz ma tylko dwa wyjścia: albo natychmiast zareaguje, albo się wycofa. Ta druga opcja wydaje się bardziej prawdopodobna, zważywszy na okoliczności. Wielu jego pomocników cierpi na zapalenie oskrzeli, a bez ich wsparcia albo jakiejś dziwnej koalicji jego zwycięstwo nie wydaje się możliwe. A porażka w Vuelcie musi być niezmiernym upokorzeniem dla jego dumy, może więc zasłonić się wymówką w postaci uciążliwego wirusa", napisał Juan José Fernández w „El País".

Jednakże to, co ekspertom zaczęło się wydawać niemożliwe – odrobienie strat przez będącego w słabej formie i pokonanego moralnie Hinaulta, który miał ponad dwie i pół minuty straty w klasyfikacji generalnej – nie było tylko mrzonką. Wielcy

zawodnicy właśnie dlatego są wielcy, że w najgorszych chwilach, kiedy wszyscy są przekonani, że już definitywnie upadną, oni nie tylko nie umierają, próbując przeżyć, lecz podnoszą się dzięki impulsowi, który sprawia, że stają się jeszcze bardziej niepokonani. Przydarzyło się to większości legendarnych kolarzy, łącznie z Hinaultem: podczas Vuelty 1983, która wydawała się przez niego już nie do uratowania, odrobił straty w stylu, który przeszedł do historii. I nawet to zapowiedział, pokazując jak zawsze charakter mistrza: „Kiedy mam stratę w klasyfikacji, staję się naprawdę groźny. Jeśli nie jadę w koszulce, która mi się należy, wykorzystuję każdą okazję, aby wyrwać parę sekund, bez względu na wszystko".

I tak, z toporem gotowym do cięcia, Bernard Hinault się odrodził – chociaż nigdy nie był martwy – aby jeszcze bardziej skomplikować życie szczęśliwym Hiszpanom. Dwa dni później, ponad 30 kilometrów przed finiszem w Sorii podczas dziesiątego etapu, idol Francuzów załapał się na atak przeprowadzony przez Holendra Kuipera. Obydwu kolarzom towarzyszyło siedmiu innych zawodników, wśród których znajdował się Marino Lejarreta. Hiszpan cierpiał i zaciskał zęby, aby nie wpaść w pułapkę swoich rywali, którzy poruszali się jak pociski, bo poczuli krew. Na mecie Lejarreta stracił ponad dwie i pół minuty, a także żółtą koszulkę, która trafiła do Juliána Gorospe. Drugie miejsce w klasyfikacji zajmował Alberto Fernández, trzeci był Hinault z dwuminutową stratą do nowego lidera.

„Mam nadzieję, że nie przytrafi mi się to samo, co spotkało Marino, bo Hinault jedzie coraz lepiej. Skoro wyrzucił z fotela lidera Lejarretę, w każdej chwili to samo może zrobić ze mną", ostrzegał młody, utalentowany kolarz grupy Reynolds. Francuz był bardziej zadowolony: „Dzisiaj wyeliminowaliśmy najmocniejszego zawodnika Vuelty". Jednakże ani Gorospe,

pomimo prób, aby oderwać się od grupki, ani Hinault nie wygrali tego etapu. Padł on łupem „marudy” Giuseppe Saronniego, który przez cały wyścig oskarżał innych o niewłaściwe zachowanie. Wkrótce on także został znienawidzony przez lokalnych kolarzy.

Z Jeziorami Covadonga oraz z grotą i bazyliką majaczącymi na horyzoncie Hinault przeprowadził kilka akcji na etapach przejściowych, dzięki czemu Gorospe oddał koszulkę lidera Alberto Fernándezowi i wszyscy zrobili się jeszcze bardziej nerwowi. I nad Jeziorami Covadonga, podczas 13. etapu, znów nastąpił moment zwrotny. Marino Lejarreta odżył – chociaż też nie był martwy – aby dokonać czegoś historycznego. To był spektakl Biskajczyka. Na zakrętach asturyjskiego podjazdu wciąż słychać echo głosów kibiców, podekscytowanych oglądanym widowiskiem. Bask przyspieszył na początku podjazdu, połykając kolejnych uciekających, i zaskoczył Hinaulta, któremu później zepsuł się rower. Francuz dobrze się bronił, bo na metę przyjechał ze stratą minuty i 11 sekund. Lejarreta wyprzedził Hinaulta w klasyfikacji generalnej: „Teraz mogę odzyskać straconą pozycję lidera”, cieszył się Hiszpan, któremu „Borsuk”, jeszcze w mokrym trykocie Renault, odpowiedział: „Wszyscy są przeciwko mnie i skrzętnie mnie pilnują, ale moim celem wciąż jest wygranie Vuelty i będę o to walczył”.

Owszem, walczył – i to jak. Hinault, któremu nie brakowało doświadczenia, mimo że nie miał jeszcze 30 lat, poszukał pomocy poza własną ekipą, zawierając układ z niecnym Saronnim, który dołączył do chorujących pomocników Francuza. Podczas następnego etapu Włoch nie zostawił w spokoju żadnego Hiszpana, kiedy Hinault opuścił już peleton. Każdy, kto chciał za nim ruszyć, był doganiany przez Saronniego, co wywołało wielką złość wśród hiszpańskich

zawodników. Najbardziej szczery ze wszystkich był Alberto Fernández, który po zakończeniu etapu podszedł do Włocha w strefie mety, aby przekazać mu jasną i zwięzłą wiadomość: „Jesteś gównianym mistrzem". Później, i już przy dziennikarzach, kontynuował w podobnym tonie: „To był haniebny i skandaliczny etap. To, co zrobił Włoch, było niesportowe i nikczemne".

Wybuchnął także Javier Mínguez, dyrektor sportowy grupy Zor, szef Fernándeza oraz nowego lidera Álvaro Pino, wskazując na spisek obcokrajowców przeciwko Hiszpanom. „Z Saronnim spotkamy się jeszcze na Giro i odpowiemy mu tym samym", ostrzegł Mínguez. Do festiwalu kontrowersyjnych wypowiedzi przyłączył się również José Miguel Echavarri, menedżer grupy Reynolds: „Wszyscy razem musimy walczyć przeciwko obcokrajowcom, bo na pewne rzeczy nie wolno pozwalać". Wojna już się rozpoczęła.

Na dodatek następny dzień miał być jednym z decydujących, i to w rodzinnych stronach Míngueza. Podczas dwuczęściowego etapu – rano płaskiego, a po południu 22-kilometrowej czasówki – w Valladolid powinny wyklarować się losy spektakularnego i pełnego napięcia wyścigu. I na nieszczęście dla Hiszpanów, to Hinault uderzył pięścią w stół, chociaż nie tak mocno, jak by chciał. Wygrał jazdę indywidualną na czas, lecz nie wskoczył nawet na podium klasyfikacji generalnej, w której teraz był czwarty, ze stratą około minuty do Gorospe, który tego dnia sprawił największą niespodziankę. Po zakończeniu czasówki kajety dziennikarzy znowu zapełniły się smakowitymi wypowiedziami głównych bohaterów. Tym razem to Hinault chciał się bronić przed wszystkimi oskarżeniami, jakie padły pod jego adresem w ciągu ostatnich dni: „Ja zawsze ścigam się po to, żeby wygrać, więc mówienie o tym, że Vuelta już mnie nie interesuje, jest kłamstwem. To samo tyczy się kwestii

pomocy, bo ja nikogo nie prosiłem o pomoc, jedynie moją ekipę. To, co robią albo czego nie robią inni, jest mi obojętne”.

Wygwizdanie Hinaulta na podium w Valladolid jeszcze bardziej podgrzało atmosferę Vuelty. A dzień później, na starcie, doszło do jednego z najbardziej wstydliwych momentów wyścigu – wyprowadzony z równowagi Francuz kopnął nastolatka, który delikatnie dotknął jego pleców. Próbował go też uderzyć, ale w tym momencie chłopiec już uciekł, a zgromadzeni kibice zaatakowali kolarza wyzwiskami i gwizdami.

Być może z powodu tego incydentu. Być może z powodu konfliktu z Hiszpanami. Być może dlatego, że był już w najwyższej dyspozycji. Być może dlatego, że był mistrzem. A może z powodu wszystkiego po trochu Bernard Hinault nie zwlekał z wymierzeniem decydującego ciosu, rozstrzygającego o losach Vuelty 1983. Ówczesny czterokrotny mistrz Tour de France nie miał zbyt dużo czasu, gdyż na końcu krętej drogi majaczył już Madryt. Na koszmarnym 17. etapie, trzecim od końca, Francuz zamienił kastylijskie góry w trumnę dla lokalnych kolarzy – z wyjątkiem Lejarrety i Beldy, którzy jako jedyni potrafili stawić mu opór. Reszcie pozostały łzy. Łzy Alberto Fernándeza, który wjechał na metę, mając ponad trzy minuty straty. Łzy załamanego Juliána Gorospe – który odnotował więcej niż 20 minut straty.

A przecież hiszpańskie ekipy ruszyły w stronę Ávili, zamierzając narobić zamieszania. Grupa Zor zaplanowała walkę, a Reynolds miała to wszystko kontrolować. Nie liczyły się natomiast z brutalną odpowiedzią, jaką dostały od Renaulta w Serranillos, gdzie Fignon przygotował atak swojego lidera, za którym wszyscy starali się jechać, ale ostatecznie się poddali. Tylko Lejarreta, dzielny i sympatyczny Marino, podziwiany nawet przez samego Hinaulta („Kolejny raz pokazał wielką

klasę”, powie po zakończeniu etapu), zdołał utrzymać się na jego kole. Później do tego duetu dołączył Belda.

Wygrał oczywiście „Borsuk”, który miał komu zadedykować to zwycięstwo. Vuelta, choć do końca pozostały jeszcze dwa etapy, należała do niego. A wydawało się to niemożliwe. „Dedykuję ten triumf Javierowi Mínguezowi, który powiedział, że mnie pomagają obcokrajowcy, ale dzisiaj mu pokazałem, nie słowami, lecz na rowerze, że nie potrzebuję niczyjej pomocy”. Czterdzieści osiem godzin później Bernard Hinault zdobył drugi tytuł w Vuelcie, aby powiększyć swoją listę trofeów, do której dołoży jeszcze kolejne. Zakończyła się batalia, która wciągnęła kibiców, która wzbudziła nadzieję u Lejarrety, Gorospe i spółki, która zdenerwowała Saronniego aż do granic możliwości i którą Hinault prowokował. Vuelta z nieprzewidywalnym scenariuszem i wspaniałym zwycięzcą, zawodnikiem, który dodał kolejny rozdział do książki, zbierającej przeżycia wszystkich tych, którzy nigdy się nie poddają.

Nadal nierozwiązana tajemnica

Kolarstwo to czasami dom wariatów. Szpital psychiatryczny, w którym można usłyszeć najbardziej kuriozalne opowieści. Sanatorium przyjmujące pacjentów, którzy byli świadkami wszelkiego rodzaju sytuacji: dziwnych, osobliwych, szokujących, niezwykłych. Wariatkowo, gdzie na korytarzach da się usłyszeć historie, których bohaterami są pijany kolarz jadący w odwrotnym kierunku niż reszta, lider wyścigu biegnący pod górę na Mont Ventoux czy Kantabryjczyk, potrójny mistrz świata, strzelający z wiatrówki w środku peletonu. Albo na przykład historię o zwycięstwie etapowym, którego nikt nie rozumie, triumfatorze, który nie jest nawet brany pod uwagę w zakładach sportowych, który nawet pokonując trzy czwarte peletonu, eliminując wszystkich specjalistów, a także tych, którzy dobrze radzą sobie w walkach z najlepszymi w czasówkach, nie stanąłby na podium, nie otrzymał buziaków od pięknych kobiet, nie ściskał automatycznie dłoni mężczyzn w krawatach, niezbyt pasujących do sportowej scenerii. Właściwie to nawet on sam, niespodziewany zwycięzca, nie uważał się za triumfatora. Gdyby jakiś scenarzysta wymyślił identyczną scenę dla filmu fabularnego, zostałby zwolniony jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć.

Chociaż wydaje się niemożliwe, to właśnie zdarzyło się w drugiej części 15. etapu Vuelty w 1981 roku. Był 6 maja, a Saragossa posłużyła za scenerię jednego z najbardziej zdumiewających zdarzeń w historii kolarstwa i sportu w ogóle. Wystarczyło tylko 11,3 kilometra po ulicach stolicy Aragonii, aby ofiarować światu obrazek równie surrealistyczny, co

absurdalny, kuriozum w pełnym tego słowa znaczeniu. W słowniku obok słowa niedorzeczność powinno się pojawić streszczenie tego, co wydarzyło się tamtego dnia podczas hiszpańskiego wyścigu. Nawet dzisiaj, po tylu latach, nie sposób zrozumieć, co stało się owego wiosennego popołudnia.

Coś się nie zgadzało już od chwili, gdy ostatni kolarz przekroczył linię mety. Według zarejestrowanych czasów wygrał José Luis López Cerrón, pomocnik grupy Zor, który na mecie zazwyczaj nie podnosił rąk w geście triumfu. Swoje największe zwycięstwo odniósł zaledwie dzień wcześniej, kończąc etap z przewagą kwadransa. Dzięki temu szeroka publiczność poznała jego nazwisko. Jednakże, pomimo jego dobrej jazdy podczas tamtej Vuelty, trudno było pojąć, że byłby w stanie wygrać czasówkę, ponieważ López Cerrón nie posiadał umiejętności, które czyniłyby z niego specjalistę w tej materii. A na dodatek, aby dołożyć jeszcze większą dawkę absurdu do całej sprawy, przewrócił się na trasie etapu.

Dziwny wynik zmusił ekipę Miko-Mercier do podniesienia larum, co było zrozumiałe. Jej lider, Francuz Régis Clère, zwycięzca prologu i właściciel żółtej koszulki w ciągu pierwszego tygodnia, znowu zachwycił. Jego dobra jazda sprawiała, że było wprost nie do pomyślenia, że biedny López Cerrón mógł pokonać go na rowerze, jedynie naciskając pedały. Jego i oczywiście wszystkich wielkich specjalistów w jeździe na czas, którzy brali udział w tej edycji Vuelty. Ale technologia wskazywała dobitnie, że tak właśnie było. Liczby to liczby. „Prawda jest taka, że nawet ja sam tego nie rozumiem”, mówił López Cerrón, próbując wyjaśnić, co wydarzyło się podczas tamtej nietypowej czasówki w 1981 roku. Prawdziwe kuriozum. „Przysięgam, że nie chwyciłem się żadnego samochodu”, ciągnął obecny prezes Hiszpańskiego Związku Kolarskiego, człowiek, który posiada pewien dar: na swoje nieszczęście,

mimowolnie, zawsze jest obecny w najmniej odpowiednim momencie. To on bowiem kupił przeklęty stek, który trafił do Alberto Contadora podczas Tour de France w 2010 roku.

A jakby tego było mało, José Luis López Cerrón wygrał – zgodnie z zarejestrowanymi czasami – z przewagą 39 sekund nad Clère'em, który zagroził, podobnie jak jego ekipa, że wycofa się z wyścigu, jeśli hiszpański kolarz nie zostanie zdyskwalifikowany, skoro nikt nie potrafi wytłumaczyć tego okropnego nieporozumienia. Rozwiązanie tej sprawy znajdowało się w gestii sędziów. Szukali oni powodu, który pozwoliłby im zrozumieć, co spowodowało tę dziwną i dramatyczną sytuację. Mieli sprawnie działający chronometr, zwycięzcę, który – teoretycznie – nie wygrał, i przegranego, który był najszybszy. Nic, tylko prosić o zwolnienie. Nie rozumiał tego również Javier Mínguez, dyrektor sportowy Lópeza Cerróna w grupie Zor.

Osoby odpowiedzialne za rozwiązanie tej sprawy jedno wiedziały na pewno, a mianowicie, że to właściwie niemożliwe, aby Hiszpan był najlepszy w jeździe na czas, ponieważ już sam upadek sprawiał, że zwycięstwo stawało się nierealne, wszak trasa liczyła niewiele ponad 11 kilometrów. Znalazł się na ziemi, podniósł i kontynuował jazdę, a wszystko to na oczach samochodu wspierającego i dodatkowo motocykla Gwardii Cywilnej. Jako że etap odbywał się na trasie z wieloma ostrymi zakrętami, myśl o tym, że mógł skrócić sobie drogę na którymś odcinku, wcale nie była niedorzeczna, ale obecność policjanta wykluczała taką możliwość. „Za mną przez cały czas jechał funkcjonariusz Gwardii Cywilnej", tłumaczył się López Cerrón. Wyglądało na to, że los się uparł, aby tamtego dnia uczynić z niego głównego bohatera, ponieważ niedługo przed rozpoczęciem etapu otrzymał pamiątkową tabliczkę i telegram z gratulacjami od generała José Antonio Sáenza de Santamaríi

za to, że zwycięstwo na 14. etapie zadedykował Siłom i Korpusowi Bezpieczeństwa za ich walkę z ukrytym terroryzmem.

Na szczęście dla organizatorów José Luis López Cerrón nie był liczącym się zawodnikiem w klasyfikacji generalnej, co spowodowałoby dodatkowy chaos w tej i tak już skomplikowanej sytuacji. Ostatecznie, aby uspokoić Francuzów i aby dodać tak potrzebnego w tej chwili realizmu, sędziowie postanowili ukarać kolarza grupy Zor dwiema minutami, mimo że nikt nie zdołał udowodnić, iż wykonał on jakiś niedozwolony manewr. „Powiedzieli, że funkcjonariusz Gwardii Cywilnej, który znajdował się przede mną, pojechał na skróty i że ja udałem się za nim. A ponieważ nie zrobiłem tego umyślnie, nie zostałem wykluczony z wyścigu”, powiedział później López Cerrón, który już nigdy nie wygrał żadnego etapu w zawodowej karierze i który po jej zakończeniu nadal pozostał związany z kolarstwem. Najpierw jako dyrektor sportowy takich ekip, jak Zor, Amaya, Vitalicio Seguros czy Banesto, później jako organizator wyścigu Dookoła Kastylii i León oraz prezes Cadalsa Sport, a wreszcie zajmując najwyższe stanowisko w Hiszpańskim Związku Kolarskim. Jego podwładnym – zrządzeniem losu – jest Javier Mínguez, który dawniej był jego dyrektorem sportowym, a teraz jest selekcjonerem.

Tragedia Alberto Fernándeza

Droga Krajowa I, 140. kilometr. Pardilla, maleńka miejscowość licząca niewiele ponad 100 mieszkańców. Prowincja Burgos. Jest kwadrans po jedenastej zimnego poranka 14 grudnia 1984 roku. Nie jest to pora na rower. Sezon kolarski zakończył się już dawno temu. Za miesiąc i jeden dzień skończy 30 lat. Życie się do niego uśmiecha. Jest sportowcem, ma żonę i dziecko. Ale samochód z francuską rejestracją 1924-HK-24 wjeżdża na tę stronę drogi, po której on prowadzi swoje nowe renault 11 (ma je zaledwie od kilku miesięcy) i rozbija na kawałki życie zbudowane na bazie potu i pasji. Zderzenie czołowe i śmiertelne. Jego płomień smutno gaśnie. Przy życiu pozostaje jedynie kobieta towarzysząca kierowcy francuskiego auta. Pozostali giną. Alberto Fernández, zawodowy kolarz, i jego żona Inmaculada Concepción Sainz, młoda, 24-letnia kobieta, odchodzą w najbardziej tragiczny sposób. Osierocony zostaje mały Alberto Fernández. Ma na imię tak jak jego ojciec: to samo imię, to samo nazwisko i to samo zajęcie. Dwie dekady później uczci pamięć swojego rodzica, debiutując w Vuelcie, wyścigu, w którym ten człowiek, który z wysoka uśmiechał się, patrząc na zmagania swojego syna, największy ślad odcisnął w latach 80.

Zaledwie kilka godzin wcześniej, wieczorem 13 grudnia, Alberto Fernández senior odebrał nagrodę Superprestigio-Unipublic dla najlepszego hiszpańskiego kolarza w sezonie 1984, podczas gali, z której wracał właśnie tego tragicznego przedpołudnia. „W przyszłym roku znowu powalczę o wygranie Vuelty”, wykrzyknął w trakcie przemówienia, które wygłosił, odbierając nagrodę. Nie wiedział wtedy, że się na niej

nie pojawi. Tak samo jak na poświęconej mu uroczystości w niedzielę 16 grudnia w Aguilar de Campoo, gdzie wprawdzie się nie urodził, ale tam dorastał i nosił to miejsce w sercu. „Kiedy skończyło się przyjęcie, zostałem jeszcze chwilę dłużej i rozmawiałem z nim i z Rupérezem o niedzielnej uroczystości w Aguilar de Campoo. Poprosił mnie, żebym mu towarzyszył, ale jako że nie mogłem, powiedział, bym wysłał telegram, aby zadowolić organizatorów tego wydarzenia", opowiadał Luis Puig, ówczesny prezes Międzynarodowej Unii Kolarskiej i wciąż szef Hiszpańskiego Związku Kolarskiego, w krótkiej rozmowie z dziennikiem „El Mundo Deportivo".

Puig, ze łzami w oczach i pustką w głowie, nie mógł w to uwierzyć. Podobnie Javier Mínguez, dyrektor sportowy grupy Zor, który zostawił Alberto w madryckim domu brata o czwartej nad ranem. „To był bardzo, ale to bardzo smutny moment", mówi obecny selekcjoner za każdym razem, gdy w jakimś wywiadzie pada pytanie o tamto przykre zdarzenie. Uroczystość na jego cześć, w której mieli uczestniczyć Federico Martín Bahamontes, José Manuel Fuente i José Luis López Cerrón, zamieniła się w pogrzeb, tłumny pochówek, aby bliscy mogli pożegnać się z nim po raz ostatni. Przeklęty wypadek. Przeklęte zrządzenie losu.

Odszedł „Herbatnik" – ten pseudonim otrzymał za sprawą licznych fabryk herbatników, jakie istniały w Aguilar de Campoo w prowincji Palencia, choć w rzeczywistości był Kantabryjczykiem z Cueny. Wymknął się do nieba z trofeum dla najlepszego kolarza 1984 roku, opartym o tylne siedzenie jego renault 11. Zdobył je głównie dzięki wspaniałemu występowi w Vuelcie, którą miał w zasięgu ręki, o którą walczył do utraty tchu, a która uciekła mu o nędzne sześć sekund. Stał już na podium, bo w poprzedniej edycji zajął trzecie miejsce, tak samo jak w Giro'83, ale wtedy było inaczej. Nigdy wcześniej nie

znalazł się tak blisko zwycięstwa. Zwycięstwa, które odebrał mu Éric Caritoux, pomocnik Seana Kelly'ego, zaledwie tydzień przed śmiercią innego kolarza, Joaquima Agostinho, Portugalczyka, który rozstał się z życiem podczas wyścigu Dookoła Algarve.

Rok 1984 był rokiem nieszczęść. Również sportowych, wszak wielu uważało, że triumfatorem Vuelty powinien być Alberto Fernández, a nie przeciętny Francuz, który nie wygrał niczego ani wcześniej, ani później. Zwyciężył jednak kolarz grupy Skil, na którego uwzięli się hiszpańscy kibice, niepotrafiący pogodzić się z tym, że obcokrajowiec niszczy ich nadzieje. „Nie mogę jechać na kolejnych etapach, unikając ciosów, słysząc wyzwiska i patrząc, jak wylewają na mnie lodowatą wodę", powiedział Caritoux, który był przekonany, że odda żółtą koszulkę po ostatniej jeździe indywidualnej na czas. „Vuelta jest dla mnie przegrana, ponieważ wiem, że Alberto pokona mnie w czasówce, i wiem również, że muszę atakować, ale nie wiem nawet, gdzie miałbym to zrobić".

Jednak Caritoux, który miał zaledwie 23 lata i 37 sekund przewagi w klasyfikacji generalnej, się mylił. Żaden z nich nie był specjalistą od czasówek, ale podejrzewano – bardziej z powodu braku wiedzy na temat umiejętności Francuza niż jakiejś pewności – że hiszpańska gwiazda jest nieco lepsza w tej konkurencji. Trzydzieści trzy kilometry w Torrejón de Ardoz nie pomogły Alberto, który musiał się przekonać, co oznacza przegrać wielki tour o włos, o tych niewidzialnych sześć sekund dzielących go od lidera. Deszcz, jaki tamtego dnia spadł w centralnej Hiszpanii, zmył szanse Kantabryjczyka, jego nadzieje i marzenia, a także jego ostatnie chwile na rowerze. „To największe rozczarowanie w moim życiu", rozpaczał Fernández. Przegrał Vueltę, ponieważ – tak samo jak

większość – zlekceważył Francuza, który z trudem mógł uwierzyć w to, co właśnie osiągnął.

Prawdopodobnie wciąż nie wierzy w to także Javier Mínguez, który nie rozumie, jak to możliwe, że tamten wyścig wymknął im się z rąk. Grupa Zor straciła szansę, by zwieńczyć karierę „Herbatnika", odpowiedzialnego chłopaka, miłośnika dobrej lektury, pasjonata muzyki, który grał na akordeonie oraz harmonijce i którego ambicje zostały zbyt wcześnie pogrzebane. Chciał wrócić na Vueltę, aby dopełnić osobistej zemsty, ale nie zostało mu to już dane. Kantabryjczyk zbyt szybko dojechał do mety pewnego grudniowego dnia 1984 roku, tego samego roku, który mógł mu podarować największą radość, a ostatecznie przyniósł mu największy smutek.

Przywileje i perypetie

Wyścig Dookoła Hiszpanii od początku łączyły słodko-gorzkie relacje z kolarzami zagranicznymi. Obowiązkowe narzeczeństwo organizatorów wyścigu z gwiazdami spoza Hiszpanii zepsuło też i prawie rozbiło małżeństwo z ważnymi lokalnymi postaciami. Kiedy zadowalało się jednych, jakże potrzebnych, ci drudzy, tak nieodzowni, nie posiadali się z gniewu. W przeszłości (bo wydaje się, że w ostatnich latach problem został rozwiązany) nie dało się zaprosić najlepszych kolarzy świata, żeby Hiszpanie nie czuli się poniżeni przez uprzejmość ze strony organizatorów wyścigu wobec ich rywali.

Dość przypomnieć, że obie pierwsze edycje wygrał Belg Gustaaf Deloor, a trasa wyścigu nieraz była łagodzona z powodu narzekań zagranicznych kolarzy, którzy popadali w konsternację, widząc trudności na etapach, jakim mieli stawić czoła w Hiszpanii. I to pomimo biesiad, w których uczestniczyli za darmo (w 1941 roku pewien Szwajcar musiał się wycofać, bo przesadził z lodami), podczas gdy lokalni kolarze musieli moczyć swoje skąpe porcje mięsa, żeby w ogóle dało się je przełknąć.

Na nich, na obcokrajowców, czekało się w 1942 roku, opóźniając rozpoczęcie wyścigu o dwa tygodnie, aby poszczycić się kolarzami występującymi pod obcą flagą, i na nich patrzyło się litościwie w 1955, kiedy sześciu brytyjskich sportowców, którzy zostali wybrani przez swój związek kolarski, musiało pokonać tysiące przeszkód, aby móc wystartować. W tamtym czasie, i jeszcze długo potem, kolarstwo w Wielkiej Brytanii było sportem marginalizowanym, a ci, którzy chcieli zrobić karierę, pedałując na tym sprzęcie z kołami, uznawani byli za

szaleńców. „Po przylocie do Madrytu powiedziano nam, że musimy zapłacić więcej za nasze rowery i za cały sprzęt, który ze sobą mieliśmy”, opowiadał John Pottier, który przybył do Hiszpanii z członkami sztabu szkoleniowego i pięcioma kolegami. Byli to: Ian Brown, Joe Christison, Ken Mitchell, Ian Steel i Leslie Scales. Żaden z nich nie ukończył wyścigu. „Za tę niespodziewaną fakturę musieliśmy zapłacić z własnej kieszeni”, przyznał Brytyjczyk.

Wydawszy dodatkowe pieniądze od razu po przybyciu na stołeczne lotnisko, kolarze z Wysp Brytyjskich przez całą Vueltę żywili się tylko bananami i chlebem. Prawdziwa tortura, która zaczęła się tak, jak się skończyła – źle. „Nie mieliśmy na nic pieniędzy”, podkreślał Pottier, który do Bilbao, gdzie rozpoczynała się tamta edycja, dotarł ciężarówką hiszpańskiego wojska. Podobnie jak cała jego ekipa. Coś podobnego przytrafiło im się także kilka tygodni później podczas wyścigu Dookoła Egiptu, z którego wszyscy wycofali się niedługo po rozpoczęciu zawodów, ponieważ organizatorzy nie pokrywali im kosztów. Trzeba było to zobaczyć, by uwierzyć.

Wcale nie lepiej szło kierownictwu Vuelty w roku następnym, 1956. Klęską zakończyła się bowiem próba ściągnięcia Fausto Coppiego (Włoch będzie obecny w 1959, chociaż ledwie widoczny) i szybko zniknęły dwie gwiazdy, które, owszem, udało się włączyć do peletonu: Hugo Koblet wycofał się po cichu, a Louison Bobet zasłonił się dziwnym przeziębieniem. Tymczasem ekipa francuska zabrała do domu większość swoich zawodników z powodu zatrucia kanapkami – idealna wymówka, by nie informować, że wyjeżdżają, ponieważ ich lider właśnie zrezygnował. Podczas tamtej edycji Włoch Angelo Conterno, zwycięzca wyścigu, był popychany na podjeździe pod Sollube ku oburzeniu Jesúsa Loroño, a Belgowie, Szwajcarzy

i nieliczni Francuzi, którzy jeszcze zostali, otrzymali walizki z premiami, aby mu pomagać.

Bez kontrowersji nie obyło się także podczas Vuelty 1971. Wszystko za sprawą trudnego charakteru Gastona Plauda, dyrektora sportowego grupy Peugeot, który wściekł się na sędziów z powodu półminutowej kary, jaką nałożyli na jednego z jego zawodników, Belga Ferdinanda Bracke, przez co stracił on koszulkę lidera. „Hiszpanie są skorumpowani i niekompetentni!”, wykrzyknął Francuz, któremu udało się doprowadzić do tego, że sędziowie przyznali się do błędu i powiedzieli, że pomylili numer zawodnika.

Sześć lat później mało brakowało, aby start Vuelty uniemożliwił strajk Iberii. Rozpoczęcie wyścigu, które miało nastąpić w prowincji Alicante, aż do ostatniej chwili znajdowało się pod znakiem zapytania z powodu przestoju dziesięciu tysięcy pracowników hiszpańskiej linii lotniczej na lotnisku Barajas w Madrycie. Sytuacja zmusiła organizatorów do szybkiego działania. Ścigając się z czasem, wynajęto wiele autobusów, taksówek, a nawet wyczarterowano lot, żeby nikogo, ani Hiszpanów, ani obcokrajowców, nie zabrakło w Dehesie de Campoamor, gdzie miał nastąpić inauguracyjny wystrzał. Wszyscy dotarli cali i zdrowi, czego nie można było powiedzieć o rowerach i całym sprzęcie szwajcarskiej ekipy Kanel, która borykała się z poważnymi problemami finansowymi. Mechanicy i masażyści Helwetów mieli dosyć pracy za darmo, więc postanowili sprzedać wszystko, aby wypłacić sobie pensje. Ofiarami tej zagrywki padli zawodnicy, którzy nie mogli wystartować w Vuelcie.

Mijały lata, nadciągało nowoczesne kolarstwo, lecz perypetie nie zniknęły. Podczas edycji w 1985 roku najciekawszą anegdotę zostawiła po sobie półzawodowa sowiecka grupa, która stawiła się na starcie Vuelty, nie mając najmniejszego

pojęcia, na czym to wszystko polega. Nie znali trasy ani właściwie innych uczestników. Gennadij Godunow, dyrektor ekipy, która wystawiła żołnierzy, inżynierów, a nawet nauczycieli, wściekł się, zobaczywszy, jak wyglądają etapy, ponieważ nie przywiózł zawodników, którzy poradziliby sobie w hiszpańskich górach. Mimo to Vuelta 1985 była pierwszym wielkim tourem, na którym sowiecki kolarz przekroczył linię mety jako pierwszy. Dokonał tego niejaki Władimir Małakow, który swój dzień chwały miał na ostatnim etapie, minimalnie wygrywając sprint w Salamance. Warto dodać, że rok później oprócz radzieckiej ekipy w Vuelcie wystartowała także inna drużyna z bloku wschodniego, reprezentacja Polski.

W ostatnim czasie, w 2010 roku, inna zagraniczna ekipa, tym razem uznana grupa Saxo Bank, znalazła się na pierwszych stronach gazet sportowych, a to z powodu wyrzucenia swojej gwiazdy, Andy'ego Schlecka, a także Australijczyka Stuarta O'Grady'ego za to, że poszli na imprezę. „Przyznaję, że złamałem zespołowy regulamin, idąc napić się czegoś po kolacji, i dlatego Bjarne Riis postanowił odesłać do domu O'Grady'ego i mnie. Sam odpowiadam za własne czyny i chociaż uważam, że ta decyzja jest zbyt surowa, to ją szanuję", tłumaczył Luksemburczyk na portalu Cyclingnews. Młodszy ze Schlecków i jego kumpel przesadzili wtedy z godziną powrotu, jako że próg hotelu przekroczyli dopiero po czwartej nad ranem.

Jednak poza przygodami i wewnętrznymi problemami w zagranicznych ekipach, zmartwieniem dla organizatorów Vuelty od zawsze było niesprawiedliwe traktowanie, jakie odczuwali hiszpańscy zawodnicy względem zagranicznych gwiazd, które przyjeżdżały na wyścig. Większość czołowych lokalnych postaci lat 30., 40., 50., 60., 70. i 80. nierzadko wściekała się na szefostwo Vuelty. Jednym z nich był oczywiście

Federico Martín Bahamontes, specjalista w tej materii, który nieustannie prowokował Luisa Bergareche, dyrektora wyścigu, i wciągał go w nerwowe sytuacje, skarżąc się między innymi na to, że wszyscy są przeciwko niemu i że Hiszpanie woleliby zobaczyć, jak wygrywa Francuz Roger Rivière, a nie on.

Innym, który nie raz podnosił głos, był José Pérez Francés, oburzony trasą co do milimetra wyznaczoną pod Jacques'a Anquetila. „Ale przecież to absurdalny zarzut! – wykrzyknął Bergareche w 1962 roku. – Kiedy wyznaczano trasę, nie było nawet wiadomo, czy Anquetil weźmie udział w wyścigu, czy nie". Scenariusz powtórzył się w następnym roku, w 1963, kiedy hiszpańscy kolarze znowu zaczęli się skarżyć. „Obcokrajowcy są pupilami organizatorów. Najlepsze, co my możemy zrobić, to wrócić do domu i zostawić to wszystko im", powiedział jeden z członków narodowego peletonu. Nie inaczej było w 1965 roku, kiedy brylowali Raymond Poulidor i Rik Van Looy. „Niektórzy zawodnicy, kiedy widzą, ile pieniędzy dostają obcokrajowcy tylko za sam udział, wolą przyjąć to ze spokojem", tłumaczył dziennikarzom Pérez Francés. Była to edycja, podczas której media obwiniały Bahamontesa o celową niemrawość i podczas której inny Hiszpan, Antonio Bertrán, zaatakował Belgów: „Jadą na dopingu. Pędzą jak szaleni. Ci ludzie biorą stymulanty".

Lata 60. były zresztą jedną z dekad, kiedy najbardziej narastały napięcia między Hiszpanami a obcokrajowcami. Na dodatek w 1967 roku organizatorom przyszło do głowy, żeby wprowadzić zasadę szkodzącą lokalnym kolarzom, urodzonym góralom: otóż klasyfikację górską mógł wygrać tylko ktoś z pierwszej piętnastki w klasyfikacji generalnej. A nie dość, że ta edycja zapowiadała się niełatwo, to już w pierwszym tygodniu rywalizacji szybki Włoch Michele Dancelli został przyłapany na tym, jak na podjeździe trzymał się samochodu, w związku z czym sędziowie nałożyli na niego minutę kary.

Jednakże jego ekipa, Vittadello, odwołała się i zagroziła wycofaniem z wyścigu. Dzięki temu sędziowie cofnęli swoją decyzję, co oznaczało, że Dancelli odebrał żółtą koszulkę „Txominowi" Perurenie.

Trzy lata później, w 1970, obyło się już bez takich perturbacji, ponieważ świadkami zwycięstwa Luisa Ocañi nie były wielkie zagraniczne postaci peletonu, które odmówiły przyjazdu do Hiszpanii z powodu nowych kontroli antydopingowych. „Nie chcą ryzykować, bo na tym etapie sezonu nałożona kara mogłaby oznaczać dla nich wykluczenie z Giro albo z Tour de France", tłumaczył ich sam Bergareche. Byli natomiast obecni rok później, w 1971, kiedy przyjazd do Calp wiązał się z kolejną typową już walką pomiędzy obiema stronami.

José Manuel López Rodríguez został chwycony podczas sprintu przez belgijskiego pomocnika, a ten z kolei, już po zakończeniu etapu, został uderzony kołem przez jednego z członków ekipy La Casera. W najczystszym stylu Carlosa Barredo [po szóstym odcinku Tour de France w 2010 roku Hiszpan z przednim kołem rzucił się na Portugalczyka Rui Costę, który na trasie niemal spowodował jego upadek; później kolarze okładali się już pięściami].

Nie lepiej rozpoczęła się Vuelta 1981, na której zabrakło grupy Teka z Marino Lejarretą i Alberto Fernándezem, oburzonej różnicą kwoty, jaką organizatorzy przeznaczali dla zagranicznych ekip. Mało brakowało, by do czegoś podobnego doszło też w 1995 roku, podczas pierwszej Vuelty zorganizowanej nie wiosną, ale we wrześniu. Informacja ta nie została przyjęta ze zbytnim entuzjazmem przez hiszpańskie zespoły, które zagroziły, że nie wezmą udziału w imprezie. Uważały one bowiem, że nowy termin będzie kolejną przeszkodą na ich drodze, bo wyścig odbywał się pod koniec

sezonu, kiedy właściwie wszystkie umowy ze sponsorami i zawodnikami były już zawarte na następny rok.

W kolejnym rozdziale wojny z Hiszpanami głównym bohaterem będzie Miguel Indurain. Ale to już inna historia.

Zachwyt nad „Perico”

Ciągły uśmiech. Spojrzenie psotnego chłopca. Widowiskowy sposób rozumienia kolarstwa. Wyczyny. Nieszczęścia. Błędy. Pedro Delgado przyciąga uwagę. Stworzony do wzbudzania zachwytu, segowianin nigdy nie przemykał niezauważony w trakcie swojej kariery sportowej. Tak było w Tour de France, gdzie już w debiucie odcisnął swój ślad podczas szalonych zjazdów, a także w Vuelcie, gdzie energią oczarował cały kraj w 1984 roku, w swoim trzecim występie w narodowym wyścigu. To dzięki niemu zaczęto zapominać o smutku, który jeszcze opierał się przed opuszczeniem szeregów ekipy Reynolds, przygnębionej tym, co wydarzyło się zaledwie dwa lata wcześniej, kiedy Ángelowi Arroyo odebrano szansę na zwycięstwo w Vuelcie po pozytywnym wyniku kontroli antydopingowej. Arroyo, który później został przyćmiony przez zainteresowanie, jakie wzbudził niepowtarzalny „Perico”, sięgnął po antydepresanty, aby poradzić sobie z cierpieniem na rowerze. Nie tylko mu się to nie udało, lecz jeszcze bardziej go to pogrążyło – ból fizyczny był bowiem niczym w porównaniu z tamtą fatalną wiadomością.

Ale ponad 600 dni później wszyscy podziwiali Delgado, sympatycznego chłopaka, który dopiero co skończył 24 lata i który tryskał energią zarówno na szosie, jak i poza nią, dzięki czemu błyskawicznie znalazł sobie miejsce w sercach wszystkich Hiszpanów. Człowiek, który zyskał przydomek „Szaleniec”, nadany mu przez zagranicznych komentatorów podczas poprzedniej edycji Tour de France, rozświetlił hiszpańskie kolarstwo 25 kwietnia 1984 roku, zakładając żółtą koszulkę, kolor chwały w tej dyscyplinie sportu. „To było coś

pięknego”, opowiada sam Pedro Delgado, pytany o wspomnienia ze swoich występów w Vuelcie.

Wprawdzie nie udało mu się wygrać tamtej edycji, stracił pozycję lidera po pięciu dniach, ustępując miejsca w centrum uwagi dziwnemu pojedynkowi Caritoux–Fernández, ale dowiedzieliśmy się – w razie gdyby istniała co do tego jeszcze jakaś wątpliwość – że w jego nogach kryła się siła godna mistrza. Odważny i inteligentny „Perico” wrócił na Vueltę rok później, teraz w barwach grupy Seat-Orbea, aby wziąć osobisty rewanż. I to w jaki sposób! Czyste kolarstwo, heroiczne, pełne napięcia i emocji – to właśnie podarował wszystkim w 1985 roku podczas nieprzewidywalnego aż do ostatniego dnia wyścigu. Wydawało się, że wygra ekscentryczny Robert Millar (obecnie Philippa York) ze swoimi długimi włosami, kolczykiem i urojeniami prześladowczymi (uważał, że za każdym razem, gdy przyjeżdżał do Hiszpanii, czyhał na niego spisek), ale jedna magiczna akcja odmieniła losy tamtej Vuelty.

A przecież opatrzność już na początku ostrzegła nas, że ten wyścig warto zapamiętać ze względu na prolog, który mógł wygrać młodziutki, 20-letni Nawaryjczyk, niejaki Miguel Indurain, nieśmiały i introwertyczny, będący przeciwieństwem wesołego „Perico”. Więcej sygnałów z góry pojawiło się wraz z jego późniejszą pozycją lidera, którą zdobył dzięki dobrej jeździe w prologu i na dwóch pierwszych etapach, co składało się w zasadzie na całe jego doświadczenie w trzytygodniowych wyścigach. „Miguelón” miał już zadatki na legendę i w żółtej koszulce jechał przez trzy dni. Czwartego odebrał mu ją Delgado, chociaż 24 godziny później założył ją Peio Ruiz Cabestany.

Cabestany, uwielbiający śnieg i biegi narciarskie, miał być ostatnim hiszpańskim właścicielem upragnionej koszulki, ponieważ później, w połowie drugiego tygodnia, przejął ją Szkot

Robert Millar, aby już jej nie wypuścić. Ale czy na pewno? „Vuelta już się skończyła, wygrałem”, oświadczył kolarz grupy Peugeot, kiedy wyścig zbliżał się ku końcowi, widząc, z jaką stratą jechali najwięksi rywale: Kolumbijczycy „Pacho” Rodríguez i Fabio Parra, a także Pedro Delgado, który z powodu odcięcia prądu i dobrej jazdy swojego rywala, spadł na szóste miejsce, tracąc ponad sześć minut, kiedy do końca wyścigu pozostały zaledwie dwa etapy. Nic za nim nie przemawiało.

Tylko Rodríguez i Cabestany mieli niewielkie szanse, ale Millar nie widział w nich zagrożenia. Szkot, ze swoją arogancką postawą, był pewien, że zwycięstwo w Vuelcie ma już w kieszeni. Dużo go to kosztowało, ale jego pierwszy triumf w wielkim tourze był na wyciągnięcie ręki. Jeszcze tylko jeden dzień i Vuelta będzie należała do niego. „Jestem przekonany, że Millar wyprzedzi Rodrígueza na trasie czasówki”, powiedział Roland Berland, jego dyrektor sportowy. Jazdę indywidualną na czas wygrał Cabestany, a Millar nie przypieczętował swojego zwycięstwa w wyścigu. Ale było mu wszystko jedno. Wydawało się, że to, co działo się na szosie i na co wskazywała klasyfikacja, go nie dotyczyło. Żył w rzeczywistości równoległej, o wiele piękniejszej. „On zwracał uwagę tylko na Rodrígueza”, wspomina „Perico”, człowiek, który nigdy się nie poddawał. Do kolarstwa, jak i do życia, podchodził z optymizmem. „A dla mnie było oczywiste, że go zaatakuję. Nie wiedziałem tylko gdzie, czy na podjeździe, czy na zjeździe, ale chciałem atakować”, opowiada dziś z tymi samymi błyszczącymi oczami, z takim samym szelmowskim uśmiechem jak wtedy. W ogóle się nie zmienił. Wiedział, który dzień miał należeć do niego. Przedostatni dzień Vuelty. Z metą etapu w jego rodzinnych stronach, w ukochanej Segowii.

„Dzielni Hiszpanie, niech nie wygra Kolczyk”, można było przeczytać na jednym z licznych transparentów, które kibice

zabrali ze sobą na trasę jazdy indywidualnej na czas w Alcalá de Henares. Delgado musiał ją zauważyć i chociaż nie mówił o tym głośno, miał to samo zadanie co Rodríguez, „skarabeusz”[11] z szansami na zwycięstwo. „Będę walczył do ostatniej chwili, bo nigdy nie można tracić nadziei”, rzucił „Perico”, przygotowując się do szalonego ataku na następnym etapie, podczas ostatniej szansy, w dniu, w którym miały zostać przesądzone losy wyścigu, w dniu, którym nie przejmował się Millar, bo ewidentnie świętował już swoje wyimaginowane zwycięstwo.

Menu było obiecujące. Dwieście kilometrów między historycznym Alcalá de Henares, miastem literatury, a Segowią, miastem „Perico”, z ciągłymi podjazdami i zjazdami. Na kolarzy czekały przełęcze La Morcuera, Cotos i Los Leones, chociaż zbyt daleko od mety, jako że ta ostatnia znajdowała się od niej w odległości 40 kilometrów. Tym lepiej dla Pedro Delgado, który lubił takie wyzwania. „Było zimno, padał deszcz i szosa była śliska, ale to przemawiało na moją korzyść”, wspomina „Perico”, który nie był brany pod uwagę w żadnych zakładach sportowych. Do lidera tracił sześć minut i 13 sekund, ale jego to nie obchodziło. Nikt nie byłby w stanie nakłonić go do zmiany podejścia tamtego brzydkiego dnia, kiedy nawet sam Millar prowokacyjnie podszedł do Cabestany’ego i Rodrígueza, żeby ich pocieszyć. „Nie udało się, przykro mi. Próbowaliście, ale się nie udało”, wypalił Szkot z największym spokojem.

Oczywiście nie wiedział, że ten chłopak ze zmierzwionymi włosami, z ciałem na poły górala, na poły punchera [dynamiczny kolarz na krótkie, strome podjazdy] wykręci mu paskudny numer. Bez pytania, na przełęczy Cotos, Pedro Delgado odwróci losy wyścigu. Dokona historycznego wyczynu. Zapisze się na najwspanialszych kartach najcudowniejszego sportu. Wykorzystał to, że Millar zwracał uwagę tylko na

Kolumbijczyka, i zaatakował, zostawiając wszystkich w tyle. Jego przeznaczeniem była już żółta koszulka, choć nikt w to nie wierzył. Otoczony śniegiem, zmarznięty, popychany siłą, jaką daje dokonanie czegoś legendarnego, „Perico" uważał się za Coppiego, uważał się za Anquetila, uważał się za Merckxa, aby przeprowadzić jedną ze swoich najlepszych akcji. Niesamowity Delgado doścignął zawodnika Kelme, José Recio, który potem wygra etap. „Ale ja wciąż myślałem o Peio", opowiada ten, który wywrócił tamtą Vueltę do góry nogami, który wykazał się odwagą na Cotos i który nie poddał się przez ponad 60 kilometrów, jakie miał jeszcze przed sobą. „Pomogła mi różnica, jaka była w klasyfikacji generalnej między Millarem a Rodríguezem. A także to, że Robert nie chciał ryzykować i że Kolumbijczyk go wykończył. Każdy rozgrywał to tak, jak chciał".

Przekonuje Recio, żeby pomógł mu w zamian za zwycięstwo etapowe, i wciąż myśli o tym, że celem tej strategii jest żółta koszulka dla Cabestany'ego, ale Rafa Carrasco, założyciel Kelme oraz szef jego towarzysza doli i niedoli, wkracza do akcji i krzyczy: „Dawaj, »Perico«, dawaj, bo może być niespodzianka!". Tymczasem z tyłu, w peletonie, „Txomin" Perurena, który był dyrektorem Pedro, gra na zwłokę, zostając tam i nie przemieszczając się na czoło wyścigu, żeby Millar niczego nie podejrzewał, aby nadal wierzył, że Vuelta należy już do niego, że liderem grupy Seat-Orbea nadal pozostaje Cabestany. Uciekająca dwójka znajduje się już na przełęczy Los Leones i chronometr wskazuje, że mają ponad trzy minuty przewagi nad Szkotem i resztą. A do pokonania zostały jeszcze 43 kilometry. Dużo.

„Pedałowaliśmy jak szaleni", opowiada autor wyczynu, który przyciągnął przed telewizory miliony widzów, rozemocjonowanych tym, co widzieli, zachwyconych tym, co

słyszeli. Ich ulubieniec się uśmiechał, a Kolczyk tonął. „Dalej, »Perico«, dalej. To działa!”, krzyczał znowu Carrasco, starając się zagrzewać do walki kolarza, który teoretycznie był rywalem. Jednakże tamtego dnia hiszpańskie kolarstwo wreszcie, po tylu dekadach sprzeczek, walk i zdrad, było zjednoczone na rzecz jednej wspólnej misji, aby niemożliwe uczynić możliwym. „Prawda jest taka, że ja nie rozumiałem nic a nic”, mówił Javier Mínguez, dyrektor sportowy grupy Zor, do której należał „Pacho” Rodríguez. Widząc samotność Roberta Millara, Mínguez postanowił, że nie chce być tym, który zniszczy hiszpańskie marzenie. Nakazał swoim chłopcom, żeby nie ciągnęli peletonu.

Mijały kolejne kilometry bez odpowiedzi ze strony przybitego moralnie Kolczyka, a Segowia, z jej akweduktem i romantycznymi uliczkami, nie mogła się doczekać, by przywitać swojego syna, który wyprzedzał lidera o prawie siedem minut. On, który rozpoczynał ten etap niewidzialny, szósty w klasyfikacji, teraz był królem świata, punktem, na którym skupiały się wszystkie kamery, wszystkie spojrzenia. Jego krajanie go oklaskiwali. „To było niesamowite”, mówi Pedro Delgado. Pokonał kolarza, który uważał się za niezwyciężonego i który wjechał do Segowii oburzony, wściekły z powodu tego, co się stało, z powodu konspiracji, której padł ofiarą. „Nikt nie chciał zwiększyć tempa. Woleli patrzeć, jak przegrywam i jak wygrywa Hiszpan. Wszyscy życzyli mi porażki. Odnosiłem wrażenie, że zawodnicy w peletonie śmiali się ze mnie za moimi plecami. To było oburzające…”, wyrzucił z siebie Millar, zanim zmienił swoją figurę, zmienił swoje ciało, zmienił płeć i oczywiście zanim poskarżył się na kolejny spisek przeciwko sobie rok później, w 1986, kiedy obwiniał organizatorów o to, że nigdy nie podawali mu informacji o czasach i że przyznawali mu nawet nędzne hotele, które

zamykały kuchnię, zanim on i jego ekipa dotarli na miejsce. Znowu znalazł się na drugim stopniu podium, tym razem za Álvaro Pino.

Millar był podejrzliwy od czasu edycji z 1985 roku, kiedy nikczemny „Perico" ukradł mu zwycięstwo, które on uważał już za swoje. Wśród peletonu i dziennikarzy zaczęła krążyć plotka, że nawet Renfe[12] brało udział w zmowie przeciwko Szkotowi, opuszczając szlabany na przejazdach kolejowych, kiedy miał przez niego przejechać któryś z kolarzy grupy Peugeot. Oczywiście pociągi nigdy się nie pojawiały. „Ale to nie ma sensu", odpowiadali organizatorzy Vuelty 1985. Od pięciu lat hiszpański wyścig przemierzał trasę tego historycznego etapu, na którym wcześniej nic się nie działo, a tym razem „Perico" skorzystał z okazji i odmienił losy zawodów. „Dziś współpracowały ze sobą wszystkie hiszpańskie ekipy. Moje zwycięstwo należy do całej Hiszpanii", wykrzyknął wtedy segowianin, który nie wierzył w to, co się stało. Był to moment zwrotny Vuelty. Fiesta „liska kolarstwa", jak sam siebie nazywał. Mistrzowska akcja utalentowanego kolarza, odkrytego przez Ramóna Chamorro Molinera i rozpieszczanego przez José Miguela Echavarriego. Góral, który w barwach ekipy Orbea wygrał pierwszy ze swoich trzech wielkich tourów (na koniec kariery sportowej mógł się poszczycić zwycięstwem w Tour de France i dwukrotnym w Vuelcie). Młody segowianin, który lubił czytać, a w czasach szkolnych uwielbiał matematykę. Kolarz, który pewnego zimnego dnia w podmadryckich górach z niewidzialnego zamienił się w mistrza.

Upadek, który przeszedł do historii

Jeden przyjechał jako obrońca tytułu, a drugi jako nowicjusz w trzytygodniowych wyścigach, ale mający na koncie wiele zwycięstw w tygodniówkach. Jeden, nowy *capo* Vuelty, Szwajcar z grupy CLAS, stawił się na linii startu edycji z 1993 roku jako główny faworyt, podczas gdy drugi, Szwajcar z ONCE, był zawodnikiem, którego talent powinien niebawem eksplodować. Pierwszy, Tony Rominger, który zakochał się w Hiszpanii, zapowiadał powtórzenie swojego triumfu z 1992 roku. Drugi natomiast, Alex Zülle, który także zakochał się w Hiszpanii, odgrywał rolę drugoplanową, pozostając w cieniu „Perico" Delgado, Laurenta Jalaberta, Erika Breukinka czy Jesúsa Montoyi.

Na Zülle, chłopaka w okularach, nawet nie spoglądano, ponieważ cała uwaga skupiała się na jego rodaku. Tamta edycja wyścigu rozpoczynała się w Galicji i tam też się kończyła, od pięknej A Coruñi do religijnego Santiago de Compostela, po drodze z prologiem, trzema jazdami indywidualnymi na czas i wieloma górami. Navacerrada, Cerler, Cruz de la Demanda, Alto Campoo, Jeziora Covadonga, Naranco… Mnóstwo kolarskich perełek podczas wyścigu skąpanego w czerwieni i bieli – kolorach jednego kraju, Szwajcarii, który rządził od początku do końca.

Był to piękny pojedynek między dwoma Helwetami. Z jednej strony Rominger, weteran, człowiek nieprzystępny, któremu jego zespół musiał zaszczepić iberyjską duszę, a z drugiej Zülle, który trafił do kolarstwa z powodu kontuzji, kiedy marzył o karierze narciarza, i który został odkryty przez Manolo Saiza. Tylko oni, 32-letni Rominger i 24-letni Zülle, mistrz i aspirant,

jeździli w koszulce lidera podczas tamtej Vuelty. Nikt więcej. Nie zajmował pierwszego miejsca nikt, kto nie urodziłby się w idyllicznej Szwajcarii, ojczyźnie „szalonego" Ferdiego Küblera oraz przystojnego i zarozumiałego Hugona Kobleta, triumfatorów Tour de France w latach 50.

Ku powszechnemu zaskoczeniu Zülle założył żółtą koszulkę po prologu, aby nie oddać jej przez 13 dni. Czternastego przejął ją Rominger. Aż do Santiago. „To były piękne czasy dla Szwajcarii – mówi Rominger, wspominając dziś magiczne lata, jakie przeżywał jego naród już ponad dwie dekady temu. – Wygraliśmy kilka Vuelt, jeżdżąc w hiszpańskich ekipach, więc było to ważne nie tylko dla nas, ale także dla Hiszpanów, dla lokalnych zespołów. To była wielka duma dla naszego kraju i zarazem punkt zwrotny, ponieważ zmienił się sposób postrzegania kolarstwa. Od tamtego czasu Szwajcaria wydała choćby takich zawodników jak Fabian Cancellara".

Podczas Vuelty 1993 Rominger potwierdził swoją klasę i objawił się nowy talent zwany Alex Zülle, dzięki czemu Szwajcaria, i zarazem cały świat, dowiedziała się, że wróg ich mistrza mieszka u nich w domu. „To bardzo uszczęśliwiło Szwajcarów", tłumaczy sam Zülle, w którym Manolo Saiz pokładał największe nadzieje. „Kim był Indurain w wieku 26 lat? Z pewnością znaczył mniej niż Zülle", wypalił rok później podczas Tour de France dyrektor sportowy ONCE, człowiek mający obsesję na punkcie tego, by zawsze być o krok do przodu, pionier nowego kolarstwa.

Dobrze rozpoczął tamtą edycję Vuelty kolarz w okularach, zawodnik wszechstronny, którego zawsze prześladował pech i który został zawodowcem, nie mając najmniejszego pojęcia o historii uprawianego przez siebie sportu. „Nie wie, kim jest Poulidor ani Luis Ocaña, ani inne wielkie postaci, bo w dzieciństwie jego idolami nie byli kolarze. Nie zna też

legendarnej Tourmalet. Jemu ta pełna historii przełęcz nic nie mówi", powiedział kiedyś Saiz dziennikarzowi Juanowi Morze. Pewnie za sprawą tej ignorancji nie czuł żadnej presji, kiedy po prologu założył koszulkę lidera. Dzień po dniu, etap po etapie wytrzymywał ku zdumieniu niemal wszystkich, którzy nie spodziewali się, że tak wcześnie zademonstruje równie wysoki poziom. Definitywny cios, mający na celu pokazanie, kto tu rządzi i że on też może wygrać Vueltę, wyprowadził podczas jazdy indywidualnej na czas w Navacerradzie szóstego dnia wyścigu. „Nie spodziewałem się, że wygram pierwszego dnia ani że tak długo utrzymam się na pozycji lidera. Mijały kolejne etapy, a ja miałem coraz większą pewność siebie, coraz wyższe morale", podkreśla Szwajcar, który – choć przegrał z Romingerem czasówkę w Saragossie – jako jedyny był w stanie go pokonać. Po 13. etapie jeszcze był liderem.

Dopiero dzień później, na przełęczy Cruz de la Demanda, oddał żółtą koszulkę. Rominger odebrał mu pierwsze miejsce, którego nie potrafił zapewnić sobie wcześniej. Zülle niczym pijawka przyssał się do jego koła podczas następnych batalii stoczonych na podjeździe pod Alto Campoo i na trasie do wspaniałych Jezior Covadonga, wyobrażając sobie, że obrońca tytułu w każdej chwili może być zmuszony uruchomić zapasowe pokłady sił i przekona się, że już ich nie ma. Ale to, o czym marzył Zülle, nigdy się nie wydarzyło. Dzielny Rominger postanowił, że zjazd z Cobertorii, który zniszczył tyle marzeń, podczas trzeciego od końca dnia rywalizacji, jest idealnym miejscem, aby uderzyć pięścią w stół, aby dać jasno do zrozumienia, że jeszcze nie czas na zmianę pokoleniową. Że jest zbyt wcześnie, że on dopiero co zaczął wygrywać.

Nie obawiając się deszczu, Rominger przeprowadził atak, zaskakując tym samym Zülle. „Pamiętam, że na szczycie przełęczy znalazłem się jako jeden z trzech pierwszych, a on

[Zülle] był dwa albo trzy miejsca za mną. Zjechaliśmy bardzo, bardzo szybko", wspomina Rominger. Jego odwaga sprawiła, że wyścig się wykrystalizował, ale to zamroczenie jego rywala zrobiło resztę. Tego brzydkiego dnia – panowała typowo asturyjska pogoda z deszczem, zimnem i wiatrem, a więc elementami, które zamieniają kolarstwo w heroiczny bój – młody kandydat rozbił swoje szanse w pył. Jego tylne koło poślizgnęło się na łagodnym zakręcie w lewo, a kolarz znalazł się na mokrym asfalcie. W jakiś dziwny i niewytłumaczalny sposób Zülle stracił kontrolę nad rowerem, kiedy ten oraz jego ciało znajdowali się już właściwie w pozycji pionowej. Później, upewniwszy się, że wszystkie kości znajdują się na swoim miejscu, zdezorientowanym wzrokiem poszukał roweru. Nie znalazł go. Dopiero mechanik ONCE zlokalizował sprzęt ukryty między trawą a opuszczonym domem.

„Nie wiem, czy mam powiedzieć, że to był pech, czy moja wina, mój błąd – mówi bohater tamtego historycznego upadku, pytany o swoją wersję wydarzeń. – Prawda jest taka, że Tony miał bardzo dobrą technikę zjeżdżania, ale ten upadek… Och, co za pech! Tak naprawdę myślę jednak, że to była moja wina, cóż mam powiedzieć. Mimo wszystko byłem zadowolony, chociaż gdyby do tego nie doszło, być może wygrałbym Vueltę". Jego wina czy też nie, Zülle, który w trakcie całej kariery zaliczył sporo upadków, zaczął wtedy emocjonujące odrabianie strat, zakończone legendarnym, rzuconym na mecie: „Dużo wody, rower w kwiatach, dupa na drodze".

„Nie wiem, czy wylądował na ziemi dlatego, że stracił panowanie nad rowerem, czy dlatego, że stracił z nami kontakt i ryzykował. Możliwe, że ten upadek miał wpływ na zwycięstwo, ale zdołał nas jeszcze doścignąć. To było bardzo emocjonujące, ale nie sądzę, by Alex przegrał tam Vueltę".

Nie uważał tak również Manolo Saiz, mimo że Zülle stracił na szczycie Naranco, gdzie kończył się tamten 19. etap, prawie minutę. Były lider wyglądał na przygnębionego, miał smutną, mizerną twarz i potłuczone ciało, a jego rodak oddalał się w klasyfikacji generalnej. „Ale wtedy pojawił się mój wielki przyjaciel Manolo Saiz, który dodał mi dużo otuchy. Dzięki niemu odzyskałem pewność siebie. Powiedział, żebym myślał wyłącznie o ostatniej czasówce, żebym walczył tylko o wygranie tego etapu, abym był najlepszy tego dnia. I koniec końców, o mały włos wygrałbym Vueltę". Dwadzieścia dziewięć sekund odgrodziło go od tego, co niemożliwe, choć odzyskał stracony czas po niefortunnym upadku na przeklętej Cobertorii. Na 44-kilometrowym odcinku między Padrón a Santiago de Compostela nikt nie był szybszy od niego. Wygrał etap i otarł się o cud. „Myślę, że zapłaciłem za wysiłek, na jaki zdobyłem się na Naranco", stwierdza Rominger. I przyznaje, że „w tamtej czasówce on był ode mnie znacznie lepszy". Do czasówki starszy ze Szwajcarów przystępował po nocnych zmaganiach z dolegliwościami żołądkowo-jelitowymi. „To był najcięższy dzień mojego życia", powiedział wtedy Rominger.

I tak, z różnicą niespełna pół minuty między obydwoma, zakończyła się Vuelta a España w 1993 roku, druga zwycięska w karierze Romingera (w 1994 wygra po raz trzeci, i to w miażdżący sposób – jako lider od początku do końca), o którą otarł się Zülle (rok później zajmie czwarte miejsce i będzie triumfował w edycjach z 1996 i 1997 roku na oczach innego Szwajcara, Laurenta Dufaux) i którą z dużą stratą ukończyli pozostali, śmiertelnicy, na czele z Laudelino Cubino z grupy Seguros Amaya, zajmującym trzecią lokatę ze stratą prawie dziewięciu minut. „Bez wątpienia była to dla mnie najtrudniejsza Vuelta – przyznaje Rominger, który doskonale pamięta wszystko, co się wydarzyło w tamtym roku. – Etap na

Naranco, mój atak na zjeździe z Cobertorii, upadek Zülle, naszą walkę, kiedy on mnie ścigał, a ja uciekałem, to był najpiękniejszy moment w całej mojej karierze. Tam, na Naranco, wygrałem etap i Vueltę, najtrudniejszą z trzech, bo w trakcie wyścigu ja słabłem, a on jechał coraz lepiej".

Tak samo szczegółowe wspomnienie o każdej sekundzie, każdej minucie tamtej edycji przechowuje drugi z bohaterów, ten, który przegrał rywalizację, ale przedstawił się całemu światu. „Nie można porównywać drugiego miejsca ze zwycięstwem, ale w tamtym momencie, w 1993 roku, dopiero drugi sezon jeździłem w zawodowym peletonie. To było wyjątkowe, bo moja forma podczas trzytygodniowego wyścigu była zaskoczeniem. Dobrze sobie radziłem w tygodniówkach, byłem niezły w górach i w jeździe na czas, ale podczas tak ważnego wyścigu wciąż byłem niewiadomą. Zwycięstwo to zwycięstwo, ale dla mnie to drugie miejsce, w tak młodym wieku, oznaczało triumf", dodaje Alex Zülle, który razem ze swoim rywalem i rodakiem, Tonym Romingerem, dzisiaj raz jeszcze przeżywa jedną z najbardziej pasjonujących Vuelt. Wyjątkowy rozdział w życiu dwóch Szwajcarów, przez ponad pięć lat dominujących w kraju, w którym zakochali się do szaleństwa.

Miłość i nienawiść

Związek legendarnego Miguela Induraina z Vueltą, jego rodzimym wyścigiem, był dosyć dziwny. Jakże jednak miał taki nie być, skoro w gablocie najwybitniejszego hiszpańskiego kolarza nie ma ani śladu trofeum za Vueltę. Jakże miał taki nie być, skoro Nawaryjczyk i wszyscy ci, którzy mieli szczęście oglądać jego niezapomniane występy, pamiętają pięć wspaniałych letnich miesięcy we Francji oraz dwie zachwycające wiosny we Włoszech, ale żadnych trzech magicznych tygodni w Hiszpanii. Jakże miał taki nie być, skoro geniusz z Villavy, miasteczka, w którym się urodził, choć nikt w to nie wierzy, bo musiał przybyć z jakiejś tajemniczej i odległej planety, nie znajduje w pamięci rozdziału opowiadającego o swoich osiągnięciach w Vuelcie, która odważyła się oprzeć jego urokowi. Czasem z jej winy – jakże kapryśne jest życie – czasem z jego, bo koncentrował się na wspaniałym Tour de France, a niekiedy z powodu kłótni tych na górze, przeciągania liny między jego szefostwem a organizatorami.

Miguel Indurain jest legendą. Ma na koncie siedem zwycięstw w wielkich tourach, złoty medal mistrzostw świata w jeździe indywidualnej na czas, złoto olimpijskie i tysiąc innych rzeczy, ale brakuje mu Vuelty. Nigdy nie udało mu się narzucić swojego prawa na hiszpańskich szosach. A przecież wszystko zaczęło się niezwykle obiecująco, kiedy mając zaledwie 20 lat, został liderem wyścigu w 1985 roku – w tamtym momencie był najmłodszym zawodnikiem, który kiedykolwiek założył koszulkę najlepszego. Nie nosił jej długo, ale to wystarczyło, by wiedzieć, że ten chłopak o nieśmiałym spojrzeniu,

powściągliwy w słowach, był inny niż wszyscy, inny niż śmiertelnicy pedałujący razem z nim w peletonie. Upłynęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd przeszedł na zawodowstwo, więc jego osiągnięcie było warte odnotowania, chociaż później zgubił się w klasyfikacji generalnej.

A Vuelta bywa kapryśna. Spośród siedmiu hiszpańskich triumfatorów Tour de France, tylko trzech odniosło sukcesy także w narodowym wyścigu. Luis Ocaña, Pedro Delgado i Alberto Contador byli bohaterami, którzy uśmiechali się z najwyższego stopnia upragnionego podium obydwu wyścigów. Natomiast Federico Martín Bahamontes, Óscar Pereiro, Carlos Sastre i Miguel Indurain tego nie zrobili, nie było im to dane. Ten ostatni nie mógł nawet podnieść rąk na mecie etapu, ulokowanej gdzieś na lokalnej mapie. Jest to uderzające, ponieważ „Miguelón", kolarski „Robocop", brał udział w Vuelcie aż osiem razy. Oczywiście nigdy jako mistrz Tour de France. Startował co roku od 1985 do 1991, kilka miesięcy przed rozpoczęciem swojej francuskiej ofensywy. Przez następnych pięć lat maltretował drogi sąsiedniego kraju i zapomniał o hiszpańskich, woląc nawet narzucić swoje prawo na włoskich szosach za sprawą dwóch historycznych zwycięstw w Giro w 1992 i 1993 roku, zostając pionierem, pierwszym Hiszpanem kończącym ten wyścig w różowej koszulce. Na Vueltę wrócił dopiero w niewdzięcznym 1996 roku. W czarną godzinę.

Swoje najlepsze wyniki w narodowym wyścigu, w którym nigdy nie wygrał etapu, osiągnął w 1990 roku, gdy zajął siódme miejsce, oraz w 1991, gdy był drugi. Za pierwszym razem Indurain, zawsze wierny ekipie José Miguela Echavarriego i Eusebio Unzué, zaczynał jako lider Banesto po wyczerpującym początku sezonu, tworząc wielkie trio z „Perico" Delgado, zwycięzcą Tour de France z 1988 roku, i z Juliánem Gorospe, Biskajczykiem, dla którego były to ostatnie lata kariery. Z całej

trójki to Delgado był o krok od sięgnięcia po ostateczne zwycięstwo, kończąc wyścig ze stratą niecałej półtorej minuty do Włocha Marco Giovannettiego. Indurain był siódmy ze stratą ponad sześciu minut.

Lepiej poszło Nawaryjczykowi – mężczyźnie poważnemu, o gęstych brwiach i szerokich plecach, z nogami jak kowadła – w roku następnym, 1991. Jego koszulka była jedną z tych, na którą najbardziej zwracano uwagę podczas prologu inaugurującego tamtą edycję w pełnej zabytków Méridzie, mieście Oktawiana Augusta, raju dla miłośników historii. Ale Indurain nie wygrał. Nie wygrało też jego Banesto następnego dnia podczas popołudniowej czasówki drużynowej. Górą była ekipa ONCE, perfekcyjna maszyna Manolo Saiza. Najpierw za sprawą Melciora Mauriego, nieznanego Katalończyka, a później dzięki sile wszystkich chłopaków Saiza. Był to idealnie naoliwiony pociąg. „Nie popełniliśmy ani jednego błędu. A było to możliwe dzięki temu, że Manolo metr po metrze powtarzał nam przez radio, co musimy robić", opowiadał Anselmo Fuerte, kolarz z Madrytu, który pożyczył żółtą koszulkę od swojego kolegi.

A Miguel – ach, Miguel! – mało brakowało, by stracił już wszystkie szanse. Jechał dobrze, lecz zdarzyły się dwie sytuacje, które mogły zaprzepaścić jego nadzieje. Gorospe stracił równowagę, co mogło doprowadzić do katastrofy, bo zabrakło centymetrów, żeby wprowadzić bałagan w całej ekipie Banesto. A później nowicjusz José Luis Santamaría opadł z sił przed końcem etapu. Stracone sekundy na wagę złota, które wykorzystali Manolo Saiz i jego chłopcy. Na szczęście dla Induraina pierwszy tydzień rywalizacji zakończył z nietkniętymi szansami. „Znowu znalazłem się w grupie tych, którzy walczą o wygranie klasyfikacji generalnej, co jest powodem do satysfakcji, ale mam też świadomość, że ten, kto

pragnie zwyciężyć, powinien także pokazać się w górach i mam nadzieję, że w moim przypadku tak się stanie", tłumaczył sam Indurain po trzeciej czasówce, a drugiej indywidualnej, z kolejnym zwycięstwem Melciora Mauriego, który okazał się bezkonkurencyjny.

Był to dopiero siódmy etap, ale wszystko wskazywało na to, że pojedynek między Katalończykiem a Nawaryjczykiem, między ekipami ONCE i Banesto będzie trwać aż do mety w Madrycie. Ich rywalizacja została jednak przyćmiona przez chaos, w jakim pogrążyła się Vuelta tuż po zakończeniu tamtej jazdy indywidualnej na czas w Cala d'Or na Majorce. Transport peletonu i całej karawany do Barcelony okazał się prawdziwą katastrofą. Opóźnienia na lotnisku sięgały aż pięciu godzin, a nawet odwołano loty. Nie ucierpiały tylko niektóre gwiazdy, a to dzięki sprytowi ich dyrektorów, którzy wyczuwali kłopoty i kupili dla swoich liderów bilety na regularne rejsy. Reszta, już po wylądowaniu w Katalonii, musiała szukać sobie jakiegoś transportu do hoteli w Lloret de Mar (gdzie kończył się następny etap) i w okolicy, jako że wielogodzinne opóźnienia sprawiły, że na lotnisku El Prat wylądowali o jedenastej wieczorem. Organizatorzy nie zapewnili im autobusów, w związku z czym taksówki były na wagę złota.

Pojawiły się też głosy krytykujące Vueltę, bo jeśli nie chaos związany z transportem, to wyścigowi zagrażał śnieg. Odwołano przejazd jedną z przełęczy, skrócono czasówkę do Valdezcaray i odwołano cały dziesiąty etap (z metą na Pla de Beret) ku oburzeniu tych wszystkich, którzy liczyli na odebranie żółtej koszulki zaskakującemu liderowi. Co ciekawe, na Melciora Mauriego tak do końca nie stawiał nawet Saiz: „Nie mogę narażać ewentualnego zwycięstwa w Vuelcie z powodu czegoś, co jest tylko mrzonką. Muszę być realistą. Oby Mauri wytrzymał w górach, ale tak samo jak ślepo w niego wierzyłem,

tak myślę, że brakuje mu jeszcze doświadczenia, żeby z powodzeniem poradzić sobie na wspinaczkach. Teraz musi pomagać naszym liderom, Lejarrecie i Fuerte".

Pomylił się jednak dyrektor ONCE, ponieważ Mauri wytrzymał. A z asturyjskich gór, a więc z Naranco i Jezior Covadonga, wyjechał właściwie mocniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. „Zrobiłem wielki krok do przodu", wykrzyknął barcelończyk, który rozpoczął Vueltę jako zupełnie nieznany kolarz i który zakończy ją – o czym przekonamy się po latach – jako ktoś, kto, obok Bjarne Riisa, pokonał jedynego człowieka zdolnego wygrać pięć wyścigów Tour de France z rzędu, za pozwoleniem niewidzialnego Amerykanina. „Do końca pozostało pięć dni i będziemy atakować, ale bardzo trudno będzie odebrać mu koszulkę lidera. Doskonale bronił swojej pozycji i może liczyć na pomoc wspaniałej ekipy", przyznał sam Indurain, który wiedział, że tamta Vuelta, nijaka dla ekipy Echavarriego, malowała się w czarnych barwach. I miał rację, wszak trzeciego dnia przed końcem wyścigu, podczas kolejnej jazdy indywidualnej na czas, 53-kilometrowego odcinka w Valladolid, Melcior Mauri zadał ostateczny cios. Indurain musiał się zadowolić drugim miejscem w klasyfikacji generalnej, ze stratą prawie trzech minut do niespodziewanego triumfatora.

To właśnie edycja z 1991 roku była tą, podczas której Nawaryjczyk był najbliżej zwycięstwa w hiszpańskim wyścigu. Od tamtej pory Miguel Indurain i Vuelta pojawiali się razem w wiadomościach dotyczących tematów, które ze sportem miały niewiele albo w ogóle nic wspólnego. Kolarz z Villavy był wykorzystywany jako środek nacisku między szefostwem Banesto a Unipublic. Organizatorzy Vuelty przez następne lata byli mocno obrażeni na hiszpańską ekipę, która nową wielką

gwiazdę peletonu wolała wysłać na wyścig do Włoch niż na Vueltę.

Między obiema stronami, z udziałem także TVE, odbyło się niejedno spotkanie mające na celu rozwiązanie problemu, ale nie znaleziono żadnego wyjścia z tej trudnej sytuacji. Jako że nie dało się po dobroci, Unipublic poszukała jakiejś pułapki w regulaminie Międzynarodowej Unii Kolarskiej (UCI), chcąc sprawić, by Miguel Indurain wystartował w Vuelcie. I tak pod koniec 1993 roku wprowadzono nowy przepis. Żeby hiszpańskie ekipy, i tylko one, mogły wziąć udział w wyścigu, musiały stawić się z zawodnikami, którzy mają w sumie co najmniej 60 procent punktów UCI całej drużyny. A w Banesto najwięcej miał ich na koncie mistrz z Nawarry – 2700 z niecałych 5500, jakie posiadała ekipa.

„Miguel bierze udział w Vuelcie z obowiązku, w Giro z nabożności, a w Tour de France dla osiągnięcia celu", wypalił Echavarri w środku całego konfliktu. Później złagodził własne słowa, lecz nie zmienił terminarza swojego lidera. Nie pojedzie w Vuelcie, co oburzyło organizatorów, którzy nie rozumieli, jak to możliwe, że najlepszy kolarz świata, będąc stąd, nie chce w niej uczestniczyć. „To, co jest dobre dla Vuelty, jest także dobre dla hiszpańskiego kolarstwa", powiedział Enrique Franco, ówczesny dyrektor Unipublic. Nawet oferta w wysokości 200 milionów peset nie przekonała Banesto do zmiany zdania. „To oczywiste, że niektórzy chcą upolitycznić tę sprawę. Całe szczęście, że pewien minister powiedział Indurainowi, że ma wolność wyboru", przyznał José Miguel Echavarri, menedżer Banesto, który został wciągnięty w polemikę na temat zmieniających się liczb i żadna nie zgadzała się z tą rzuconą przez drugą stronę. „Chcemy dojść do pełnego porozumienia, które będzie zawierać między innymi jego udział w kampanii informacyjnej, a także wypowiedzi

podczas wyścigu. Echavarri zażądał od nas 500 milionów peset oraz 25 procent zysków z reklam z wyścigu Paryż–Nicea, 25 procent zysków z kolarskiego rekordu świata w jeździe godzinnej, 23 procent zysków ze sprzedaży płyt wideo i książek, a także 25 procent z reklam podczas wyścigu Dookoła Katalonii", podkreślił Jordi García Candau, dyrektor generalny RTVE.

Oczywiście jego liczby nie zgadzały się z tymi, jakich – według bardzo wiarygodnego źródła – domagał się Echavarri: „Ostatnia propozycja TVE stanęła na 300 milionach i mówiła o dwóch edycjach Vuelty, dwóch wyścigach Paryż–Nicea i kilku innych rzeczach. Później jednostronnie zawiesili negocjacje, więc my uznaliśmy, że możemy podejmować własne decyzje". Przez wiele miesięcy, między końcem 1993 roku a początkiem 1994, trwała nieprzerwana wymiana zdań między obiema stronami. „Jest to problem finansowy, nie ma powodów sportowych – poinformował García Candau. – Gdybyśmy zapłacili 500 milionów, Indurain wziąłby udział w Vuelcie. Poza tym Echavarri nie pozwolił, by kolarz był obecny na prezentacji wyścigu". A Echavarri, a jakże, temu zaprzeczył.

W środku tego wszystkiego znajdował się biedny Indurain, który patrzył, jak jego nazwisko było wykorzystywane przez wszystkich do walki, której nie akceptował. Lubiący pozostawać w cieniu, z dala od blasku reflektorów Nawaryjczyk został wciągnięty w polemikę, która bynajmniej nie przynosiła mu korzyści. Podczas gdy on milczał, między jedną a drugą stroną wciąż dochodziło do ostrych wymian zdań. „My nie chcemy wygrać tej batalii, tylko przekonać drugą stronę. Nie chcemy, by na nas naciskano. Indurain nie jest wyłącznym dziedzictwem żadnego rządu", dał jasno do zrozumienia dyrektor sportowy kolarza. W Banesto panowało tak wielkie oburzenie, że podczas jednego ze spotkań z przedstawicielami La Caixy

i organizatorami wyścigu Dookoła Katalonii szefostwo ekipy zaproponowało wyścig równoległy do imprezy Unipublic, kiedy Vuelta miała zostać przełożona na wrzesień, czyli w 1995 roku.

„My niczego nie narzucamy. Wysłucham przedstawicieli ekip i wezmę pod uwagę każdą rozsądną propozycję. Oni opowiadają o wolności, ale drugiej stronie tej wolności nie dają. W takiej sytuacji trzeba mówić o demokracji w obozie organizatorów i o dyktaturze po stronie ekip", zaznaczył Enrique Franco na antenie stacji radiowej COPE, aby jeszcze bardziej podgrzać i tak już gorącą atmosferę. „Tour de France jest jedynym wyścigiem, na którym bez słowa przyjmuje się warunki organizatorów", ciągnął szef Unipublic, który nie ukrywał, przeciwko komu skierowana była jego nowa norma: „Naszym zdaniem nie ograniczamy wolności żadnej ekipy z wyjątkiem Banesto. Ale chcemy negocjować".

Banesto mogło liczyć na wsparcie pozostałych sześciu hiszpańskich ekip, ale Artiach, Euskadi, Kelme, ONCE, Deportpublic i Mapei-Clas przynajmniej nie stanęły po stronie wroga. „Jeśli nie dojdzie do porozumienia, ostatecznie straci na tym całe hiszpańskie kolarstwo – ostrzegł główny bohater zamieszania, Miguel Indurain. – Szkodzi mi to, ponieważ znajduję się w środku wszystkiego. Postanowiłem, że wystartuję w Giro, a nie w Vuelcie, i zrobiłem to dobrowolnie. Banesto nie robiło mi żadnych trudności. To ja oceniłem trasy obu tych wyścigów i uznałem, że aby należycie przygotować się do Tour de France, czyli mojego głównego celu, wcześniej muszę pojechać w Giro".

Problemy między Echavarrim a Unipublic bardzo przypominały tamte z 1988 roku, gdy znana wtedy pod nazwą Reynolds ekipa postanowiła, że Pedro Delgado będzie się przygotowywał do Tour de France, startując w Giro d'Italia, a nie w Vuelcie. Wtedy niebo się zachmurzyło i deszcz spadł na

głowę nawaryjskiego menedżera. I kiedy wydawało się, że 90 procent populacji – ci, którzy uważali, że ten pomysł to samobójstwo – miało rację, w lipcu francuski wyścig dostarczył wszystkim sporej dawki radości. A więc wszystko to, co działo się z Indurainem, przeżywano już lata wcześniej. „Igra się z wieloma rzeczami. Chce się skonfliktować nas z kibicami i daje się do zrozumienia coś, co nie jest prawdą. To wojna interesów, której mogę być ofiarą i której nie jestem winien. Winę ponosi ten, kto wprowadził ten zapis o 60 procentach. Dlaczego 60 procent, a nie 50 albo 40? Ostatecznie punkty UCI są dla mnie torturą. Służą tylko do tego, aby zmuszać mnie do startowania w wyścigach, a nikt mi za te punkty nie płaci. Ja ich nie chcę. Oddam je komukolwiek", mówił Indurain.

Następnego dnia po tych słowach kolarza Banesto poparło go, ogłaszając jego udział w Giro. „Cały jego sezon kręci się wokół jednego wyścigu, Tour de France, i nigdy nie narazimy ewentualnego zwycięstwa we Francji. Gdyby Miguel pojechał w Vuelcie, musiałby być w szczytowej formie już 30 kwietnia, w dniu wspinaczki na Sierra Nevada. Ponadto zważywszy, jak zaplanowano trasę, musiałby znajdować się w wysokiej dyspozycji przez całe trzy tygodnie. To zmusiłoby nas do przełożenia jego przygotowań i szukania drugiego szczytu formy w lipcu. Pierwsza poważna góra na Giro będzie 3 czerwca, 35 dni i 3500 kilometrów później. A cała trudność tego wyścigu pojawia się w ostatnim tygodniu. Po jego zakończeniu 20 dni aktywnego wypoczynku pozwoli mu utrzymać formę i w idealnej dyspozycji przystąpić do Tour de France", uzasadniał swoją decyzję Echavarri, puszczając jednocześnie oko w stronę organizatorów Vuelty: „Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby Banesto było obecne na Vuelcie i aby odgrywało w niej główną rolę".

Występ Miguela Induraina był więc już niemożliwy, negocjacje między biało-niebiesko-czerwoną ekipą a firmą organizującą narodowy wyścig utknęły w martwym punkcie, a do rozpoczęcia Vuelty pozostało tylko dwa i pół miesiąca. Był luty 1994 roku i jeszcze nikt nie wiedział, czy Banesto, jedna z najlepszych ekip na świecie, stawi się na starcie w Valladolid 25 kwietnia. Dwadzieścia pięć dni później, na początku marca, doszło do kolejnego spotkania w Madrycie. Tym razem z pewnym nowum. W rozmowach pośredniczyła bowiem Krajowa Rada Sportu. Spotkanie trwało trzy godziny i na stole została propozycja: Unipublic wycofa weto dla Banesto na Vueltę 1994, a Banesto zobowiąże się, że Miguel Indurain wystąpi w Vuelcie 1995.

„Wszyscy Hiszpanie chcą, żeby Indurain wystartował i wygrał Vueltę", podkreślił Rafael Cortés Elvira, sekretarz stanu w Ministerstwie Sportu. Ostatecznie na podium Vuelty w 1994 roku z ekipy Banesto stanęli Mikel Zarrabeitia i Pedro Delgado, za Tonym Romingerem, a Indurain zajął trzecie miejsce w Giro, za Jewgienijem Bierzinem i Marco Pantanim, a później wygrał swój czwarty Tour de France. Po raz piąty zwyciężył w 1995 roku, niespełna dwa miesiące przed pierwszą Vueltą odbywającą się we wrześniu, co nie podobało się żadnej hiszpańskiej ekipie. I w tym wyścigu, pomimo spotkania w Madrycie pomiędzy Banesto, Unipublic, TVE i Krajową Radą Sportu, Indurain też nie wziął udziału. „W Hiszpanii uprawiamy pomarańcze i eksportujemy je do Francji, podczas gdy sami jemy mandarynki", wypalił Enrique Franco, wściekły z powodu zaistniałej sytuacji, która jego zdaniem była zdradą.

Kilka miesięcy wcześniej sam Franco zgadzał się z Echavarrim, wypowiadając słowa, którymi chciał obniżyć napięcie, jakie panowało w 1994 roku. „Jeśli ja byłbym dyrektorem Induraina, też nie zabrałbym go na Vueltę, kiedy

odbywała się ona w kwietniu", powiedział organizator. Na swój sposób odpowiedział mu „Miguelón", mistrz zachowujący zimną krew: „Franco dobrze wie, dlaczego powiedział to, co powiedział. Organizatorzy wszystkich wyścigów naciskają na mnie, bym brał w nich udział, i to jest normalne. Wyścig zyskuje na znaczeniu, kiedy uczestniczą w nim najważniejsi kolarze". To zadziwiające, jak Indurain unikał wszelkiego typu polemiki i nikt nie był w stanie go zirytować. Nie udałoby się to nawet Donaldowi Trumpowi.

Zgłoszony wstępnie przez Banesto na Vueltę 1995, Indurain ostatecznie nie weźmie w niej udziału czwarty rok z rzędu. „Nie jestem w formie potrzebnej do wygrania takiego wyścigu. Nie mam chęci ani energii. Nie widzę możliwości walki o zwycięstwo. Po Tour de France miałem gwałtowny spadek formy, nie prezentuję się zbyt dobrze. Znacznie lepiej wyglądają ci, którzy będą próbować wygrać Vueltę. Moja dyspozycja nie jest taka sama jak Escartína albo Jalaberta", powiedział Indurain Pablo Lópezowi, jak podaje „El País" w swoim wydaniu z 19 sierpnia 1995 roku. Vuelta znowu musiała obejść się bez największej gwiazdy peletonu, bez najlepszego hiszpańskiego kolarza wszech czasów, pomimo dokumentu podpisanego półtora roku wcześniej.

Zdenerwowało to Unipublic. „Indurain nas oszukał i zdradził. Mogliśmy go zaatakować, a ponieważ byliśmy uprzejmi, wymknął się nam", wybuchnął Enrique Franco na antenie stacji radiowej SER. Po tym straszliwym ciosie szef Unipublic nie wierzył też, że kolarz z Nawarry wystartuje w 1996 roku: „Jeśli nie w 1999 albo 2000, to nie wiem, kiedy Indurain może wziąć udział w Vuelcie. Jeśli w tym roku, gdy jeździł przez 60 dni, a więc tyle samo co Mauri, Jalabert czy Escartín, którzy owszem, pojadą w Vuelcie, on jest zmęczony, to w 1996 też będzie zmęczony po Tour de France".

Aby pięciokrotny triumfator Wielkiej Pętli nie uczestniczył w Vuelcie, Banesto powołało się na jedną z klauzul umowy, która brzmiała następująco: „Spółka Sportowa Banesto podtrzymuje zobowiązanie, że wśród kolarzy, którzy wezmą udział w wyścigu Dookoła Hiszpanii w 1995 roku, znajdzie się Miguel Indurain, pod warunkiem że w dniu rozpoczęcia wyścigu nadal będzie należał do ekipy i nie zaistnieją okoliczności związane z siłą wyższą, które nie pozwolą mu na udział. Prosi się o uszanowanie decyzji P. Induraina i w żadnym razie nie może ona zaszkodzić jego sportowym interesom”.

Być może z tego powodu, przez złamanie ustaleń i batalie z przeszłości, Indurain, idealna maszyna, kolarz z żelaza, człowiek niezłomny, czuł się w obowiązku wystąpić w Vuelcie w 1996 roku. Tour de France był dla niego torturą. Sportowiec, który wydawał się niezwyciężony, wreszcie został pokonany. I on, człowiek rodzinny, który nie lubił znajdować się w centrum uwagi, potrzebował zamknąć się w domu i zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się we Francji. Ale nie mógł. Czuł, że powinien pojechać w tej Vuelcie. Tym razem, owszem, dotrzymał słowa. Ale w jakim przeklętym momencie – pomyśli sobie później. O ile bowiem w Tour de France poszło mu źle, to w Vuelcie poszło mu jeszcze gorzej.

„Nigdy nie zaczynałem wielkiego touru, mając tak mało energii”, ostrzegł Indurain przed startem, lecz nikt tego nie słuchał. Radość, jaka panowała w Hiszpanii z powodu jego udziału, pierwszego od 1991 roku, oraz jego ewentualny rewanż za to, co stało się na Tour de France, były ważniejsze niż gorzkie słowa kolarza z Villavy. Skoro zawsze odmawiał występu w Vuelcie, to miał jakiś powód. I w 1996, jego najgorszym roku, było wiadomo dlaczego. Zmęczony Indurain – który w pierwszym tygodniu wyścigu otrzymał wiadomość, że jego brat, także kolarz, złamał sobie rękę, spadając z roweru

górskiego – nie wahał się przyznać, dlaczego tym razem zgodził się wziąć udział w Vuelcie. Dziennikarz Carlos Arribas zapytał go, czy to pierwszy raz, gdy Banesto nie pozwoliło mu wybrać: „Tak. Do tej pory zawsze pozwalali mi wybierać terminarz. Nie wiem, kto postanowił inaczej i dlaczego. Czy to reprymenda za niewygranie Tour de France, czy to z powodu interesów, czy jeszcze czegoś innego… Mogło się na to złożyć wiele czynników. Na początku było mi z tym źle, ale teraz nie ma innego wyjścia i oto tu jesteśmy. Nie sądzę jednak, aby była to decyzja Echavarriego albo Unzué. Wydaje mi się, że podjął ją ktoś postawiony jeszcze wyżej, ale nie wiem kto".

Aby wiedzieć, czy ta edycja Vuelty mogła należeć do Induraina, czy nie, należało zaczekać do daty zaznaczonej w kalendarzu na czerwono. Dziesiąty etap. Jazda indywidualna na czas, 46,5 kilometra. Z El Tiemblo do Ávili. Teren Induraina. „Ale to nie jest Tour de France – znowu tonował nastroje kolarz. – To jest inna motywacja, inna historia, inna dyspozycja fizyczna. Nie ma porównania między moją obecną formą a tą z lipca, w żadnym razie". Tej czasówki nie wygrał Miguel (zwyciężył Tony Rominger), ale poradził sobie dobrze. Nie przypominał tego przygnębionego kolarza z ostatniego Tour de France. Był trzeci. W klasyfikacji generalnej – drugi, za innym Szwajcarem, Alexem Zülle. Jeśli chciał zdobyć koszulkę lidera, musiał atakować. Wkrótce jednak, w asturyjskich górach, stało się jasne, że coś było nie tak, że ta Vuelta też nie będzie należeć do niego. Że tak samo jak Bahamontes, on także nigdy nie wygra wielkiego touru, którego trasa przebiegała najbliżej jego rodzinnego domu.

Dwa etapy po czasówce, podczas wspinaczki na Naranco, można było wywnioskować, że w nogach Induraina wciąż coś nie funkcjonowało jak należy. Stracił minutę do Zülle. Następnego dnia było jeszcze gorzej. U stóp Jezior Covadonga,

na ołtarzu hiszpańskiego kolarstwa, najważniejszy kolarz w naszej historii pożegnał się w bardzo okrutny sposób. Mocny atak Romingera, podobnie jak w Les Arcs, gdzie pogrzebał swoje szanse we Francji, zniszczył Induraina fizycznie i przede wszystkim psychicznie. Przygnębiony kolarz postanowił, że już wystarczy. Że kaprys tych z góry został zaspokojony i że nie potrzeba się już więcej męczyć. Po trzech godzinach, 12 minutach i pięciu sekundach od rozpoczęcia 13. etapu Vuelty 1996 Indurain zsiadł z roweru. Sportowa kariera pięciokrotnego triumfatora Tour de France zakończyła się naprzeciwko fasady hotelu w Cangas de Onís, tego samego, w którym tamtego dnia zatrzymała się ekipa Banesto. *El Capitán*, bo tak właśnie nazywał się hotel, 20 września 1996 roku był świadkiem chwili, która przeszła do historii. Indurain zsiadł z siodełka, żeby otworzyć drzwi i za nimi zniknąć. Księga jego dokonań, i to jakich dokonań, została już zamknięta na zawsze.

„Nie ma co szukać dziury w całym. Nie jechałem dobrze, nie jechałem tak, jak chciałem. Każdemu może się to przytrafić. Nie zawsze wszystko wychodzi tak, jak człowiek chce. Na Fito (przełęczy, z której właśnie zjechał peleton) nogi odmówiły mi posłuszeństwa, brakowało mi tlenu", próbował się później tłumaczyć Miguel Indurain, zakatarzony w ostatnich dniach i rozbity psychicznie. „Widziałem, że nie mogłem jechać dalej, i tyle. Nie ma sensu dłużej o tym rozmyślać", dodał. Wycofawszy się z wyścigu, Indurain zostawił rower, wszedł do swojego pokoju, wziął relaksującą kąpiel, a później znowu wyszedł do mediów. Siedząc na sofie, mówił dziennikarzom o tym, co się wydarzyło, i o tym, co będzie, o nieodległej przeszłości i przyszłości. „Postanowiono, że musiałem tu być i kropka, nie ma sensu dłużej tego drążyć. Ale gdy zgodziłem się pojechać w Vuelcie, zrobiłem to, licząc się ze wszystkimi

konsekwencjami – zaczął mówić Nawaryjczyk, który następnie dokonał podsumowania całego sezonu: – Nie był to najlepszy rok w mojej karierze, chociaż zacząłem go dobrze i wygrałem sporo wyścigów. A teraz nie wiem, muszę odpocząć i odzyskać zdrowie. Niczego jeszcze nie postanowiłem". Trzy miesiące później oficjalnie poinformował o definitywnym zakończeniu kariery. Człowiek nie z tej ziemi, który zadziwił cały świat i który wygrał wszystko, co chciał, z wyjątkiem Vuelty. To jego wielka zadra.

Poważny i sympatyczny

Jest to historia dwóch sportowców o odmiennych charakterach. Opowieść, w której główne role odgrywają dwie antagonistyczne postaci, dwaj różni kolarze. To zapis dziwnej Vuelty. Od początku do końca. Nic, ani osobliwa atmosfera, w jakiej się rozpoczęła, ani charakter głównych bohaterów, nie przypominało niczego, co wcześniej zdarzyłoby się w historii kolarstwa, która nieustannie się powtarza, lecz od czasu do czasu dostarcza nam zupełnie różnych opowieści. Jedne są piękne, inne nieestetyczne, jeszcze inne okrutne i odpychające. Opowieść z Vuelty 1998 o tym ciągle kręcącym się kołowrotku emocji, bez przerwy na odpoczynek w ciągu trzech pasjonujących tygodni, nie pasuje do żadnej z nich. Trudno jest znaleźć określenie, które podsumowałoby to, co zdarzyło się tamtego września. Może niewiarygodne. A może po prostu zaskakujące. Zdumiewające.

Świat rowerów, kolarstwo, jest pełen epizodów, w których jeden kolega zdradza drugiego. Owszem, ale zazwyczaj nie rozrasta się to do takich rozmiarów, jak miało to miejsce w tamtym 1998, roku hańby. Jeszcze było słychać echa z lipca i wciąż zbyt świeże były obrazki siedzącego protestu, samochodów wyładowanych magicznymi miksturami oraz aresztowań, które nigdy nie powinny się zdarzyć[13]. Przyniosły one wstyd dyscyplinie, która teraz wydawała się mroczniejsza niż jaskinia nietoperza, przypominała labirynt podstępów i strzykawek, z kolarzami, którzy wydawali się przestępcami, chociaż nimi nie byli.

Z echem tego, co brzydkie i okropne, rozpoczęła się Vuelta a España, na którą niewielu zwracało uwagę poza hiszpańskimi

granicami, po drugiej stronie Pirenejów. W środku wojny narodowych ekip z sąsiednim krajem Unipublic skróciła nawet jeden etap, który miał zahaczyć o terytorium Francji. „Aby nie powodować większego napięcia", powiedziano. Tak naprawdę nie był to zły pomysł, jeśli organizatorzy chcieli sprawić, by dzięki wyścigowi odzyskano wiarę w ten sport, przywrócono go na dobrą, właściwą drogę. Cel był taki, aby zapomnieć o tej pajęczynie, w którą od dwóch miesięcy było zaplątane kolarstwo. Uratowanie wizerunku światowego peletonu zależało od tego, co wydarzy się na hiszpańskich drogach. A przecież tamta edycja Vuelty rozgrywała się nie tylko na szosie, lecz także na zimnej posadzce hoteli. Wojna trwała na każdym rogu, na każdej prostej, na każdym podjeździe. Wszędzie.

Po jednej stronie, w milczeniu, wierny swojemu stylowi, stał Abraham Olano, który był – i wciąż jest – małomównym Baskiem, poważnym i nieśmiałym. Po drugiej stronie – José María Jiménez, „Chava", który nie był milczący ani poważny, ani nieśmiały. Jeden nie miał z drugim nic wspólnego, a mimo to byli skazani na dzielenie się jedną przestrzenią, zmuszeni do przebywania razem. Było niemożliwe, aby mogli się zrozumieć. I tego nie zrobili. Olano był jak Indurain. A „Chava" był… jak „Chava". Jeden był puncherem, niezmordowanym na płaskim, władcą czasówek, który nie dawał wytchnienia swoim mięśniom. A drugi był wybuchową mieszanką Bahamontesa i Ocañi. Olano był walecznym profesjonalistą, metodycznym kolarzem, sportowcem, który analizował każdy postawiony krok i ten, który dopiero miał postawić. Z kolei „Chava" był jak kolejka górska, jednego dnia był jak anioł, drugiego jak diabeł, a ze względu na swoje niespodziewane załamania formy, ze względu na agresywny sposób rozumienia swojej profesji, ze

względu na spontaniczność i spryt przypominał „Perico” Delgado.

Abraham Olano był liderem, który w przeszłości zmagał się z otyłością. Kilogram po kilogramie, stosując rygorystyczną dietę, musiał doskonalić to ciężkie ciało, jakiego dorobił się na torze, w swoim naturalnym środowisku przed zamianą welodromu na asfalt. Stracił na wadze, ale nie stracił siły. Jego sylwetka była odwzorowaniem Induraina. Szerokie plecy, muskularne nogi, poważne spojrzenie – identyczne jak kolarza z Villavy. W pewnym sensie ich osobowości również były podobne, wszak Abraham, milczkowaty Bask, tak samo jak Indurain nie lubił się obnosić, stać w centrum uwagi, nie cierpiał też żadnego rodzaju sztuczności, tak typowej dla gwiazd.

Olano, mistrz świata ze startu wspólnego (1995) i w jeździe indywidualnej na czas (1998), wicemistrz olimpijski w czasówce (1996), prawie zawsze walczył też o zwycięstwo w wyścigach trzytygodniowych. Jego ciężkie cielsko, udoskonalone na tyle, na ile pozwoliła mu na to jego zdolność do poświęcenia, nie przeszkodziło mu w zostaniu wielkotourowcem. Pozostając w cieniu Induraina, który niesłusznie przesłonił wszystkie jego osiągnięcia, Bask dał się poznać światu w 1995 roku, gdy zajął drugie miejsce w Vuelcie, a kilka miesięcy później trzecie miejsce w Giro d’Italia (pięć lat później, w 2001, będzie drugi). Czwarty w Tour de France 1997, Abraham Olano przyjechał na Vueltę 1998, chcąc wreszcie wygrać wielki tour. Aby to osiągnąć, musiał cierpieć. Miał tego świadomość, wszak nie ma kolarza będącego w stanie wygrać Tour de France, Giro, Vueltę, nie tracąc lat na kolejne próby. Nie wiedział jednak, że to wyzwanie będzie miało niespodziewany składnik. Składnik, który potrafi sprawić, że nawet najbardziej mdła potrawa może palić podniebienie.

Tym niespodziewanym składnikiem był „Chava”, pochodzący z El Barraco w prowincji Ávila, ziemi kolarskich bogów. Nie był taki jak inni, jak większość tych zawodników, którzy zajmują miejsce w peletonie, nie robiąc przy tym szumu. Był bardziej jak Marco Pantani, inna legenda, inny bohater w połowie drogi między chwałą a tragedią. Albo się go kochało, albo nienawidziło. „Chava” był indywidualistą w dobrze naoliwionej maszynie Banesto, gdzie jeździł także Olano. Bask właśnie został ojcem i stawił się w Kordobie, skąd wyruszał wyścig, z niecodziennym uśmiechem, który wkrótce zniknie z jego twarzy. W Kordobie, mieście będącym muzeum pod gołym niebem, gdzie można spacerować całymi dniami i nigdy się nie znudzić, Olano przyglądał się swoim rywalom, tym, którzy w ciągu następnych tygodni mieli dać mu w kość. Byli to Alex Zülle, Szwajcar, który bronił dwóch tytułów zdobytych podczas dwóch poprzednich edycji, Fernando Escartín, drobny góral z grupy Kelme, oraz Laurent Jalabert, lider ONCE.

Jednakże żaden z nich nie uprzykrzy mu życia. Ten, który miał to zrobić, był tuż obok niego, jeździł w jego ekipie, w tych samych barwach, miał tych samych szefów. W skórze przyjaciela „Chava” zamienił Vueltę Olano w nieznośną torturę. Wprawdzie Olano wygrał walkę na szosie, ale przegrał poza nią. Bo jak można było nie poddać się charyzmie jego kolegi i rywala, którego ludzie uwielbiali, którego Hiszpanie czcili. „Chava” był kolarzem innym niż wszyscy, miał za sobą pierwszy wielki rok (1997) i podczas tamtego wrześniowego wyścigu chciał pokazać się z jak najlepszej strony po Tour de France, w którym nic mu nie wychodziło. I udało mu się to.

Jiménez odzyskał swoją wyjątkową iskrę już w pierwszym tygodniu rywalizacji, zdobywając dla Banesto koszulkę lidera, której hiszpańska ekipa nie miała od 1990 roku, gdy Gorospe oddał ją dziewiątego dnia wyścigu, by już więcej jej nie dostać.

Na to, żeby błysnąć, „Chava” potrzebował tyle czasu, ile Vuelta, by zacząć się wspinać. Był to szósty etap i Xorret del Catí, raj w prowincji Alicante, który po raz pierwszy znalazł się na trasie wyścigu. Kolarz grupy Banesto, zwycięzca klasyfikacji górskiej w poprzednim roku (w trakcie całej kariery wygra ją czterokrotnie), ruszył, gdy tylko zobaczył, że ktoś zaczyna atakować. Tym kimś był Lance Armstrong, któremu szybko zabrakło tchu, gdyż nie był w stanie naśladować radosnego pedałowania Jiméneza. „Chava” gryzł asfalt. Pochłaniał ścianki. Unicestwiał ambicje wszystkich tych, którzy próbowali niemożliwego. Roberto Heras, jeden z drobnych i kościstych górali, usiłował stawić mu czoła, ale nie potrafił tego zrobić. Podobnie reszta, nawet amerykański superbohater, który dopiero co pokonał raka i wzbudzał podziw tych, którzy teraz obserwowali jego zmagania.

Nikt nie dał rady Jiménezowi, człowiekowi kontrastów, czasem tak spektakularnemu, zawsze tak niezrozumiałemu. Kiedy postanowił, że to będzie jego dzień, żadna ludzka siła nie mogła go powstrzymać. A kiedy myślał, że nie, żaden dyrektor nie był w stanie zmienić jego decyzji. Niepowtarzalny pod każdym względem, zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym, „Chava” przedstawił swoją kandydaturę na Xorret del Catí. Na jego korzyść przemawiało to, co pokazał podczas pierwszej próby ogniowej. Był w bardzo dobrej formie, szczytowej. Na niekorzyść natomiast – zbliżająca się 40-kilometrowa czasówka w pięknej Alcúdii na Majorce, trzy dni po jego zwycięstwie, dziewiątego dnia Vuelty, kiedy mogło zacząć się selekcjonowanie pretendentów.

Jiménez nie był zwolennikiem czasówek. Nie spisywał się w nich dobrze. A w dodatku naprzeciwko miał trzy bestie w tej dyscyplinie: Zülle, Jalaberta, a także Olano, który nieźle poradził sobie w górach. „Ale »Chava« jest w dobrej formie”,

zapewniał jego kolega przed etapem. „A dla mnie to oczywiste, że jest szefem i że dzisiaj zmieni mnie na pozycji lidera”, odpowiadał mu Jiménez. Miał rację. Nie było niespodzianki i Abraham przejął żółtą koszulkę, jadąc średnio 50 kilometrów na godzinę. Teraz był liderem, tak jak w 1995 roku – znikoma rekompensata za jego wieczną walkę z cieniem Miguela Induraina oraz ze sceptykami, którzy twierdzili, że on nie nadaje się do wygrania wielkiego touru. Obie te batalie prześladowały go przez całą jego sportową karierę. A podczas Vuelty 1998 dołączyła do nich jeszcze trzecia, ta stoczona z Jiménezem, który nie uszanował tego, co zostało postanowione, z kolarzem, który nic sobie nie robił z zasad ani hierarchii.

Od chwili gdy znalazł się na szczycie klasyfikacji generalnej, Olano przeczuwał możliwy bunt ze strony kolegi: „Dyrektor będzie musiał wszystko uporządkować. Obydwaj jesteśmy w dobrej formie i razem z Manuelem Beltránem możemy wykonać fantastyczną pracę. Chodzi o to, żeby nie stracić żółtej koszulki”. Wątpliwości mogły zostać bardzo szybko rozwiane, ponieważ ścianki, góry i zniszczony asfalt wracały na scenę na następnym etapie, po kosztownym transporcie ze śródziemnomorskiej wyspy na granicę z Andorą. Tam, w Księstwie, w kolarskim parku rozrywki, kończył się dziesiąty rozdział Vuelty. W Pal zagadka teoretycznie powinna zostać rozwiązana. Miało się tam okazać, czy „Chava”, który w czasówce stracił ponad cztery minuty, był wierny swojemu liderowi, czy też nie.

I przy pierwszym ataku wątpliwość pozostała. Kolarze Kelme – Escartín, Heras i Marcos Serrano – wyrwali do przodu, a do nich dołączył, jakżeby inaczej, Jiménez, który jechał bez trudu, pedałując jak ktoś, kto podnosi i opuszcza widelec, kiedy na talerzu czekają pyszne canelones. Wtedy nie wiedziano, czy

była to inteligentna taktyka ekipy, czy kolejny już akt nieposłuszeństwa kolarza z Ávili. Zagranie nie było też takie złe: Olano, nie potrafiąc odpowiedzieć tym górskim diabłom, został z tyłu, a razem z wojownikami uciekał drugi kluczowy zawodnik Banesto. Wykorzystując to, że Serrano i Heras zwolnili na polecenie z góry i że Escartín dotarł na szczyt z ciężkimi nogami, wszak jego misją nie było zwycięstwo etapowe, „Chava" załatwił sprawę w niebywale łatwy sposób.

„Pod względem strategicznym był to ważny ruch na korzyść Olano – chciał dać jasno do zrozumienia Eusebio Unzué, prawa ręka Echavarriego. – Escartín zawsze będzie czuł zagrożenie ze strony Jiméneza", dodał dyrektor Banesto. Unzué nie chciał zniszczyć euforii hiszpańskich kibiców, przez lata pozbawionych radości i emocji, których zawsze dostarczali im ci diabelscy wspinacze bez logicznej taktyki, romantycy dyscypliny przez ostatnie lata kręcącej się wokół metodycznego Miguela Induraina. „Korzyść odniesiona przez Jiméneza była ważna, bo nie mogliśmy stracić z oczu Escartína i Herasa. To, co się dzisiaj stało, było dla mnie psychologicznym zwycięstwem", stwierdził Olano, który jeszcze był liderem i który nie rzucał się do gwałtownego ataku, ponieważ wiedział, że w bezpośrednim starciu, chociaż był dwa razy większy od tamtych drobnych „szaleńców", niewiele mógłby zrobić.

To, co zdarzyło się w Pal – zawodnicy Kelme pozbawieni wsparcia, Olano zamieniający swoje cierpienie i regularność w sztukę, Jiménez wygrywający w łatwy sposób – miało kontynuację 24 godziny później, w Cerler, gdzie Escartín zaczął poddawać się rzeczywistości, nie na szosie, lecz przed mikrofonami i dyktafonami dziennikarzy. „Walka jest bardzo trudna. Olano jest mocny, a do czasówki w Fuenlabradzie musiałbym przystąpić z trzyminutową przewagą", przyznał

Aragończyk, trzeci w klasyfikacji generalnej, tuż przed Jiménezem, który zwędził mu dwa ostatnie etapy.

Strategia Banesto, o ile w ogóle była to strategia, funkcjonowała idealnie. Mieli lidera, który nie był góralem i który co wieczór modlił się o to, aby góry się wreszcie skończyły i pojawił się jego teren oraz jazda indywidualna na czas. Mieli też kandydata do tytułu, który otwierał drzwi labiryntu rywalom. Rywalom, którzy gdyby nie zaatakowali, przegraliby z Olano, a jeśliby to zrobili, przegraliby z Jiménezem. Wydawało się, że wszystko funkcjonuje idealnie w grupie Banesto, która nie musiała robić nic innego, jak tylko powtarzać ten scenariusz. Żeby José María przykleił się do zawodników Kelme i żeby Abraham nadal skreślał kolejne dni wyścigu, jadąc w żółtej koszulce.

Ale wróciły strome ścianki i wszystkie ustalenia spaliły na panewce. Na 16. etapie, w Lagunas de Neila, „Chava" zaatakował i odniósł czwarte zwycięstwo w tej edycji, przeskakując w klasyfikacji Escartína i sprawiając, że jego oddech na plecach poczuł milczący wicelider, legendarny „Jaja", czyli Laurent Jalabert. To właśnie Francuz rozpętał wszystko za sprawą ataku, na jaki odpowiedział Olano, który miał nieprzyjazną minę, gdy zobaczył, jak po prawej stronie wystrzelił jego kolega z ekipy. Wszak „Chava" jako jedyny został mu do pomocy w grupie najlepszych, po tym jak swoją pracę skończył niesamowity „Triki" Beltrán, który potem musiał dokonywać nadludzkiego wysiłku, żeby odzyskać utracone pozycje i nie zostawić swojego lidera samego. „Nie wiem, nie wiem, co powiedzieć", rzucił na żywo Pedro González, komentator TVE. Jego podejrzenia podzielali wszyscy.

W częściowo rozpiętej białej koszulce, nie oglądając się za siebie, w okularach na głowie, z numerem 27 na plecach, idol z El Barraco wszystkie przewidywania obrócił wniwecz prawie

trzy kilometry przed końcem etapu, który przeszedł do historii. Licznie zgromadzona publiczność oszalała na widok tego, czego była świadkiem. A był to bunt przebiegłego kolarza przeciwko poważnemu liderowi, którego na ostatnim kilometrze wykończyli Jalabert i Escartín. Mimo to Olano zgadzały się rachunki, bo wciąż pozostawał liderem. „Zrobiłem duży krok i jeśli wszystko nadal będzie się tak układać, nie będę miał problemów", powiedział na mecie Bask. Tak samo myślał Escartín. Ale nie Jiménez, urodzony nonkonformista.

W każdym razie sytuacja nadal przedstawiała się dosyć dobrze dla ekipy Banesto, która – wbrew temu, co myślano na początku – nie żyła w domu wariatów. Jednakże tamtego wieczoru Karmele, była kolarka i żona Abrahama, wybuchnęła na antenie stacji COPE i zaatakowała pomocnika swojego męża: „Nie podoba mi się, że właściciel żółtej koszulki jeździ bez kolegów. Czasem chciwy traci dwa razy". A José María Jiménez, który nigdy nie odpowiadał milczeniem, nie zamilkł i tym razem. „Nie spodobało mi się to, co powiedziała Karmele. Powinna siedzieć cicho, bo wyrządziła mi dużą krzywdę. Odnoszę wrażenie, że Olano mówi jedno, a jego żona drugie. Nie wiem, jak to małżeństwo może się zrozumieć, skoro sobie zaprzeczają – wypalił z typowym dla siebie sarkazmem »Chava«, który cieszył się sympatią kibiców. – To nieprawda, że ekipa na niego nie pracuje. Na górskich etapach prowadzimy go aż do ostatniej przełęczy. A ja zajmuję dobre miejsce, żeby wygrać Vueltę, i mam wolność, ale liderem jest Olano".

Lider, trzecia strona tego konfliktu, też zabrał głos: „Ataki Jiméneza są sprawą ekipy. Robi dobrze, atakując. Etap zakończony w Neili udał się Banesto idealnie". Abraham Olano chciał załagodzić sytuację. Było to jednak trudne, ponieważ słowa jego żony sprawiły, że mleko już się rozlało. Zostało jeszcze sześć etapów, łącznie z dwoma w podmadryckich

górach oraz czasówką w Fuenlabradzie. Emocje i ciekawość przykleiły kibiców do ekranów telewizorów, na których widzieli, jak najpierw wygrywa Roberto Heras w Segowii po mocnym oporze dwójki z Banesto. „Chava", indywidualne ogniwo, na którego patrzył cały kraj, w końcu pracował dla Olano. „Było znakomicie. Jeśli pracuje się na rzecz drużyny, wszyscy wygrywamy", powiedział Bask, podczas gdy zawsze kontrowersyjny i fenomenalny Jiménez potwierdził to, co pokazały kamery: „Można było zobaczyć, że pracowałem dla Olano".

Przed ostatnim etapem górskim, czasówką i finałem w Madrycie różnica między obydwoma kolarzami Echavarriego i Unzué wynosiła 31 sekund. Pomiędzy nimi znajdował się Jalabert, tracący do lidera 22 sekundy, a za nimi plasował się Escartín – ze stratą 37 sekund. Wydawało się, że konflikt został zażegnany i zwycięstwo w wyścigu było już właściwie w rękach Abrahama Olano. Ale została jeszcze Navacerrada. Tam mogło się wydarzyć wszystko. Spodziewano się ataków kolarzy Kelme, a także Jiméneza, który nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Vuelta żegnała się z górami najcięższego dnia tamtej edycji: niebo było szare, padał deszcz i wiał mocny wiatr.

I chociaż pojawiła się ofensywa Kelme, to na trzecim od końca etapie tak naprawdę ważne było to, że Jiménez znowu był razem z nimi, z przeciwnikami. Na każdą próbę ataku Escartína i Herasa ze zwyczajową łatwością odpowiadał „Chava". Nie wygrał (zwyciężył Rosjanin Andriej Zinczenko), ale odebrał żółtą koszulkę Abrahamowi Olano, teraz zajmującemu trzecie miejsce ze stratą 38 sekund. Między nimi znajdował się Fernando Escartín, który – mimo że tracił tylko sześć sekund – nie miał żadnych szans na wygranie swojego pierwszego wielkiego touru. Jego kandydaturę unieważniała 39-kilometrowa czasówka w Fuenlabradzie.

„Teraz czas na odpowiedź Abrahama”, powiedział nowy właściciel żółtej koszulki. I Abraham odpowiedział. I to jak. Bask pokazał, że jest prawdziwym specjalistą od jazdy na czas. Wprawdzie Zülle odebrał mu zwycięstwo etapowe, lecz dzielny Olano odzyskał pozycję lidera. W klasyfikacji generalnej drugi był Escartín ze stratą prawie półtorej minuty, a niemal dwie tracił nieposkromiony Jiménez, którego tylko sześć sekund dzieliło od wypadnięcia poza podium pod naciskiem Lance’a Armstronga. „Dedykuję to zwycięstwo żonie i synowi, którzy mają za sobą ciężki tydzień. To była bardzo trudna sytuacja. Karmele miała rację, a prasa przekroczyła pewne granice, chciano wyrządzić nam krzywdę” – powiedział nowy zwycięzca Vuelty, dotknięty tym, co się stało, zmęczony cierpieniem na szosie, zdenerwowaniem, jakie powoduje obecność wroga we własnym domu, i gorącą rywalizacją, którą cieszyły się media. „Gdyby Jiménez jeździł w innej ekipie, ja też bym wygrał. Natomiast on beze mnie nie znalazłby się na podium. I nie jest to żadna krytyka. To dobry kolarz, który zawsze wie, gdzie powinien być, ale gdyby nie jeździł w Banesto, musiałby atakować, w związku z czym prawdopodobnie przyszłoby mu za to zapłacić”, ciągnął Olano w rozmowie z Rafaelem Carbonellem dla „El País”. I dał jasno do zrozumienia, o ile istniała co do tego jeszcze jakaś wątpliwość, że „Chava” nie jest jego przyjacielem: „Ze względu na mój charakter mam niewielu przyjaciół, ale na przykład z Beltránem i Peñą chodziłem do kina. Z Jiménezem – nie”.

Abraham Olano wygrał w rywalizacji na szosie, lecz przegrał w rywalizacji o sympatię kibiców, którzy bardziej wspierali „Chavę”. „Wiem, że ci, którzy mi kibicują, nie mają ze mną łatwo, ale wiem również, że nie wszyscy możemy być pogodni i rozgadani. Są osoby, które zawsze się uśmiechają i opowiadają dowcipy, ale ja taki nie jestem, ja jestem powściągliwy

w słowach”. Prawie 20 lat później Bask wspominał to, co wydarzyło się w 1998 roku, i swoje relacje z Jiménezem w obszernym wywiadzie dla magazynu „Jot Down”: „Miałem z nim na pieńku, bo nie szanował zasad, o których rozmawialiśmy w pokoju. Chciał zbudować swoją karierę, wygrywając wyścigi, ale ich nie ożywiając. Wykorzystywał Escartína i wysiłek pozostałych, a sam nie rozpoczynał żadnych akcji. We wszystkich wyścigach, wszystkich, co najwyżej byłby drugi. Nigdy by nie wygrał. Gdybym ja wtedy nie zwyciężył, zrobiłby to Escartín”.

W następstwie tamtych wydarzeń Olano zerwał kontrakt z Banesto, aby przejść do obozu wroga, ONCE. „Problem polegał na tym, że dyrektor sportowy nie interweniował, ponieważ pod względem medialnym było dobrze widziane, aby ta sytuacja trwała. Już podczas Vuelty pomyślałem, że na następnej edycji mnie z nimi nie będzie, bo widziałem, jakie jest ich podejście”. Odszedł razem z Beltránem, jednak wcześniej został mistrzem świata w jeździe indywidualnej na czas. Później już nigdy więcej nie osiągnął tak wielkich sukcesów. Podobnie jak „Chava”, któremu ekscesy złamały karierę i życie. Pięć lat później, w 2003 roku, odszedł na zawsze.

„Bomba” Belokiego

Są kolarze urodzeni po to, żeby odnosić sukcesy. Mistrzowie od kołyski. Sportowcy, którzy życie rozumieją tylko jako drogę, na której zostawiają pokonanych rywali, złamane serca, zniszczone marzenia i zranioną dumę. Są również tacy, którzy dni radości i śmiechu przeplatają dniami smutku i płaczu. Są tacy, którzy znajdują równowagę pomiędzy tym, co dobre, a tym, co złe. A na końcu są pozostali, członkowie niemal zamkniętej grupy, do której drzwi wejściowe są znacznie mniejsze. Mogłaby się ona wydawać grupą przegranych, tych, którzy – chociaż potrafią wnosić ręce w geście triumfu – zazwyczaj są zapamiętywani ze względu na upadki, ale w rzeczywistości jest to grupa szczęśliwców. Bo czy istnieje w życiu coś piękniejszego, niż otrzymanie wsparcia, kiedy jest ono najbardziej potrzebne? Czy jest coś piękniejszego niż to, że ktoś kocha cię za to, jaki jesteś, a nie za to, kim jesteś i co osiągasz?

Jest to grupa kolarzy, którzy znaczą swoją karierę krwią, utraconymi zwycięstwami i ciężkimi upadkami, zarówno pod względem fizycznym, jak i mentalnym, i to w najgorszych momentach. Jest to grupa Raymonda Poulidora, wiecznie drugiego, którego ludzie uwielbiali.

Jest to grupa Luisa Ocañi, który wprawdzie wygrywał, ale jego nieszczęścia były tak wielkie, że poruszały wszystkich. Jest to grupa Joseby Belokiego, który dostarczył nam radości, pokonując amerykańskiego superbohatera, grupa cierpliwego Baska, który przegrał Vueltę, choć wydawało się, że zwycięstwo miał na wyciągnięcie ręki, tak samo jak wcześniej wymknął mu się Tour de l’Avenir, tour dla młodych zawodników. Beloki,

zbudowany jak góral, był kolarzem, który choć nie wznosił rąk w geście triumfu tyle razy, na ile zasługiwał jego talent (wygrał jeden wyścig Dookoła Katalonii, Dookoła Asturii, etap wyścigu Dookoła Romandii i odniósł kilka innych zwycięstw), potrafił zaskarbić sobie sympatię kibiców.

Jego sposób jazdy, rozumienie kolarstwa, poświęcenie jako podstawa, jego rola w peletonie, marzenie, by pokonać wszechpotężnego, niezwyciężonego – to wszystko sprawiło, że Beloki, poważny na rowerze i żartowniś po zejściu z niego, zapisał się w księdze ulubieńców, którą posiada każdy sentymentalny kibic. To wielkość sportu. Piękno życia. Nigdy nie wygrał wielkiego touru ani nie jechał w żółtej koszulce we Francji, ale ludzie, ta część populacji, która kocha tę najcudowniejszą dyscyplinę, uwielbiają go tak, jakby to osiągnął, jak gdyby Paryż oświetlił go światłem zwycięzców. Albo jeszcze bardziej, bo przecież są kolarze, którzy wygrywają i znikają. Odnoszą krótkotrwałe zwycięstwa, które stają się niewidzialne. Są, a za chwilę wszyscy o nich zapominają. A kto nie pamięta tamtego przeklętego zjazdu, który zniszczył nadzieje Joseby Belokiego?

Kolarstwo żywi się bohaterami szczęśliwymi, tymi, którym wszystko się udaje, idealnymi maszynami, jak Miguel Indurain czy Jacques Anquetil, kanibalami jak Eddy Merckx, ale także bohaterami z krwi i kości, tymi, którzy przypominają nam, że przez dekady naszej egzystencji częściej będziemy przegrywać, niż wygrywać, że przeszkody są czymś normalnym na naszej drodze, że sukces nie jest codziennością, że trzeba smakować nie tylko osiągnięty cel, lecz także drogę, po której staramy się do niego dojść. Beloki mógł wygrać Tour de France w 2003 roku. Owszem, a jego ciało byłoby wdzięczne, gdyby nie rozpadło się na tysiąc kawałków, ale tamten upadek, tamto fatalne zderzenie z asfaltem, tamte minuty niepocieszonego płaczu w ramionach

Manolo Saiza prawdopodobnie zapewniły mu sympatię narodu, jakiej nie mogłoby mu zagwarantować nawet tysiąc zwycięstw.

„Ludzie wspaniale potrafili docenić moje złe momenty i to było niesamowicie piękne", mówi Beloki, miłośnik dyscypliny sportu, która stała się jego zawodem i dzięki której dostarczał kibicom emocji. Nie da się opowiadać historii Vuelty, nie wspominając o tym, co wydarzyło się w 2001 roku. Bask, który urodził się w prowincji Guipúzcoa, ale dorastał w Vitorii, przyjechał na narodowy wyścig z łatką faworyta. W dwóch ostatnich Tour de France zajmował trzecie miejsce, jeżdżąc w galaktycznej ekipie ONCE razem z Igorem Gonzálezem de Galdeano, Abrahamem Olano czy obiecującym Carlosem Sastre, a teraz miał tylko jedną misję: wygrać.

Jego plan wydawał się prosty. Po dwóch latach bez startu w Vuelcie Joseba Beloki był przygotowany na duże wyzwanie. Trudno było mu się rozkręcić, ale kiedy już to zrobił, wydawało się, że nikt nie będzie mógł go powstrzymać. Po nieprzekonującym prologu i kilku bezbarwnych etapach Jeziora Covadonga – tam, gdzie mgła sprawia, że wszystko, co się dzieje na tych stromych ściankach, jest mityczne – zaczęły weryfikować kandydatury, bezlitośnie wyrzucać faworytów do kosza. Przestało się liczyć wielu, ale nie Beloki, który pokazał, że jest niezłomny i że ta Vuelta już w pierwszym tygodniu, po piątym etapie, mogła zamienić się w pojedynek między nim a mało jeszcze doświadczonym Óscarem Sevillą, zawodnikiem o twarzy dziecka, z nieśmiałym uśmiechem, który został nowym liderem.

Bask uśmiechał się na myśl o tym, co przed nim, wszak niebawem miał się pojawić jego teren z czasówką w Torrelavedze. Jednakże nic nie wyszło tak, jak sobie wyobrażał. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i z trudem wyprzedził Sevillę. „Tak było, ale nie przykładałem do tego

wagi”, podkreśla dziś, 17 lat później, Beloki, który szybko zapomniał o tym fatalnym popołudniu. Wystarczyły mu tylko 24 godziny oddzielające smutną metę w kantabryjskiej Torrelavedze od radosnego finiszu na przełęczy Cruz de la Demanda w prowincji La Rioja – tam, gdzie „Chava” znowu zaliczył jeden ze swoich fantastycznych występów i tam, gdzie Beloki pokazał, na co go stać. Był już liderem. Miał złotą koszulkę – kolor najlepszego od dwóch edycji wyścigu.

„Bez wielkich popisów, krok po kroku zyskiwałem sekundy i jechałem coraz lepiej”, opowiada Bask, który następnego dnia, podczas dziewiątego etapu między Logroño a Saragossą, czuł się doskonale. Do tego cieszył się wygraną swojego kolegi i krajana Igora Gonzáleza de Galdeano, a jego ONCE idealnie kontrolowało najszybszy jak dotąd etap w historii kolarstwa, ze średnią 55,176 km/h. Szaleństwo. Jedno z wielu podczas Vuelty, której scenariusz zmieniał się każdego dnia. „I czułem się fenomenalnie, wspaniale – zapewnia Beloki, szczęśliwy w tamtym momencie, marzyciel, który widzi, że jego marzenie się spełnia. – Po raz pierwszy w całej mojej sportowej karierze robiłem sobie tyle nadziei. Byłem w tak dobrej formie… Wszystko się układało, ja byłem liderem, moja ekipa spisywała się niesamowicie. Nie zostało już zbyt wiele gór, za to dwie czasówki. Tak, wyglądało to bardzo dobrze. Nie dało się nie marzyć”. Ale…

„Po tamtym etapie z Saragossy wyjechałem autobusem do Barcelony, a ja zawsze zasypiam podczas podróży, zawsze źle się czuję”, wyjaśnia baskijski kolarz. Kiedy zawodnicy są w formie, kiedy znajdują się w trakcie rywalizacji, są niczym więcej jak uporządkowanym workiem kości, ich organizm jest doprowadzony do granic możliwości. Są słabi. Jakikolwiek niepomyślny zbieg okoliczności, chłód, wirus wciskający się przez jakąś szczelinę w ciele, może wszystko zniszczyć. „Tamtej

nocy poczułem się dziwnie, jakbym był trochę przeziębiony – ciągnie Beloki, który pamięta wszystko, minutę po minucie, godzinę po godzinie. – Nazajutrz był dzień przerwy w Barcelonie i to było szaleństwo. Na treningu wcale nie czułem się dobrze, a na domiar złego jakiś koleś jadący na motorowerze uderzył mnie pięścią".

A później nastąpiła hekatomba. Zniszczone marzenie. Nadzieje skąpane we łzach. Łzach cieknących po twarzy Joseby Belokiego zjeżdżającego z Envaliry, przełęczy, na której się pogrążył, na której pożegnał się ze złotą koszulką i z Vueltą. „Dzień wcześniej Sevilla i pozostali zawodnicy na początku ruszyli do ataku i ja już wtedy widziałem, że coś jest nie tak, że nie pedałowało mi się dobrze, że nie czułem się tak jak poprzednio. Miałem trudności z oddychaniem i czułem, że brakuje mi siły. Na szczęście znalazłem się w ucieczce i kontrolowaliśmy etap aż do La Moliny. Na ostatnim kilometrze czułem się fatalnie, ale jakoś dałem radę". Wtedy zarówno Beloki, jak i Manolo Saiz, jego dyrektor sportowy, sądzili, że to z powodu dnia przerwy, którego tak bardzo obawiają się mistrzowie. Po tylu dniach wysiłku, godzinach pedałowania w słońcu, w deszczu reakcja organizmu na dzień bez rywalizacji, tak odmienny, bez względu na to, ile by się trenowało, była niewiadomą.

Lecz Belokiemu przytrafiło się coś innego. To nie z powodu dnia przerwy jego nogi były pozbawione energii w drodze do La Moliny. „Nie miałem dobrych przeczuć, ale myślałem, że to coś przejściowego", mówi człowiek, któremu udało się zachować złotą koszulkę na szczycie wspomnianej stacji. Od startu w Salamance przejechano już dziesięć etapów i cel znajdował się coraz bliżej. Jednak jego rywale, Sevilla i reszta, wyczuli wątpliwości lidera. „Ruszyliśmy znaczniej szybciej niż normalnie – opowiada Beloki o początku 11. etapu, na którym

wszystko się skończyło. – Na podjeździe pod Font Romeu narzucono szybsze tempo i zostałem w tyle, ale potem nadrobiłem". Nadrobił, ale było to złudne. „Nigdy nie zapomnę trasy z Puymorens na Envalirę oraz zmian Dariusza Baranowskiego i Jona Odriozoli. Tam pożegnałem się już z wyścigiem". Pustkę czuł kolarz, który dwa miesiące wcześniej uśmiechał się z najniższego stopnia podium na Polach Elizejskich, kolarz, któremu nie brakowało odwagi, żeby stawić czoła Vuelcie, bo chciał wygrać swój pierwszy wielki tour.

„Nie mogłem dobrze oddychać, miałem spuchnięte nogi i nie byłem w stanie pedałować jak należy – wspomina Bask, który niczego nie rozumiał. Czuł się tak dobrze, jechał coraz lepiej i nagle zawalił mu się cały świat. – Na Envalirze straciłem dużo czasu, a zjazd był okropny. To, że miałem obok siebie kolegów, a zwłaszcza Carlosa Sastre, było bardzo, bardzo ważne". Został przy nim cały pociąg ONCE, wszyscy oprócz Igora Gonzáleza de Galdeano, na którym teraz spoczywał ciężar dowodzenia ekipą, chociaż później, pod koniec tego feralnego etapu, on też odpadł, zduszony i pozbawiony energii wobec nacisku ze strony przeciwników. „Całymi kilometrami myślałem o wszystkim. To była frustracja. O ile wycofując się z Tour de France w 2003 roku, nie miałem czasu, żeby pomyśleć, dlaczego wymknął mi się ten wyścig, i skupiałem się tylko na upadku, jaki mi się przytrafił, to tutaj nie, tutaj było wprost przeciwnie. Człowiek myśli o całym tym czasie, jaki spędził na przygotowaniach do Vuelty, na poświęceniach, jakich dokonał, na tym, ile trenował, i po prostu się załamuje".

To właśnie z Vueltą w 2001 roku Beloki wiązał największe nadzieje. Na wyścig wrócił rok później, aby stanąć na trzecim stopniu podium. „Im więcej masz szans na osiągnięcie sukcesu, tym boleśniejszy jest upadek. Niespodziewanie zostając liderem, myślisz tylko o tym, kiedy się zatniesz i stracisz

prowadzenie, ale ja na tamtej Vuelcie o tym nie myślałem. Nie miałem zamiaru odpadać w ten sposób po tym, co zrobiłem na Demandzie i po popisie na płaskim całej ekipy, kiedy jechaliśmy jak błyskawica. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłoby mnie spotkać takie niepowodzenie". Niepowodzenie w postaci 19 minut i 51 sekund – czas, jaki stracił na mecie w Pal, na terytorium Andory. „A że zdarzyło się to w Pal, złości mnie jeszcze bardziej. Nie jeździłem tam przez wiele lat, aż niedawno wspiąłem się razem z »Purito« i mówiłem mu, że nie jest to trudny podjazd. Jest łatwy, więc utknięcie tam, jak ja wtedy, sprawia, że jesteś po prostu wściekły".

Kolarstwo jest czasem tak kapryśne, że chciało, aby lider ONCE pożegnał się ze swoimi szansami w tych samych górach, w których przygotowywał się do Vuelty. Na Envalirze, sztywnym podjeździe, szlifował formę podczas gorącego sierpnia. „To złości jeszcze bardziej", ubolewa. Próbował kontynuować wyścig, ale było to niemożliwe. „Następnego dnia usiłowałem zmotywować się na czasówce, zacząłem na pełnej mocy i widziałem, że dobrze mi szło, że znowu byłem w formie, ale kiedy pojawił się trudny odcinek, wszystko się rozpie… To było straszne". Ukończył etap, przejechał jeszcze jeden i wrócił do Vitorii, by w otoczeniu najbliższych podnieść się po ciosie, odzyskać chęci, by dalej pedałować, by wciąż cieszyć się swoją największą pasją. „To był bardzo ciężki cios, bo robiłem sobie większe nadzieje niż kiedykolwiek wcześniej. Spędziłem kilka kiepskich dni w domu, ale wkrótce zadzwonił do mnie Antequera, selekcjoner, i powiedział, że liczy na mnie na mistrzostwach świata. Gdyby nie ten telefon, to powrót prawdopodobnie kosztowałby mnie o wiele więcej". W Lizbonie był superpomocnikiem Óscara Freire, Kantabryjczyka, który zdobywając tęczową koszulkę, rozświetlił złotem – cóż za zbieg okoliczności – twarz Joseby Belokiego.

Ręcznikowa banda

Kolarze, którzy tworzyli pierwsze peletony między końcem XIX a początkiem XX wieku byli mężczyznami zahartowanymi na wsi, wychowywanymi w biedzie, jednostkami, które tylko w ciężkiej pracy widziały sposób zarabiania na życie. Chłopcami o śniadych twarzach, ogorzałej od słońca cerze, z popękaną skórą dłoni, wygłodniałymi ciałami – spuścizną po ich poprzedniej pracy. Prości ludzie. Bez szkoły. Bez przyszłości. Przyzwyczajeni do cierpienia. Kolarze z konieczności, a nie dla zabawy. To wszystko idealnie uosabiali mistrzowie dawnych czasów. Zawodnicy tacy jak Federico Martín Bahamontes czy Luis Ocaña, którzy dużo wycierpieli, aby równie dużo osiągnąć, kolarze, którzy zaznali nędzy, mrocznej strony człowieczeństwa, którzy stali się mocniejsi, walcząc o przeżycie, i którzy sięgnęli po chwałę w najcięższej dyscyplinie.

Kolarstwo było biedną dyscypliną sportu, zdominowaną przez najbardziej cierpliwych, upartych i nierozumianych. Dlatego szokował widok bogaczy, którzy zdobyli się na założenie kolarskiej koszulki, albo śmiałków sadzających tyłek na siodełku, powodowanych jedynie ciekawością, dla rozrywki. A kilka dekad później, na początku XXI stulecia, w peletonie pojawiło się paru Hiszpanów chcących zmienić wizerunek dyscypliny. Było ich czterech i kazali się nazywać „ręcznikową bandą” ze względu na ich awersję do opalenizny na kolarza, tego kontrastu między brązem, jaki zostawia słońce, a bladością ukrytą pod koszulką i spodenkami. Byli to madrytczycy Miguel Ángel Martín Perdiguero, lider całej paczki, jego nieodłączny Rubén Lobato oraz pochodzący z Alicante Santos González i Aitor González, który zyskał największą sławę.

Cała czwórka miała obsesję na punkcie zamiany ciężkiego kolarstwa w cudowny świat, w którym surowość nie odgrywałaby głównej roli. Byli prekursorami pozowania i dzisiaj byliby królami mediów społecznościowych. Zawsze podążając za modą, „Perdi", Lobato, Santos i Aitor całymi godzinami wylegiwali się na ręcznikach, na gorącym piasku, tuż przy relaksującym morzu, żeby na pierwszy rzut oka nikt nie mógł wywnioskować, że są kolarzami. Ich zamiłowanie do tego, co odmienne, tego, co *cool*, osiągnęło niewyobrażalne w tamtych czasach rozmiary. Ich rozbierana sesja dla magazynu „Interviú", w towarzystwie innych kolegów, jak José Ángel Gómez Marchante czy obiecujący Alejandro Valverde, była jednym z ich najsłynniejszych momentów. Ich ekstrawagancje szokowały w tak klasycznym świecie. Nie pasowali do zawodników, z którymi dzielili peleton. Byli niepowtarzalni.

Liderem grupy był Perdiguero, najbardziej filuterny, który wygrał sporo, osiągając kilka wartościowych zwycięstw – wyścig Dookoła Katalonii i Clásica de San Sebastián to dwa wyróżniające się triumfy w jego karierze. W 2010 roku uczestniczył w programie „Ryzykanci", później zajął się polityką, najpierw w PP (Partii Ludowej), a od 2015 roku jest radnym z ramienia partii Ciudadanos (Obywatele) w radzie miasta San Sebastián de los Reyes. Jeździł w takich ekipach jak Kelme, ONCE, Vitalicio Seguros, Saunier Duval czy Phonak, był wyróżniającym się przywódcą grupy przyjaciół, która odcisnęła piętno na kolarstwie i miała znakomite momenty, jak choćby Vuelta w 2002 roku, którą wygrał Aitor González, pokonując takich zawodników jak Roberto Heras, Joseba Beloki i Óscar Sevilla.

Podczas wspomnianego wyścigu Perdiguero, Lobato i Santos González jeździli w barwach włoskiej ekipy Acqua & Sapone, do

której należał też przystojniak Mario Cipollini, podczas gdy Aitor González reprezentował Kelme (jego kontrakt właśnie dobiegał końca), w której stał stopień niżej niż młody i obiecujący Óscar Sevilla, co wcale mu się nie podobało, a wręcz go denerwowało. Pojedynek między obydwoma – Aitorem i Óscarem, kolegami, którzy wcale nie byli kolegami, wolnymi w obrębie dziwnej wolności, jak dzieje się zawsze w kolarstwie, gdy jakaś ekipa wystawia dwóch liderów – odgrywał główną rolę w Vuelcie 2002. González, który do tamtego roku osiągnął niewiele, aż do triumfalnej wiosny we Włoszech, gdzie wygrał dwa etapy w Giro, kończąc wyścig na szóstym miejscu, pokazał się już w pierwszej części rywalizacji. Jednak wydawało się, że jeszcze lepiej prezentował się delikatny Sevilla, perła z Ossa de Montiel, miejscowości nieopodal Lagunas de Ruidera, który – podczas gdy Aitor wygrywał etapy (ósmy w Ubrique i dziesiąty, czasówkę w Kordobie) – pracował po cichu, aby przywdziać złotą koszulkę. Był liderem Vuelty, która zaczęła się od prowadzenia w klasyfikacji generalnej Joseby Belokiego (ostatecznie zajmie trzecie miejsce).

„Jadę po to, żeby wygrać. Może mi się to nie uda, ale trzeba być ambitnym", zapowiadał Sevilla, perła światowego kolarstwa, zwycięzca klasyfikacji młodzieżowej Tour de France 2001, drugi w poprzedniej edycji Vuelty, chłopak, o którego zabiegały potężniejsze ekipy. Mówił, że Aitorowi brakuje nieco regularności, natychmiast dorzucając jakiś komplement, ale mówił to głośno. Stawiał sprawę jasno, jakby pośrednio prosił o to, by pozwolono mu jechać samemu, bez towarzystwa rewelacji wyścigu. Obserwowali się nawzajem. Ani Aitor nie ufał Óscarowi, ani Óscar nie ufał Aitorowi. Ten brak zaufania i bałagan w ekipie rywali wykorzystał Roberto Heras, góral z miejscowości Béjar, aby triumfować na Angliru, aby zyskać

przewagę nad rywalami, a przede wszystkim, aby napędzić im strachu.

Vicente Belda, dyrektor sportowy Kelme, narzekał, że Aitor popełnił błąd, że gdzie, do diabła, się wybierał, zostawiając grupę siedem kilometrów przed szczytem, prawie na najtrudniejszym odcinku. Jego akcja wykończyła Sevillę, który nie wytrzymywał brutalnej siły swojego kolegi, lecz nie Herasa, który przyspieszał i przyspieszał, wręcz frunął. Roberto, poważny szef US Postal, był już liderem Vuelty, mając 35 sekund przewagi nad Gonzálezem i ponad minutę nad Sevillą. Był to 15. etap. A została jeszcze La Covatilla, rodzinne strony Herasa, miejsce, w którym narodziła się „Banda z La Covatilli".

Nie mając nic do stracenia, bez żadnych kolegów poza nimi samymi, Perdiguero, Lobato i Santos, jedyni w tym momencie reprezentanci Acqua & Sapone, nagle, z niezrozumiałego dla wszystkich powodu, zaczęli atakować. Atakować jak szaleni. Czyżby pracowali dla swojego przyjaciela Aitora? Na to nie wyglądało, wszak brutalne przyspieszenie Perdiguero – i to z jaką klasą – ostatecznie sprawiło, że opadł z sił. Czyżby pracowali dla Herasa? Też nie, chociaż tak się wydawało, ponieważ kiedy Roberto został bez kolegów, kiedy US Postal zostawiła go samego, chłopcy z Acqua & Sapone go uratowali. A zatem? To, co wyglądało jak zdrada ich przyjaciela, w rzeczywistości było strategią mającą na celu wyrzucenie z gry Óscara Sevilli, który najpierw został z tyłu, tak jak Beloki i reszta, a później się odrodził i dogonił Aitora, swojego kata jeżdżącego w tych samych barwach, którego następnie wyprzedził. Ale wydawało się, że na kilka minut rozsądek zapanował nad Vueltą, bo w pewnym momencie Sevilla zmniejszył tempo – choć walczył z Belokim o podium – aby ciągnąć najlepszego kolarza Kelme. „Myślę, że Óscar nie zorientował się, że zostałem z tyłu, chociaż podał mi pomocną

dłoń i wszystko jest w porządku", mówił González, który nie skarżył się na swoich przyjaciół: „Każdy robi to, co ma robić, ja nikomu nie daję jeść, każdy pracuje na siebie".

To, co stało się na La Covatilli, było dziwnym zagraniem. Zdrada, która nie była zdradą. Ekipa, a raczej to, co z niej zostało, która wprosiła się na przyjęcie. Trzej przyjaciele, którzy chcieli pomóc czwartemu za sprawą niesamowitej taktyki, zarezerwowanej tylko dla inteligentnych, bardzo inteligentnych umysłów. Zaszkodzili własnemu „bratu", aby przynieść mu korzyść, próbując wyeliminować z gry Sevillę. Nie udało im się, ale to, co wydarzyło się na tych siedmiu szalonych kilometrach, kiedy nikt niczego nie rozumiał, było jednym z najbardziej pamiętnych momentów Vuelty. Vuelty, której tamtą edycję ostatecznie wygrał – ku uciesze ręcznikowej bandy, „bandy z La Covatilli" – Aitor González. W ostatniej chwili, ostatniego dnia, podczas jazdy indywidualnej na czas do Madrytu, kończącej w tamtym roku wyścig, Aitor pokonał biednego Roberto Herasa, który był załamany i płakał niepocieszony. Tymczasem amanci opalenizny, lubiący spędzać wolny czas na plaży, ci najodważniejsi w peletonie, świętowali sukces.

Niewidzialny zjazd

Najlepiej określił to kolarz Paco Mancebo: „Mogło się to dla niego skończyć albo zdobyciem koszulki lidera, albo w szpitalu". Nie da się opowiedzieć dobitniej tego, co osobiście przeżył lider grupy Illes Balears, dawnej Banesto, a jeszcze wcześniejszej Reynolds. To on był jednym z poszkodowanych akcji przeprowadzonej przez Roberto Herasa pewnego wrześniowego popołudnia 2005 roku. Zamknięty w sobie, milczący i cichy kolarz zamienił się w szaleńca, w nieobliczalnego zawodnika pozbawionego strachu przed śmiercią, nieobawiającego się niczego. Padał deszcz i było zimno, bardzo zimno. I nic nie było widać, mgła pozostawiła wyobraźni to, co mogło się znajdować dwa metry przed zmarzniętym nosem i zaparowanymi okularami. Ale Roberto, który nie wzruszyłby się nawet, gdyby dwa razy z rzędu wygrał na loterii, poczuł, że jest jak Merckx, jak Bahamontes, jak Pantani, jak „Chava". Zamknął oczy. Zaatakował. I pofrunął.

Stan szosy do tego nie zachęcał, ale jemu było wszystko jedno. Asfalt był śliski, obdarowany pierwszym deszczem po lecie, które wszystko wysusza, ale jemu było wszystko jedno. Była to typowa górska droga, z ostrymi zakrętami, z niebezpieczeństwami czyhającymi na każdym wyjściu z wirażu, ale jemu było wszystko jedno. Rywal, nieustraszony Rosjanin Denis Mieńszow, który już prawie cieszył się ze zwycięstwa, był bardzo mocny, ale jemu było wszystko jedno. Chciał w wielkim stylu wygrać swoją czwartą Vueltę i nie znajdował, jakkolwiek by szukał, żadnego powodu, który przekonywałby go, aby nie robił tego, co chciał zrobić, aby nie narażał życia na tym groźnym zjeździe. Jego przeciwnicy

poczuli się zdezorientowani, gdy zobaczyli, że rusza. „To był wybór między życiem a zwycięstwem”, powiedział później Mancebo, chcąc usprawiedliwić to, co już usprawiedliwiało się samo przez się, bo tylko ktoś obłąkany pojechałby za tym kolarzem ze złotymi rybkami na niebieskiej koszulce (prezent od kampanii FROM, zorganizowanej przeciwko poławianiu małych rybek), która ma swoje miejsce w muzeum osobliwości.

„Wiem, że ryzykowałem jak nigdy, ale muszę przyznać, że wcale się nie bałem”, tłumaczył autor szalonego wyczynu, który nadał imię i nazwisko jednemu z najbardziej pamiętnych momentów Vuelty. Samobójczy i niewidzialny zjazd Herasa (kamery telewizyjne nie uchwyciły początku jego akcji, podobnie jak jakiś czas później stanie się w przypadku zjazdu pewnego madrytczyka, który marzył o zwycięstwie na trasie do Fuente Dé[14]) pozostaje nienaruszony we wspomnieniach wszystkich romantyków kolarstwa.

Momentami Roberto Heras przypominał Charly’ego Gaula, luksemburskiego anioła, który tańczył na deszczu. Momentami Roberto Heras otwierał drzwi wehikułu czasu, przenosząc publiczność do kolarstwa z przeszłości, z lat 70., 60., 50. Momentami Roberto Heras zapominał o zimnie i deszczu, by stać się legendą na trudnym zjeździe z Colladielli, jednej z pięciu przełęczy, którym peleton musiał stawić czoła podczas tamtego 15. etapu Vuelty 2005, łączącego Cangas de Onís z Pajares i wiodącego przez asturyjskie góry.

Zaryzykował tam, gdzie nikt się nie spodziewał, a tak postępują tylko ci najwięksi. Po czterech poprzednich próbach, kiedy to za każdym razem spotykał się z reakcją Denisa Mieńszowa, lidera w złotej koszulce, a także Carlosa Sastre, Heras postanowił rzucić wyzwanie losowi, gdy szosa zaczęła zmierzać w otchłań. I tam już nikt nie miał odwagi przyczepić się do jego koła. „To był niebywale niebezpieczny zjazd, na

którym ani nie chciałem, ani nie mogłem jechać tak szybko", przekonywał raz i drugi dzielny Mancebo, który znał ten teren, ale życie było mu jeszcze miłe. „Aż do chwili ataku widziałem, że Mieńszow radził sobie dobrze", powiedział później Heras, który wrzesień zawsze zamieniał na swoje osobiste błękitne i słoneczne niebo.

„Myślałem, że wszystko mam pod kontrolą, w związku z czym nie chciałem ryzykować – ubolewał później Mieńszow, lider Rabobanku, Rosjanin, który był przekonany, że złotą koszulkę zawiesi ostatecznie w salonie swojego domu. – Nie wiedziałem tylko, że niżej na niego czekali". Nie pamiętał, i to był jego błąd, bo z przodu jechało czterech kolegów Roberto Herasa, który pedałował z 15 szwami na kolanie – pamiątka po upadku, który przytrafił mu się dwa etapy wcześniej. Taktyka Manolo Saiza, dyrektora sportowego Liberty Seguros, zakładała, że na trzykrotnego zwycięzcę Vuelty na końcu zjazdu będą czekać Giampaolo Caruso i Ángel Vicioso, którzy odłączyli się od czołowej grupy liczącej 20 zawodników. W tej ucieczce znajdowali się dwaj inni „przyjaciele", Joseba Beloki i Michele Scarponi, a także Óscar Pereiro, Samuel Sánchez i Joaquim Rodríguez.

Caruso i Vicioso doprowadzili go po płaskim do tejże ucieczki, a później Beloki i Scarponi wykonali dla niego wspaniałą pracę aż do samych ścianek na Pajares, ostatniej trudności tego dnia, legendarnej przełęczy na trasie Vuelty z uwagi na dokonania Bahamontesa, Loroña, Ocañi czy Fuente. Tam Heras pofrunął tak, jak wcześniej frunął już na Colladielli. „W niektóre zakręty wchodziłem, nie wiedząc nawet, co może mnie za nimi czekać", opowiadał wielki triumfator tego dnia, który nie zmieniając wyrazu twarzy, zawsze poważny, na mecie, w gęstej mgle, podniósł obie pięści, aby uczcić zwycięstwo etapowe oraz, co najważniejsze, pokazać, kto tu rządzi.

Gdyby Heras był Tonym Romingerem na Cobertorii, Mieńszow przebrałby się za Alexa Zülle, tyle że nie zaliczając upadku. Jak wiele razy wcześniej, znowu kluczowa okazała się Asturia, naturalny raj doskonale znany Herasowi, który tam, w nadmorskim Luanco, mieszkał przez pięć lat ze względu na pracę ojca. Dlatego ten etap był jeszcze bardziej wyjątkowy dla lidera grupy Liberty, która wyróżniała się na tle innych. „Liberty jechała dobrze i wszystko szło jej jak po maśle", przyznał Mieńszow, główny pokonany tamtego dnia, który stracił pięć minut i 17 sekund. „To z powodu strasznego zimna. Dlatego podłamałem się już na pierwszej przełęczy", tłumaczył lider Rabobanku, który narzekał, że jego ekipa zostawiła go samego wobec zasadzki drużyny Manolo Saiza.

Prawda jest taka, że był to ciężki dzień dla Denisa Mieńszowa, który musiał nie tylko pogodzić się z utratą złotej koszulki na rzecz Roberto Herasa, lecz także patrzył, zasapany, z wywieszonym językiem, jak inni rywale też go wyprzedzali i zostawiali w tyle, jeszcze bardziej załamanego. Najpierw byli to Carlos García Quesada i Carlos Sastre, a później „Paquito" Mancebo. Nikt nie zlitował się nad Rosjaninem, który był taki zadowolony na linii startu, kiedy zapytany o to, czy spodziewa się jakiejś mistrzowskiej akcji ze strony Liberty Seguros, odpowiedział z uśmiechem: „Nie wiem".

Mieńszow, wbijając wzrok w ziemię, minął linię mety po tym, jak musiał cierpieć na ostatnich 50 kilometrach, których nie życzyłby nawet swojemu największemu wrogowi. Na 50 kilometrach, na których Heras odwrócił losy Vuelty, na których napisał etap, który przeszedł do historii kolarstwa. „To był najpiękniejszy dzień mojego życia, nie tylko z powodu zwycięstwa, ale także dzięki pracy zespołu, zaangażowaniu i wszystkiemu, co to oznacza. Nigdy tego nie zapomnę", powiedział Heras. Marzenie każdego kolarza. Marzenie

każdego dyrektora. Idealne zwycięstwo górala, który wygrywa, zjeżdżając, i który przesądza o losach wyścigu dzięki mistrzowskiej akcji całej drużyny. Z Caruso i Vicioso skrupulatnie wykonującymi pracę pomocników. Z Belokim, mającym na koncie podium Tour de France, a harującym tak, jakby jego życiorys nie zawierał tego, co zawiera.
Z nieodżałowanym Scarponim dokonującym rzeczy wielkich na Pajares. Z liderem, Herasem, który w fantastyczny sposób wygrał swoją czwartą Vueltę. Tę, którą później mu odbiorą. I którą następnie mu zwrócą.

Francuski miłośnik hiszpańskich gór

W sporcie, w którym ekipy pojawiają się i znikają, dziś nazywają się tak, a jutro inaczej, w którym nie ma miejsca na sentymenty, na przywiązanie do jednych barw, w świecie, który jest labiryntem dla przypadkowego kibica i ciągłym wyzwaniem dla prawdziwego miłośnika tej dyscypliny, niemalże mrzonką jest to, by jeden kolarz jeździł w jednej tylko ekipie przez całą karierę. Dlatego zdumiewające są takie historie jak Davida Moncoutié, Francuza, który w zawodowym peletonie zadebiutował w Cofidisie, który wygrywał z Cofidisem, który stał na czele Cofidisu w jego najmroczniejszych i najtrudniejszych czasach i który zakończył karierę w Cofidisie po 16 latach zwycięstw, porażek, radości, smutków i tysiącu nierozważnych ucieczek. Moncoutié, chłopak z Provins, pięknego średniowiecznego miasteczka leżącego godzinę drogi od Paryża, zawsze był sportowcem innym niż wszyscy, takim, który zrywał z wizerunkiem stereotypowego poświęcającego się kolarza, tak dobrze pasującym do tradycyjnego scenariusza tej dyscypliny sportu. Człowiek, który wolał obniżyć swoją pensję niż dźwigać ciężar lidera. Jego jedynym celem była jazda dla przyjemności.

„Chcę być szczęśliwy”, powiedział swojemu odkrywcy, staremu Cyrille’owi Guimardowi, kiedy ten zapytał go o ambicje podczas rekrutacji. Guimard, były kolarz i dyrektor sportowy takich legend jak Van Impe, Hinault, Fignon czy LeMond, zmieszał się, gdy to usłyszał. Po raz pierwszy do jego uszu nie dotarły typowe marzenia każdego kolarza: wygrać Tour de France, zostać mistrzem świata, unieść kostkę brukową na welodromie w Roubaix. Bo Moncoutié był inny niż wszyscy.

Pedałując, chciał znaleźć wolność. Taki był od małego, odkąd kolarski bakcyl sprawił, że zakochał się w rowerze, odkąd lipcowe popołudnia zaczął spędzać ze swoim ojcem przyklejony do ekranu telewizora. Jego pasja była tak wielka, że nawet matka ganiła go, chcąc, by wyszedł z domu. Ale on nie zwracał na nią uwagi. Nie przegapił żadnej przygody „skarabeuszy": Luisa Herrery, Fabio Parry i spółki. To była jego słabość.

„Ale wtedy nawet nie marzyłem o zostaniu zawodowym kolarzem", wyjaśnia za każdym razem, gdy przypominają mu jego początki. „Nie zostałbym nim, gdyby nie Guimard, który przyszedł do mnie z umową przed mistrzostwami świata amatorów w 1996 roku", wspomina Moncoutié, który nawet wtedy, mając już podpisany pierwszy prawdziwy kontrakt, nie sądził, że będzie się tym zajmował. „Myślałem, że pojeżdżę tylko dwa lata, żeby zobaczyć, o co w tym chodzi, ale…". Ale David nie tylko wytrzymał dłużej niż dwa lata, lecz także zbudował karierę, odnosząc w sumie 23 zwycięstwa, wygrywając dwa etapy Tour de France i cztery razy klasyfikację górską Vuelty, najwięcej po José Luisie Laguíi, który w swojej karierze koszulkę najlepszego górala zakładał pięciokrotnie.

„Wszystko, co osiągnąłem, to było oczywiście więcej, niż się spodziewałem", przyznaje najwierniejszy z kolarzy Cofidisu, ten, który chwycił się, być może niechcący – albo i chcący – flagi uczciwości, kiedy mrok spowił francuską ekipę. David Moncoutié był Fernando Torresem kolarstwa, chłopakiem, który wziął na swoje barki drużynę pogrążoną w niepewności i złych wiadomościach, młodzieńcem, na którym spoczywał ciężar ekipy, która zamykała oczy i pragnęła dać się prowadzić przez kolarza, który by ją uratował. Moncoutié zadebiutował w 1997 roku i szybko, bardzo szybko, bo zaledwie kilka miesięcy później, stał się jedyną nadzieją drużyny, która z powodu przypadków stosowania dopingu znalazła się na

skraju przepaści. Stało się tak w 1998 roku w związku z aferą Festiny, w 1999 roku z powodu skandalu, który wywołał Frank Vandenbroucke, w 2004 roku z Davidem Millarem, a także w 2007 roku, kiedy Cofidis wycofał się z Tour de France po pozytywnym wyniku badania antydopingowego Włocha Cristiana Moreniego.

Francuska ekipa przetrwała to wszystko dzięki Davidowi Moncoutié, który jednak nigdy nie obnosił się z tym, że jest czysty. Przeciwnie, nie lubił, gdy łączono go z ruchem antydopingowym, ponieważ uważał, że jest nikim, aby osądzać tych znajdujących się po drugiej stronie, dając światu przykład uczciwości. „Gdybym mógł, miałbym w mojej ekipie dziesięciu czystych kolarzy, takich jak David", powiedział François Migraine, szef Cofidisu, o góralu z Provins, tym samym, który mógł zostać listonoszem (co było rodzinną tradycją), a nie kolarzem. Jego podejście do dopingu, do tego, by nigdy nie ulec pokusie, jest zrozumiałe, gdy zna się jego sposób pojmowania sportu. Jego brak ambicji, tyle razy krytykowany, był także jego najlepszym sprzymierzeńcem. Jeździł po to, aby mieć z tego frajdę, w związku z czym nie potrzebował zwycięstw, które osłodziłyby mu karierę i karmiły jego ego.

Moncoutié był inny, był człowiekiem, którego nie obchodziła taktyka i który nie traktował kolarstwa jako gry zespołowej. Francuz robił swoje. Czerpał radość i dostarczał radości kibicom. Pedałował tylko po to, by dobrze się bawić – to hasło podobało się publiczności i zadręczało jego dyrektorów. „Ekipa złożona z dziewięciu takich zawodników jak Moncoutié, nie byłaby ekipą", narzekał Guimard, który jednak doskonale rozumiał, jak istotny jest David dla Cofidisu. „Jeździł sam, ale był bardzo ważny dla sponsora ze względu na medialną ekspozycję, jaką zapewniał. Zawsze miał za sobą kamerę". Rzadko kiedy zdarzał się wyścig, podczas którego Moncoutié

nie pojawiał się w telewizji. Jego pozbawione sensu ucieczki, a także te jak najbardziej sensowne zapewniały mu godziny obecności na ekranach telewizorów, jakże cenne dla sponsorującej marki.

Tego górala, który razem z towarzyskim i ekscentrycznym Thomasem Voecklerem oraz walecznym Sylvainem Chavanelem wyznaczył epokę we francuskim kolarstwie, albo się kochało, albo nienawidziło. Nie było nic pośrodku. Ani dla kibiców, ani dla jego przełożonych. Jego sposób jazdy wyczerpywał cierpliwość albo dostarczał mnóstwa emocji. Zawsze atakował, co spodobało się hiszpańskim kibicom, bardziej impulsywnym, bardziej zakochanym w ofensywnej jeździe niż rodacy kolarza. „Chcę podziękować Hiszpanom za ich życzliwość", powiedział w dniu zakończenia kariery, kiedy odważył się nawet wyartykułować kilka słów po hiszpańsku, jako ukłon w stronę tej zaangażowanej publiczności. „Cieszy mnie wsparcie, jakie okazali mi wasi kibice – podkreślił już w swoim języku przed mikrofonami i dyktafonami dziennikarzy. – Doceniają mnie nawet bardziej niż we Francji. Bardzo się cieszę, że właśnie tutaj kończę moją przygodę z kolarstwem".

Te słowa, za które hiszpańscy kibice byli tak bardzo wdzięczni, wypowiedział kilka minut po zakończeniu kariery, na ulicach centrum stolicy kraju, który tak kochał. Madryt był świadkiem jego ostatniej jazdy, jazdy człowieka, który swoje najlepsze wyniki osiągnął w Vuelcie, wyścigu, który wtedy wydawał się skrojony na jego miarę. Na hiszpańskich przełęczach Moncoutié czuł się jak szczęśliwe dziecko w Disneylandzie. Hołd, jaki złożył mu peleton, z przejazdem na czele z nim i z Grischą Niermannem, który też kończył karierę, był także hołdem wszystkich kibiców, latami emocjonujących

się jego jazdą po górach, które aż czterokrotnie koronowały go na swojego króla.

„I chciałem wygrać po raz piąty, ale nie czułem się tak dobrze jak w poprzednich latach”, przyznał w wywiadzie dla portalu Cyclingnews. Upadek na ostatnim Tour de France, fatalna wywrotka na zjeździe z Grand Cucheron, bardziej niż fizycznie – z paroma obtarciami i silnymi stłuczeniami na całym ciele – rozbił go psychicznie, bo leżąc w tamtym przydrożnym rowie, pomyślał, że nadszedł jego koniec. „Tamtego dnia, przy szosie, zdałem sobie sprawę, że 2012 będzie rokiem zakończenia mojej kariery, ale nie miałem też żadnych wątpliwości, że znajdę sposób, by znowu wygrać. Byłem zdenerwowany i smutny, ale także przekonany, że nie chcę kończyć w taki sposób, wraz z tym upadkiem”, zwierzał się w liście napisanym od razu po zakończeniu kariery, gdy tylko znalazł się w Paryżu po powrocie z Madrytu.

„To mój pierwszy dzień po zakończeniu kariery po 16 latach spędzonych w zawodowym peletonie w barwach Cofidisu, po przejechaniu tysięcy kilometrów, które zapewniły mi tyle wspomnień… Rower zawsze był dla mnie przyjemnością i być może to pozwoliło mi uniknąć jakiegoś potknięcia i pozostać w tym światku przez tyle czasu. Poza tym miałem szczęście, że trafiłem na taką ekipę jak Cofidis, która zaufała mojemu niecodziennemu sposobowi jazdy i trwała przy mnie nawet w najtrudniejszych chwilach”, pisał w tamtym liście, po czym nagle zagłębił się w swoją wyjątkową relację z hiszpańskim wyścigiem. „Dwa wygrane etapy w Tour de France to najlepsze momenty w mojej karierze, ponieważ są one czymś w rodzaju spełnienia i ponieważ jest to marzenie każdego kolarza, ale szczególne są także piękne scenerie wyścigu Dookoła Hiszpanii czy Dookoła Kraju Basków. W tym roku pojechałem na ten pierwszy, mając ambicję pokazania się ostatni raz, ale pod

względem psychicznym nie byłem już tym samym zawodnikiem. Nie dawałem rady pod górę, a na zjazdach byłem jak sparaliżowany. Jednakże zapomniałem o tym wszystkim wczoraj w Madrycie, gdy Hiszpanie mnie oklaskiwali, a inni kolarze i dyrektorzy mi gratulowali. Tam kwestie sportowe zeszły na dalszy plan".

Związek Davida Moncoutié z Vueltą był cudowny. Późno ją odkrył, ale kiedy już to zrobił, nie chciał się z nią rozstawać. Był Francuzem z urodzenia, ale w środku czuł się Hiszpanem. Jego osobowość i styl kolarski bardziej pasowały po tej stronie Pirenejów. Swój pierwszy udział w Vuelcie, w 2008 roku, tyle lat po debiucie w zawodowym peletonie, zakończył w pierwszej dziesiątce, wygrał także etap na Pla de Beret oraz swoją pierwszą klasyfikację górską. Rok później, w 2009, zwyciężył na Sierra Nevada i zdobył drugą koszulkę najlepszego górala. „To były bardzo piękne trzy tygodnie w Hiszpanii, podobnie jak w ubiegłym roku. Zwycięstwo na Sierra Nevada było dla mnie magicznym momentem. Widać, że Vuelta jest wyścigiem, który pasuje mi idealnie", podkreślił po imprezie. Trzecie zwycięstwo w klasyfikacji górskiej odniósł w 2010 roku, kiedy dołożył też triumf na Xorret de Catí. „Byłem wykończony, ale osiągnąłem cel", powiedział. Tę niewiarygodną passę kontynuował w 2011 roku, po raz czwarty zostając najlepszym góralem i po raz czwarty wygrywając etap, tym razem na Manzanedzie. „Stopniowo zapracowałem na tę koszulkę, walcząc niemal każdego dnia, podczas bardzo zaciętych sprintów, co pokazuje, że ta koszulka była bardziej pożądana, niż myśleliśmy. Ale jechaliśmy ofensywnie i dobrze się spisaliśmy".

Wszystko wskazywało na to, że piąta klasyfikacja górska przypadnie mu w udziale w 2012 roku, lecz kapryśny los sprawił, że związek został zerwany. Upadek podczas Tour de France pokrzyżował mu plany. „Mimo to po raz ostatni

chciałem unieść ręce w geście triumfu, znowu poczuć te emocje przy przekroczeniu mety jako pierwszy, nie wspominając już o wygraniu klasyfikacji górskiej. Lubię wyzwania i w Vuelcie chciałem dać z siebie maksimum, podnieść się i zakończyć karierę w wielkim stylu". Nie mógł jednak spełnić swojego marzenia.

Oto cały David Moncoutié – kolarz, który drżał, kiedy padał deszcz, kolarz, który niczym turysta nurkował na plaży albo w hotelowym basenie po każdym etapie Vuelty, Francuz, który hiszpańskie góry kochał ponad wszystko, wspinacz, który w klasyfikacji górskiej zrównał się z nieodżałowanym „Chavą" i któremu zabrakło tylko jednego tytułu do rekordzisty Laguíi, zawodnik, który nie cierpiał rywalizacji, a na rowerze jeździł tylko po to, by się uśmiechać, aby jego życie było po prostu bardziej radosne.

Odrodzenie

Vuelta miała wystarczająco dużo problemów, walcząc o przeżycie, aby przejmować się glamourem, innowacjami i wszystkim, co było dalekie od tego, co naprawdę ważne. Bo liczyło się to, żeby przetrwać. Przez całe dziesięciolecia impreza borykała się z trudnościami finansowymi, nie pozwalając organizatorom poświęcić części czasu na szukanie rozwiązań, jakie uatrakcyjniłyby wyścig, opierający się na podstawowych zasadach, potrzebnych i bezdyskusyjnych w tej dyscyplinie sportu: na poświęceniu i heroizmie. A także na niezwykłych etapach oraz najdłuższych i najtrudniejszych górskich odcinkach, jakie człowiek może wytrzymać, aby móc rywalizować z pozostałymi dwoma wielkimi tourami w kalendarzu. Organizatorzy Vuelty nie wyobrażali sobie wtedy, że przyszłość wyścigu nie będzie związana z naśladowaniem Tour de France albo Giro d'Italia, tak wielkich, kuszących i fascynujących, lecz z ustaleniem – wreszcie – własnej tożsamości. W tym celu coraz częściej uciekano się do takich pomysłów jak ten z 1971 roku, kiedy prawdopodobnie po raz pierwszy w historii kolarstwa jeden z etapów rozpoczął się w miasteczku amerykańskiego Dzikiego Zachodu.

I nie, Vuelta nie spakowała walizek i nie przeniosła się za ocean, tylko ruszyła w kierunku Almeríi, pustynnego terenu, aby zainaugurować edycję z prologiem na ulicach stolicy prowincji, a na pierwszym etapie, kilkadziesiąt kilometrów po starcie, była przygotowana niecodzienna dla kolarstwa sceneria. Pośród kowbojów i na piaszczystej ziemi peleton wyruszył z jednego z tych filmowych miasteczek rozsianych po

całej pustyni Tabernas, hiszpańskiej oazy wielbicieli westernów, z miejsca, które dziś pozwala podróżować w czasie i uwierzyć, że jest się jednym z tych kowbojów wyciągających rewolwery szybciej, niż Messi potrafi prowadzić piłkę. Kolarze pedałujący obok fortu, cmentarza czy wodopojów dla koni dostarczyli obrazków równie dziwnych, co pięknych, zamieniając tamten etap w coś wyjątkowego, niepowtarzalnego. Kolarski show wreszcie, na dobre albo na złe, dotarł na Vueltę.

Po tamtym ukłonie w stronę sportu-widowiska pojawiło się kilka innych, jak choćby rozpoczęcie wyścigu poza granicami Hiszpanii – w 1997 roku start odbył się w Lizbonie. Jednak mimo to Vuelta a España wciąż nie dorównywała Giro d'Italia i Tour de France, zarówno pod względem popularności, jak i medialnego zainteresowania. I to nie tylko za granicą, lecz także, co było jeszcze bardziej niepokojące i niezrozumiałe, w kraju. Wraz z rozpoczęciem nowego stulecia ta tendencja nadal się utrzymywała: szosy pustoszały, a poziom oglądalności spadał. Produkt nie przyciągał. Wyścig nie interesował nawet zawodników, którzy traktowali go jako trening przed zbliżającymi się mistrzostwami świata (cóż za obraza), ani samych hiszpańskich kibiców, którzy nie potrafili się identyfikować z własną imprezą kolarską. Problem był poważny. Vuelta potrzebowała operacji, ale przede wszystkim potrzebowała kogoś, kto miałby odwagę ją przeprowadzić.

I chirurg się pojawił. Nie był on dziennikarzem specjalizującym się w tej dyscyplinie sportu ani kolarzem, ani dyrektorem sportowym żadnej ekipy, ani organizatorem. Nie miał nic wspólnego z kolarstwem, z niepisanymi prawami historii sportu przyzwyczajonego do samodzielnego zaspokajania własnych potrzeb. „Kiedy mnie pytają, czy byłem kolarzem, odpowiadam, że nie, i dodaję, że wcale nie trzeba

nim być, żeby kierować Unipublic [firma organizująca Vueltę]. Jeśli nim byłeś, to bardzo dobrze, ale to w ogóle nie jest potrzebne, bo tutaj mówi się językiem dotyczącym polityki zarządzania. Unipublic, Vuelta – to jest przedsiębiorstwo, które trzeba prowadzić, mając wiedzę z zakresu zarządzania", wyjaśnia Javier Guillén, dyrektor Vuelty od końca 2008 roku, prawnik, który wszedł do Unipublic, żeby walczyć o interesy wielkich wyścigów w wiecznym boju ProTouru z Międzynarodową Unią Kolarską. „Musiała interweniować nawet Unia Europejska", mówi Guillén, madrytczyk z Alpedrete, kibic Atlético, mający bardziej napięty terminarz niż sam premier rządu. Pociąg jest jego domem. Samolot – jego samochodem.

Kiedy trafił do Unipublic, kolarstwo i Guilléna łączyła tylko przyjaźń, ponieważ ten drugi był zaledwie zwykłym sympatykiem tego pierwszego. „Wciągnąłem się za sprawą ataków »Perico« podczas Tour de France, a przede wszystkim dzięki tamtemu etapowi, na mecie którego Stephen Roche potrzebował tlenu", opowiada Guillén, okazjonalny cykloturysta, który chciałby móc jeździć rowerem częściej. Uczył się w cieniu Víctora Cordero, który ponad dziesięć lat temu przekazał mu pałeczkę, i rozpoczął rewolucję. „Ale ja nie wsiadam do samochodu innowacji, to mnie w nim sadzają", zaznacza, gdyż uważa, że kryzys finansowy popchnął go do obrania takiej właśnie ścieżki, i to ludzie z zewnątrz zaczęli nazywać jego pomysły innowacjami. „Dla nas to były normalne rzeczy, ale media zaczęły mówić o innowacji, o tym, że Vuelta wprowadza nowinki. Pierwsza pojawiła się w 2009 roku, wraz ze startem w Holandii, co, owszem, było pewną innowacją, ale tylko dlatego, że Vuelta nigdy wcześniej, z wyjątkiem Portugalii, nie wyszła poza granice kraju. Wszyscy zaczęli mówić o innowacji, ale tak naprawdę to co my zrobiliśmy

nadzwyczajnego? Był to po prostu początek wyścigu za granicą. I tyle”.

Start w Holandii, jazda indywidualna na czas na asfalcie „katedry” sportu motocyklowego, torze wyścigowym w Assen, był początkiem całej serii nowości, jakie Guillén i jego ekipa wprowadzali na przestrzeni lat, zawsze starając się uatrakcyjnić swój produkt, zwrócić uwagę przypadkowego kibica, aby zamienić go w kibica stałego. Rok później, w 2010, Assen ustąpiło miejsca jednemu z najpiękniejszych etapów w historii kolarstwa. Nie pod względem sportowym, lecz z uwagi na zachwycające widoki, jakimi uraczyła nas Sewilla, zawsze taka piękna, zawsze taka romantyczna. Bo miasto nad Gwadalkiwirem, z Trianą, Esperanzą, Giraldą i Macareną, nadało Vuelcie wyjątkowego kolorytu. Nocą, w świetle księżyca, jazda drużynowa na czas zapoczątkowała drugi rozdział odrodzenia. „Dzięki rozpoczęciu wyścigu w Holandii przekonaliśmy się, że jesteśmy w stanie zrobić wszystko, dlatego zaczęliśmy się zastanawiać, co możemy wprowadzić w 2010 roku. I pamiętam pewną rozmowę z ministrem turystyki Andaluzji, notabene bardzo mi pomógł, podczas której powiedziałem, że mija 75 lat od pierwszej edycji i że chcemy zrobić coś wyjątkowego, coś wielkiego. Czasówkę po Sewilli, ale z czymś ekstra. I tym czymś okazał się pomysł, by zorganizować ją w nocy, przy całkowicie oświetlonym mieście. Wyszło fenomenalnie”.

Podobnie jak na pełnej kibiców górze Bola del Mundo. Te ciągnące się w nieskończoność trzy kilometry prowadzące z Navacerrady wymagają nadludzkiego wysiłku, by dotrzeć na szczyt, gdzie znajdują się anteny radiowo-telewizyjne; przez całe dziesięciolecia nikomu nie przyszło do głowy, że pewnego dnia dotrze tu wyścig kolarski. Było to marzenie par excellence całej Unipublic oraz rodziny Enrique Franco. I wyzwanie dla

Javiera Guilléna. „Odkąd trafiłem do firmy, dużo się o tym mówiło. My doprowadziliśmy do realizacji tego pomysłu", podkreśla z delikatnym uśmiechem, wspominając tamten cudowny dzień w 2010 roku, kiedy losy Vuelty decydowały się podczas pięknej walki ramię w ramię między młodym aspirującym Włochem Vincenzo Nibalim a lokalnym bohaterem Ezequielem Mosquerą, który naciskał i naciskał, atakował sercem setek kibiców, którzy zgromadzili się na górze. Kolarstwo w najczystszej postaci.

Poprzeczka została zawieszona wysoko. Jak ją przeskoczyć? Jak zorganizować coś lepszego od edycji, która rozpoczęła się pod nocnym niebem Sewilli, a rozstrzygnęła w podmadryckim piekle? „Od tamtego momentu zaczęliśmy pracować na zasadzie akcja-reakcja". I akcja działała. A przynajmniej wskazywała na to reakcja, ponieważ publiczność odpowiedziała jak nigdy przedtem, zapełniając pobocza i przyklejając się do ekranów telewizorów, przewyższając nawet w Hiszpanii poziom oglądalności Tour de France, co jeszcze kilka lat wcześniej było nie do pomyślenia. Przepełniony motywacją Guillén obmyślał kolejne akcje. Pociąg już ruszył i teraz nie mógł się zepsuć. I nadszedł historyczny rok, 2011, trzecia edycja pod jego wodzą, przełomowa. Po 33 latach nieobecności, po 33 latach odseparowania największego wyścigu kolarskiego w kraju od najlepszych kibiców na świecie Vuelta a España powróciła do Kraju Basków. Zapomniawszy o barykadach, bombach, protestach i kłótniach, kolarstwo odzyskało teren, którego nigdy nie powinno było stracić. „Pod względem osobistym, w tej autobiografii, którą pisze każdy z nas, będąc przekonanym, że jesteśmy centrum świata, i mocno to relatywizując, wtedy tworzyliśmy historię. Czy było to ważne? Nie, ale piękne i potrzebne. To, że mogliśmy połączyć najlepszą publiczność z najlepszym wyścigiem, było czymś

szczególnym. I zrobiliśmy to w tak normalny sposób, że nie było to nawet wyjątkowe wydarzenie. Kiedy jesteś tam na miejscu, zdajesz sobie sprawę, że nie można dopuścić do tego, by znów minęły 33 lata bez tej atmosfery, bez bycia z tymi ludźmi", mówi Guillén.

Prawie trzy tygodnie wcześniej w tamtym 2011 roku Vuelta wystartowała z samiutkiej plaży w Benidorm, pośród turystów i ręczników, gdzie na nadmorskiej promenadzie rozegrano czasówkę drużynową. Słońce, plaża i kolarstwo. Początek jak z reklamy. Wyścig zakończył się w Madrycie, startując z toru wyścigowego Jarama. Były to detale, które nie miały wpływu na aspekt sportowy, ale na estetyczny i owszem, dostarczały bowiem kibicom kolejnych powodów, by nie rozstawać się z wyścigiem. Wystarczy popytać w Pampelunie, gdzie Vuelta rozpoczęła się rok później, w 2012, aby oddać hołd najsłynniejszemu świętu na świecie. Przez kilka minut kolarze byli niczym śmiałkowie podczas San Fermín, jadąc trasą legendarnych gonitw z bykami. Vuelta była już prawdziwym widowiskiem, któremu poza granicami zaczęto się bardzo uważnie przyglądać. Później wyczyn Alberto Contadora na Fuente Dé pomógł pod względem sportowym, aby z Vuelty 2012 uczynić jedną z najlepszych edycji wyścigu w historii.

Natomiast w 2013 roku wyścig rozpoczął się na rampie w porcie Vilanova de Arousa, co było być może najgłośniejszą nowinką. Bo jak to nazwać, kiedy postanawia się, że kolarze wyruszą z samego morza? Rampa, platforma, na której rosną małże i inne mięczaki, została połączona z portem za pomocą szklanej kładki. Vuelta a España przekroczyła wskaźniki innowacji. Nigdy wcześniej żaden wyścig nie startował z największego basenu świata. Zainteresowanie znowu podsycił aspekt sportowy, ponieważ o zwycięstwie w klasyfikacji generalnej decydował przedostatni dzień na Angliru.

Ostatecznie triumfował „dziadek” Chris Horner, choć wydawało się, że zwycięży wygłodniały „rekin”, Vincenzo Nibali.

Skoro startowali już z toru wyścigowego, skoro startowali już nocą, skoro startowali już z plaży i z morza, skoro wyruszali już trasą, na której odbywają się gonitwy byków, to co jeszcze można zrobić? „Ale nie chodzi o to, żeby jeszcze bardziej to utrudnić”, zaznacza Javier Guillén, który w 2014 roku znowu dopisał kolejny rozdział do swojej osobliwej księgi wynalazków. Trzeci etap rozpoczął się bowiem wewnątrz okrętu „Juan Carlos I” [na cześć króla Hiszpanii w latach 1975–2014], który jest symbolem naszej marynarki. „To najlepsza akcja marketingowa, jaką zorganizowaliśmy – przekonuje szef Unipublic. – Ale nie ciągnie nas do dalszego robienia takich rzeczy, ponieważ następnym krokiem byłoby zrzucenie kolarzy z helikoptera albo kazanie im startować spod wody”. Tamta Vuelta, z Contadorem, Valverde, „Purito” Rodríguezem i Froome’em walczącymi ze sobą każdego dnia na szosach całej Hiszpanii, nie skończyła się przejażdżką po Madrycie, lecz czasówką u stóp katedry w Santiago de Compostela. Ostatni raz doszło do tego w odległym 1993 roku.

Sukcesy gromadziły się na koncie Unipublic, która odbierała gratulacje za nowy sposób pojmowania kolarstwa, jednak nie zawsze otrzymywała za to oklaski. Pomysł z 2015 roku, czyli start na mieszance betonu, asfaltu, piasku i marmuru z falochronu w Puerto Banús, się nie sprawdził. Było zbyt niebezpiecznie, orzekła Międzynarodowa Unia Kolarska, która postanowiła nie brać pod uwagę wyników z jazdy drużynowej na czas, psując tym samym inaugurację Vuelty. Wyścig został wywrócony do góry nogami dzień przed przyjazdem do centrum Madrytu, bo zasadzka w podmadryckich górach odebrała zwycięstwo Tomowi Dumoulinowi, żeby dać je Fabio Aru. „Ale taki start jak tamten z Puerto Banús powtórzyłbym

bez względu na wszystko”, stwierdza stanowczo Javier Guillén, ożywiony wspomnieniem widowiska na przedostatnim etapie.

Być może z powodu zneutralizowanego etapu zaczynającego się w Puerto Banús start wyścigu w 2016 roku był o wiele mniej kontrowersyjny, a główną rolę odgrywał piękny krajobraz Laias w Galicji. Oddech przed rozpoczęciem Vuelty w 2017 roku we Francji. Pełne zabytków Nîmes, najbardziej hiszpańskie miasto w sąsiednim kraju, przyjęło start wyścigu na arenie swojego imponującego rzymskiego amfiteatru. Kolejny ukłon w stronę unowocześnienia Vuelty, która nie wyhamowuje i która znaczną część swojego sukcesu z ostatnich lat zawdzięcza dwóm innym nowinkom: czerwonej koszulce, *la Roja*, jak lubi ją nazywać Guillén, oraz piekielnie stromym ścianom, tak bardzo znienawidzonym przez kolarzy i tak bardzo uwielbianym przez kibiców.

„Kiedy weszliśmy do Unipublic, chcieliśmy dwóch rzeczy. Pierwsza: abyśmy byli rozpoznawalni, żeby ludzie wiedzieli, co spotkają na Vuelcie: niesamowicie trudne podjazdy, nerwowe etapy, nieprzewidywalną aż do samego końca klasyfikację, pewną świeżość. Tacy chcieliśmy być. I druga – jacy nie chcieliśmy być: ani jak Giro, które posiada bardzo silną tożsamość, ani jak Tour, który oprócz silnej tożsamości jest nadzwyczajnie rozreklamowany i rozpoznawalny. A nasz profil opiera się na wyłączności, podobnie jak *la Roja*, ponieważ nie chcieliśmy koszulki, która byłaby podobna do jakiejś innej, jak to było wcześniej – opowiada dyrektor generalny wyścigu, który wyjawia, jak wyglądał wybór koloru. – Chcieliśmy mieć własny symbol. I czerwień była najlepsza, ponieważ mieliśmy pewien argument, pewną historię do opowiedzenia. Za różową koszulką Giro stoi »La Gazetta dello Sport«, a za żółtą Tour de France – »L’Auto«. Czerwień kojarzyła się wszystkim z sukcesem w sporcie, ze złotą epoką hiszpańskiego sportu,

z piłkarskimi sukcesami drużyny Luisa Aragonésa, który jako pierwszy mówił o *la Roja*, ze zwycięstwami koszykarskiej reprezentacji oraz Rafy Nadala, z Fernando Alonso w Ferrari… Tak więc nasz argument opierał się na tym nie z uwagi na Hiszpanów, tylko na sukces hiszpańskiego sportu".

Nowinki, czerwień i ściany. Aj, ściany. Co za konieczność – myślą zawodnicy, którzy skręcają się każdego roku, odkąd pojawił się ten straszny mur w Valdepeñas de Jaén, a po nim kilka kolejnych. Raj dla „Purito". „Ściany w wielkim stopniu pomogły zdefiniować tożsamość Vuelty. Inne wyścigi miały mocne finisze, ale nie takie wymagające stromizny jak nasze. Pod tym względem byliśmy pionierami. Szukaliśmy czegoś innego i pojawiło się Valdepeñas. Pamiętam, że wygrał tam Igor Antón i że było fantastycznie, widowiskowo. Od tamtej pory podążaliśmy w tym kierunku, ale bez obsesji na punkcie ścian. Teraz skupiamy się bardziej na odkrywaniu gór".

„Odkrywca" Guillén, który od czasu do czasu wkłada kapelusz i chwyta za kompas, aby znaleźć nowe tereny, na które skierowałby swoich kolarzy, ma na myśli takie góry jak Peñas Blancas, Cotobello, Ermita del Alba, Los Machucos czy Les Praeres. „Zawsze mamy w zanadrzu nowe przełęcze, ale pamiętamy również o tradycji, bo nikomu nie trzeba tłumaczyć, na przykład, co to są Jeziora Covadonga, Angliru albo Sierra Nevada – podkreśla, po czym zdradza, jak planuje się trasy. – Najpierw sporządzamy profile etapów i jeśli w jakimś miejscu natykamy się na ścianę, to ją wykorzystujemy. Już się ich nie szuka, tylko same się znajdują. Natomiast nigdy nie przytrafiło mi się to, żeby z powodu kryzysu jechać tam, gdzie za to płacą. Sami przygotowujemy plan sportowy i dopiero później ubiegamy się o odpowiednią współpracę".

„Zmieniło się podejście. Teraz nie można przygotować etapu liczącego 400 kilometrów albo zaplanować trasy przez

przełęcze ze zjazdami, o których nie wiadomo, czy zawodnicy zdołają je pokonać. Obecnie wszystko jest inne. Trudności trzeba pokazywać inaczej. Kolarza się podziwia, ponieważ potrafi zrobić rzeczy, jakich nie robi nikt inny. Poświęcenie i heroizm są nieodłączną częścią kolarstwa. A my z tego żyjemy. Ponieważ nie mogę zaplanować dziesięciu etapów z wysokimi górami, daję morderczą ścianę", tłumaczy Guillén, w którego oczach pojawia się błysk, kiedy słyszy pytanie o oglądalność. „Ludzie mówią, że wszystko sprowadzam do oglądalności, ale prawda jest taka, że muszę to robić, ponieważ Vuelta to przedsiębiorstwo. Ekipy potrzebują oglądalności, bo potrzebują sponsora, a kolarze potrzebują oglądalności, bo potrzebują ekipy, która wypłaca im pensje. Na przykład podjazd pod Valdepeñas na jednym kilometrze opowiada nam pewną historię, czego nie robi wiele etapów liczących 180 kilometrów".

Dane telewizyjne, wzrost próśb o zorganizowanie startu albo mety etapu, jak również liczba kibiców towarzysząca przejazdowi peletonu w każdym miasteczku czy na przełęczy wzmacniają teorię madryckiego prawnika. „A gdybym wiedział, gdzie ich szukać, to włączyłbym też odcinki na bruku – przyznaje Guillén, który zamienia sprinty na ściany, a długie i nudne etapy na krótkie i nerwowe. – W dzisiejszych czasach w Vuelcie nie może być etapów dłuższych niż 180 kilometrów, chociaż zawsze znajdą się wyjątki. Mamy 21 etapów i każdy z nich musimy wykorzystać tak, jakby był jedynym". W historii zapisał się Formigal ze 118-kilometrowym etapem, podczas którego Alberto Contador zaatakował na początku, rozbijając wszechpotężną ekipę Sky Chrisa Froome'a i podając na tacy czerwoną koszulkę Nairo Quintanie, który był czujny i przyłączył się do akcji nieustraszonego „Pistolero". „Gdybyśmy znowu to zrobili, nie wyszłoby tak samo", podkreśla Guillén, człowiek, który zrewolucjonizował Vueltę, innowator, który

ciągle szuka nowych pomysłów, marzyciel, który wciąż wyobraża sobie peleton jadący na Wyspach Kanaryjskich, w Ceucie, Melilli, w Afryce, prawnik, który ubrał na czerwono wyścig cieszący się obecnie prawdopodobnie najlepszym stanem zdrowia w życiu.

Prorocy na swojej ziemi

Niewiele rzeczy uszczęśliwia sportowca bardziej niż zwycięstwo u siebie, niż krzyczenie z radości razem ze swoimi bliskimi, rodzicami, rodzeństwem, dziadkami, na oczach narzeczonej, żony, dzieci, patrzenie na szczęśliwe twarze przyjaciół i tych wszystkich, którzy cieszą się tym, co robisz, ale też z tego powodu cierpią. Król świata przez kilka godzin, przez jeden dzień. Jaki piękny jest sport. Jakie piękne jest życie. Jak pięknie jest widzieć uśmiechniętego kolarza po podniesieniu rąk w geście triumfu na szosie, którą tak dobrze zna, słyszeć, jak krzyczy z emocji. Jak pięknie było zobaczyć Fede Ezquerrę, pierwszego wielkiego baskijskiego kolarza, Biskajczyka w każdym calu, wygrywającego w Bilbao podczas Vuelty w 1941 roku, atakującego na Sollube, dogonionego na zjeździe i znowu wyrywającego do przodu kilka kilometrów przed wjazdem do miasta, a ostatecznie zwyciężającego na ulicach swojej małej ojczyzny. Jak pięknie było zobaczyć Pedro Delgado, wesołego „Perico", odwracającego losy Vuelty w 1985 roku w swojej ukochanej Segowii, miażdżącego Roberta Millara w podmadryckich górach. Jak pięknie jest widzieć kogoś szczęśliwego u siebie w domu.

Piękne było również to, co przytrafiło się pewnemu Asturyjczykowi przy Jeziorach Covadonga, na przełęczy jego życia, jego dzieciństwa i wczesnej młodości, przełęczy, która uczyniła z niego kolarza i 12 września 2010 roku zapewniła mu chwałę. Carlos Barredo, chłopak z Taranes w gminie Ponga, który wcześnie przeprowadził się z rodziną do Gijón, mógłby wygrać Tour de France, Vueltę, ale nigdy nie zdobyłby takiego uznania, jakie zyskał, dotykając nieba dzięki swojej wspinaczce

na ziemi Matki Bożej z Covadongi. Nawet stanięcie w żółtej koszulce na najwyższym stopniu podium na Polach Elizejskich nie zdołałoby wywołać w nim, Asturyjczyku z rocznika ’81, takiej radości, jaką poczuł, zwyciężając przy Jeziorach Covadonga, w swoim ulubionym zakątku na mapie. „To był najbardziej wyjątkowy dzień w mojej sportowej karierze”, mówi teraz Barredo, który 12 kilometrów przed metą jechał jeszcze w ucieczce, gdzie wydawał się najmocniejszy. Potem jednak przyspieszył, szybko został sam i wytrzymał aż do mety. Jego wyczyn komentował w telewizji Mariano Rajoy[15], zakochany w tej dyscyplinie sportu. „Pamiętam absolutnie wszystko”, dodaje Barredo. Moment, w którym niespodziewanie ruszył do przodu. Jak zaciskał zęby. Jak cierpiał w deszczu. Jak prosił swoje mięśnie, aby się nie zatrzymały, jak o nie dbał, aby się nie zbuntowały i nie powiedziały dość.

„Już rankiem, kiedy wstałem i zobaczyłem, że pada deszcz, że jest mgliście, wiedziałem, że mogę wygrać”, wspomina Barredo, który wciągnął się w kolarstwo, oglądając wyczyny Miguela Induraina, chłopak, który swój pierwszy rower szosowy dostał właśnie dzięki tej przełęczy, jego ukochanym jeziorom. „Poprosiłem ojca o rower szosowy, a on powiedział, że zgoda, kupi mi go, ale pod jednym warunkiem: musiałem wspiąć się do Jezior z Cangas de Onís. Jeśli mi się to uda, dostanę rower”. Ojciec go kusił, wiedząc, że wśród przymiotów jego małego syna nie znajdowała się jeszcze odwaga. Był przekonany, że Carlitos nie ośmieli się stawić czoła tej trudnej wspinaczce. Ale się pomylił. „Pewnej soboty wybrałem się tam na rowerze górskim. W poniedziałek miałem już nowy”. Ojciec musiał spełnić obietnicę, a w 2010 roku płakał z radości przy tych samych jeziorach, widząc, jak jego waleczny Carlos, który tyle razy był tak blisko zwycięstwa etapowego w Tour de France (w ostatnim

dosłownie o włos, miesiąc wcześniej w Pau), teraz triumfował na swoim terenie. „W poprzednim roku ojciec miał poważne problemy zdrowotne i tamtego dnia, podczas wspinaczki do jezior, oglądał mnie po raz pierwszy po powrocie do zdrowia”, wzrusza się Carlos na wspomnienie tamtych chwil.

Barredo jeździł w niebieskiej koszulce grupy Quick-Step, był już uznanym kolarzem, miał na koncie ważne zwycięstwa, jak Clásica de San Sebastián czy etap w wyścigu Paryż–Nicea, i osiągnął coś, czym do tamtej pory nie mógł się pochwalić żaden Asturyjczyk: został pierwszym lokalnym kolarzem wygrywającym przy Jeziorach Covadonga, ku radości swoich krajan, którzy – jakżeby inaczej – zgromadzili się tłumnie przy szosie w tym magicznym miejscu. „To było niesamowite, jak mnie wspierali, jak do mnie krzyczeli”, podkreśla człowiek, który rankiem podczas śniadania obiecał sobie, że to będzie jego dzień, że zapisze swoje nazwisko w księdze o mitycznej przełęczy. „Wystarczyło tylko, bym przypomniał sobie o wielkich kolarzach, którzy tam wygrywali, i…”. Barredo dostaje gęsiej skórki i błyszczą mu oczy, kiedy pytają go o to, co czuł, dowiedziawszy się, że tamtego dnia na El Molinón, na stadionie jego ukochanego Sportingu, ogłoszono na tablicy wyników, że on, Carlos Barredo, właśnie wygrał przy Jeziorach Covadonga. Później wszystko mu odbiorą, wygumkują go z historii – chociaż nie miał pozytywnych wyników badań antydopingowych[16] – ale nie z ludzkich serc. Jego wyczyn zostanie zapamiętany na zawsze.

Do tamtego zwycięskiego etapu Asturyjczyka nie dotrwał natomiast ktoś, kto powinien był jechać tam w czerwonej koszulce. Igor Antón, Biskajczyk, lider grupy Euskaltel-Euskadi, zaliczył wywrotkę, kiedy Vuelta a España 2010 się do niego uśmiechała. Wygrał dwa etapy i czerwona koszulka leżała na nim doskonale, ale los okazał się dla niego okrutny zaledwie

24 godziny przed tym, jak peleton miał stawić czoła Jeziorom Covadonga, na etapie prowadzącym na Peña Cabarga. Musiał się wycofać, nie zwieszając głowy, kontuzjowany, ale cały, z uniesionym kciukiem i uśmiechem na twarzy.

Tamtego dnia kolarstwo dało mu jeden z tych kuksańców, po których bardzo trudno się podnieść. Jednak „Fuji" ze spokoju i normalności uczynił swoją największą broń, wewnętrzną siłę, dzięki której pokonywał wszelkie przeciwności. Antón wrócił na rower w 2011 roku, kiedy dostarczył radości całemu krajowi, wygrywając etap na Zoncolan podczas Giro, a później stawiając czoła Vuelcie, swojej Vuelcie, którą tak bardzo kochał („Tour mnie nie obchodzi", mawiał), jako jeden z faworytów. Szybko jednak się okazało, że nie jest w wystarczająco dobrej formie, że Cobo, Froome, Wiggins i spółka w tym momencie są dla niego za mocni. I kiedy wyścig zbliżał się już do końca, Igor Antón sprawił sobie prezent, na który zasłużył. „To wymarzone zwycięstwo", wykrzyknął Bask, który owszem, tak samo jak Fede Ezquerra, Pedro Delgado i Carlos Barredo, też wygrał u siebie, na oczach bliskich. Na trzecim etapie od końca i pierwszym, jaki odbył się w Kraju Basków po 33 latach przerwy. „Wygranie tutaj, w Bilbao, w światowej stolicy kolarstwa, sprawia, że wszystkie przykrości odchodzą w niepamięć", ciągnął Antón, który załapał się do ucieczki dnia razem ze swoim kolegą Gorką Verdugo i postanowił powalczyć o zwycięstwo na El Vivero, czterokilometrowym podjeździe o nachyleniu siedmiu procent, który zaczynał się przy drzwiach jego domu w rodzinnym Galdakao. „Na tę przełęcz wspinałem się najwięcej razy", przyznał Antó

Przy powiewających na wietrze baskijskich flagach i oszalałej pomarańczowej fali Antón pojechał prosto w stronę mety w Bilbao, gdzie rozpoczęła się fiesta. „To była prawdziwa *bilbainada[17]*", powiedział w rozmowie z dziennikarzami.

W wieku 28 lat baskijki kolarz odniósł swoje najbardziej sentymentalne zwycięstwo (był to jego czwarty wygrany etap w Vuelcie), którego nie zamieniłby na nic za żadne skarby świata. „Mogę już kończyć karierę”, stwierdził „Fuji”. Ten jego przydomek, w postaci graffiti, opanował asfalt na El Vivero, tam, gdzie dorastał, gdzie nauczył się jeździć, gdzie kiedyś w amatorskich mistrzostwach prowincji Bizkaia podarował zwycięstwo koledze. Tam, gdzie tyle razy wyobrażał sobie, że wznosi ręce w geście triumfu. Tam, gdzie spełnił swoje największe marzenie. Jakież to piękne uczucie. To jest właśnie magia wygrywania w otoczeniu swoich krajan, na swojej ziemi.

Najdziwniejszy kolarz

„Tak, możliwe, że jestem słaby”, przyznawał kilka dni przed jednym z najbardziej zaskakujących dokonań w historii kolarstwa. A w takim sporcie jak ten, przyzwyczajonym do wszelkiego rodzaju zdarzeń, warto je odnotować. Milczący, cichy, zawsze w cieniu. Tak na swoją szansę czekał „Bizon”. Przetrzymując burzę, nie poddając się, gdy był bliski wycieńczenia, i przyczajony, aby wykorzystać najmniejszą szansę, jaką dał mu los. Scenariusz mógłby napisać pisarz albo scenarzysta filmowy, ale nie było takiej potrzeby. Rzeczywistość od czasu do czasu przerasta fikcję. Rozpoczął Vueltę, myśląc o rzuceniu kolarstwa, a zakończył ją, pokonując dwóch Marsjan, którzy w następnych latach zatkną swoją flagę na Polach Elizejskich, cesarzy nowej dekady. Nikt nie dał rady Juanowi José Cobo, 30-latkowi z Kantabrii, który półtora miesiąca wcześniej chciał zostać elektrykiem albo zaszyć się w kuchni – on, który nie potrafił nawet zrobić sobie jajecznicy. Ani Bradley Wiggins, brytyjski bohater, król następnego Tour de France. Ani Chris Froome, biały Kenijczyk, jego największy rywal, który wkrótce zacznie wyznaczać nową epokę. Ich, a także Vincenzo Nibalego i „Purito” Rodrígueza pokonał Cobo, kiedy nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, że byłby w stanie to zrobić. Jak można było myśleć o nim w czerwonej koszulce przy Cibeles, biorąc pod uwagę jego dotychczasową karierę i znając jego psychikę?

„Chciałem to rzucić”, zaskoczył wszystkich Juan Cobo, „Bizon z La Pesy”, jak lubili go nazywać znajomi, w wywiadzie udzielonym baskijskiemu dziennikarzowi Unaiowi Iraragorriemu z portalu Bicicliclismo tuż przed rozpoczęciem

Vuelty w 2011 roku i jego niewyobrażalnym wyczynem. „Powiedziałem o tym »Matxinowi« [dyrektor sportowy ekipy Geox] w maju. Przez pewien czas czułem się źle psychicznie. On mnie przekonał, bym jeździł dalej. Powiedział, żebym robił to bez presji, że mam się niczym nie przejmować, że nie będą ode mnie niczego wymagać", tłumaczył Cobo, zawodnik z rocznika '81, rok młodszy od Alejandro Valverde, rok starszy od Alberto Contadora. „Kiedy czuję się źle, nawet nie dotykam roweru. Wycofałem się z wyścigu Dookoła Asturii i przestałem trenować. Głowa mi pękała". Głowa mu pękała, a rower wisiał na ścianie w garażu. Nie chciał nawet na niego patrzeć. Zaszył się w domu rodziców, który był jego miejscem na ziemi (kupił sobie własny, ale nawet do niego nie zaglądał). Z łóżka na kanapę i z kanapy do łóżka. Tak mijały mu dni. „Nie mam żadnego hobby z wyjątkiem internetu i telewizji. I z pewnością z tego powodu, spędzając tyle czasu w domu, coraz bardziej się zamartwiałem i myślałem o dziwnych rzeczach", przyznał w rozmowie z dziennikarzami po konferencji prasowej Vuelty, jak relacjonował Fernando Llamas w „El Mundo".

W czerwcu wrócił do rywalizacji, najpierw w Luksemburgu, a następnie w Słowenii, ale wciąż nie trenował. Mentalnie nie był w stanie się podnieść po ciosie, jaki spotkał go w Asturii, kiedy sądził, że jest w lepszej dyspozycji niż w rzeczywistości. Tak naprawdę była to ta sama historia co zawsze. „Sam chciałbym znać powód tych zapaści. W zeszłym roku, gdy jeździłem w Caisse d'Epargne, przytrafiło mi się to samo. Sam narzuciłem sobie dużą presję, a potem rozsypałem się fizycznie i mentalnie". Na ratunek przyszedł mu Joxean Fernández, „Matxin", jedyny dyrektor sportowy, który go rozumiał, który o niego dbał, który z jego nóg i z głowy wyciągał wszystko, co najlepsze. Współpracowali już razem w ekipie Saunier Duval, później w Scott-American Beef, a następnie w Fuji-Servetto.

„Kiedy Cobo się załamuje, pogrąża się całkowicie, a kiedy się podnosi, robi to w wielkim stylu”, podkreśla „Matxin”, z którym kantabryjski kolarz – o szerokich plecach i mocnych nogach, a więc o zupełnie odmiennej posturze niż typowy kościsty góral – przeżywał swój najlepszy okres w karierze. Z nim, z „Matxinem”, pokazał się w 2007 roku, triumfując w wyścigu Dookoła Kraju Basków, pokonując tak uznanych zawodników, jak Samuel Sánchez, Damiano Cunego, Alejandro Valverde, Davide Rebellin, Frank Schleck i Joaquim Rodríguez. Śmietanka towarzyska światowego kolarstwa komplementowała jego talent, chociaż brakowało mu regularności. Jednego dnia był w doskonałej formie, a drugiego prezentował się fatalnie. I tak przez cały czas. Można było oszaleć.

„On zdejmuje ze mnie presję – opowiada Juanjo o baskijskim dyrektorze. – Sekret polega na tym, że jest bardziej przyjacielem niż szefem”, przyznaje Cobo, który w 2008 roku miał najlepszy sezon w karierze. Wygrał jeden etap wyścigu Dookoła Burgos, kolejny w wyścigu Dookoła Portugalii i, naturalnie, etap Tour de France, który wygrał, nie wygrywając. Był drugi na Hautacam, ale jako że jego kolega Leo Piepoli został zdyskwalifikowany z powodu dopingu, zwycięstwo ostatecznie przypadło jemu. Skandal z udziałem innego kolegi, Riccardo Riccò, doprowadził do wyrzucenia ekipy Saunier z francuskiego wyścigu. W najgorszym momencie, akurat wtedy, kiedy Juanjo czuł się najmocniejszy. Takie jest życie. Takie jest kolarstwo. A później wygrany etap w wyścigu Dookoła Kastylii i León, kolejny w Vuelcie 2009 i… I nic więcej. Zgasł przerywany płomień Kantabryjczyka urodzonego w Torrelavedze i dorastającego w miejscowości Cabezón de la Sal, w dzielnicy La Pesa. Zostawił „Matxina” i zniknął z kolarskiej mapy. „Zabrakło nam szczęścia – stwierdził José Luis Jaimerena, ówczesny dyrektor sportowy Caisse d’Epargne,

a obecnie Movistar, w wywiadzie dla »El Mundo«. – Akurat trafiliśmy na ten okres, kiedy nie czuł się dobrze, okres, nie wiem, jak to określić, dekoncentracji. Sezon rozpoczął w miarę normalnie, ale ostatecznie nie nadawał się nawet do jeżdżenia, nie mogliśmy na niego liczyć".

Depresja wykańczała Juana Cobo. Nie interesowało go nic, co działo się na świecie. Jego forma się załamała, a całe jego życie sprowadzało się do kanapy i łóżka. Tym razem nawet czarodziej „Matxin" nie potrafił szybko postawić go na nogi. „»Matxin« zadzwonił do mnie podczas Vuelty 2010. Wiedziałem, że Eusebio [Unzué] nie będzie na mnie stawiał, co było naturalne, więc nietrudno było mi podjąć decyzję". W 2011 roku Cobo, znowu u boku baskijskiego dyrektora, przeszedł do obiecującej grupy Geox, która miała niezłą ekipę, z takimi kolarzami jak Carlos Sastre czy Denis Mieńszow. Ale jego głowa nie chciała funkcjonować jak należy. Pogrążony w swojej jaskini, załamany kolejną z tych zapaści, które doprowadzały do rozpaczy jego rodziców, Maribel i „Pepito", lekkoatlety i prezesa Klubu Lekkoatletycznego Villa de Cabezón, a także jego rodzeństwo, Raquel i Javiera, którzy poszli w ślady ojca i pierwsze kroki stawiali na bieżni. Mały Juanjo bardziej interesował się siatkówką, piłką nożną, surfingiem i oczywiście kolarstwem.

Cobo już od dziecka był małomówny, wolał przemilczeć swoje problemy, a potem się zadręczał. Wiedział o tym „Matxin", człowiek ekstrawertyczny i najlepszy psycholog kantabryjskiego zawodnika. „On był pierwszą osobą, której powiedziałem, że rzucam kolarstwo. I to on wyciągnął mnie z tej zapaści, której nikt nie był winien, bo ja sam do niej doprowadziłem". „Matxina" kosztowało to dużo czasu, prawie cały sezon, ale w końcu, w samą porę, uratował kolarza, który dwa tygodnie przed eksplozją formy z bardzo dobrej strony

pokazał się podczas wyścigu Dookoła Burgos, gdzie tylko młodziutki i obiecujący Mikel Landa odebrał mu zwycięstwo w Lagunas de Neila. Uszczęśliwiło to jego dyrektora, który znał potencjał kolarza i wiedział, że może coś osiągnąć w Vuelcie, gdzie nie będzie pod presją, ponieważ odpowiedzialność spadała na barki dwóch zaprawionych w bojach zawodników, Sastre i Mieńszowa. „Plan jest taki, aby im pomagać, być możliwie najbliżej nich. Moim zadaniem jest pracować dla nich obydwu. Miejmy nadzieję, że nie zawiodą, ale tylko wtedy mógłbym mieć swoją szansę", zapowiadał Cobo na portalu Bicicliclismo przed rozpoczęciem Vuelty na plaży w Benidorm.

Edycja z 2011 roku odbywała się bez trzech ówczesnych wielkich gwiazd peletonu, Alberto Contadora, Andy'ego Schlecka i Cadela Evansa, ale za to z wieloma mocno zmotywowanymi aspirantami do zwycięstwa, na czele z Bradleyem Wigginsem, który z torowca stał się wielkotourowcem, tracąc kilogramy i dostosowując figurę do wysokich gór. U jego boku jechał prawie nieznany Chris Froome, który miał na koncie zaledwie garstkę pomniejszych triumfów i który nigdy nie sygnalizował, że może powalczyć o klasyfikację generalną trzytygodniowego wyścigu. Za chłopcami ze Sky znajdowali się Nibali, „Purito", Scarponi, Igor Antón, a także duet z Geoxu, który nie zaczął najlepiej. Po czasówce drużynowej nad brzegiem Morza Śródziemnego nic nie wskazywało na to, by najmocniejszymi ekipami tamtej Vuelty były Sky i Geox, które tego dnia okazały się lepsze tylko od skromnej ekipy Andalucíi.

Z mającą problemy w pierwszym tygodniu ekipą Liquigas Nibalego, ze słabnącym Antónem i z „Purito" przekonującym, że poważnie myśli o zwycięstwie, pierwsza część Vuelty zakończyła się „bombą" Katalończyka na La Covatilli i ponownie, jak rok wcześniej, w Peñafiel, oraz katastrofalnym

wynikiem w jeździe indywidualnej na czas w Salamance. Po czasówce liderem został Froome, który po następnym etapie oddał czerwoną koszulkę swojemu koledze Wigginsowi. Tymczasem nikt nie spoglądał na Juana Cobo, niewidzialnego pomocnika, lepszego od swoich liderów: Sastre, który był bez formy, i Mieńszowa, który bronił się, jak mógł. Cobo jechał w cieniu, ale wkrótce podniesie głowę, pokaże pazury i przedstawi swoją kandydaturę. W ekipie Geox coś się szykowało. „Matxin" miał asa w rękawie, widział coś, co dla reszty pozostawało niewidoczne. Ten niewyglądający na kolarza osobnik z ogoloną głową, z zawsze niedbale założonym kaskiem i w długich czarnych skarpetach, był w naprawdę dobrej dyspozycji, gotowy, by ożywić wyścig. O tym, że w Geoxie coś się szykuje, dowiedzieliśmy się, kiedy podczas 14. etapu, z przełęczą La Farrapona i Lagos de Somiedo, kazano zwolnić Davidowi de la Fuente. Był w ucieczce, miał szanse na wygranie etapu, rywalizując z Reinem Taaramäe, ale musiał zwolnić. Z tyłu wyskoczył właśnie Cobo, milczący pomocnik, gotowy, by przejąć stery w ekipie. Zaatakował niewiele ponad cztery kilometry przed metą, aby w klasyfikacji generalnej zbliżyć się do Wigginsa na 55 sekund.

„Postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Wiem, że Davidowi jest przykro, ale musieliśmy to zrobić, bo jeszcze nic nie jest rozstrzygnięte", tłumaczył uradowany „Matxin". Dyrektor sportowy usprawiedliwiał w ten sposób bardzo ryzykowną strategię, ponieważ zamieniał ewentualne zwycięstwo etapowe w pierwszym wielkim tourze w historii Geoxu (i zarazem ostatnie, bo po Vuelcie ekipa przestała istnieć) na coś, co było tylko marzeniem, wszak brakowało solidnych podstaw, na jakich można było oprzeć jakiekolwiek szanse Juana Cobo, zawsze jeżdżącego nieregularnie. „Myślimy tylko o zwycięstwie. Cobo jest naszym liderem", zapowiedział dyrektor ekipy,

podczas gdy David de la Fuente, spokojny, rodzinny i uprzejmy dla wszystkich Kantabryjczyk, oswajał się z tym, co właśnie się wydarzyło, gdy zaledwie kilka minut wcześniej zaprzepaścił swoje szanse na zwycięstwo. „To decyzje zespołu. Mam tylko nadzieję, że ekipa zrozumie poświęcenie, na jakie musiałem się zdobyć", powiedział dziennikarzom.

I to zagranie, które początkowo tak trudno było zrozumieć i obronić, wyszło „Matxinowi" fenomenalnie, bo zaledwie 24 godziny później, podczas 15. etapu, świat zrozumiał, co wydarzyło się poprzedniego popołudnia. W wielkim stylu, co potrafią robić tylko mistrzowie, Juan Cobo przywdział strój superbohatera, aby połknąć Angliru, aby upokorzyć Brytyjczyków, aby powiedzieć jasno i wyraźnie, że trzeba się z nim liczyć, że dał kuksańca depresji i na powrót jest takim kolarzem jak w 2008 roku. „Nie spodziewałem się tego. Chciałem atakować, bo dobrze się czułem, ale…". Ale wygrał etap, ruszając siedem kilometrów przed metą, na najcięższym odcinku. „Bizon" stanął na czele grupy najlepszych i ograniczył się do naciskania pedałów, do wyciskania wszystkiego, co najlepsze, ze swoich mięśni. Nie podniósł się z siodełka, mijając Wigginsa, który został w tyle. Tak jak Nibali. Tak jak wszyscy. Dościgнął Antóna, który jechał z przodu, i dopiero wtedy stanął na pedałach, wahając się, czy czekać na kolarza Euskaltel-Euskadi, który zaczynał cierpieć z powodu narzuconego przez niego tempa, czy jechać dalej. Zdecydował się na to drugie, na to, by wciąż mocno naciskać pedały swojego fuji – zrządzeniem losu tak właśnie brzmiał przydomek Igora Antóna.

Z tyłu Froome osłaniał Wigginsa, aż w końcu postanowił jechać sam. A z pojedynku jeden na jednego, Froome kontra Cobo, zwycięsko wyszedł ten drugi. We mgle, wśród rozemocjonowanych kibiców, Vuelta właśnie nabrała rumieńców. To był niesamowity atak. Kantabryjczyk został

liderem, 20 sekund tracił do niego Froome, a 46 Wiggins. „Był najmocniejszy. Kiedy zaatakował, myśleliśmy, że nie da rady, ale tak nie było. Czapki z głów", powiedział Froome po przekroczeniu linii mety, za którą głos zabrał także dumny ze swojego dokonania, bohater dnia: „To jest rekompensata za wszystkie złe chwile, jakie przeżyłem. Było warto".

Wsparcie ze strony jego rodziców, upór „Matxina", poświęcenie jego przyjaciela Davida de la Fuente. Wszystko, absolutnie wszystko, miało teraz sens. „To, co się stało na Angliru, było bardzo wzruszające", przyznał Cobo następnego dnia, dnia przerwy, w małej miejscowości w prowincji León, wspominając złe momenty z przeszłości. „Rower nie jest moją pasją, to moja praca, coś innego niż tamto, co czułem, gdy byłem dzieckiem. Lubię jeździć, ale nie tak bardzo, żeby całkowicie się temu poświęcać. A jeśli trzeba będzie to rzucić, zrobię to, bo mogę zajmować się czymś innym". Usiłował nie przywiązywać do swojego wyczynu dużej wagi. Cobo, mimo że mieszkał niedaleko, nie znał tej góry. „Chciałem tu przyjechać, żeby się z nią zapoznać, ale nie znalazłem odpowiedniego dnia", przyznał szczerze kolarz inny od wszystkich, człowiek, który miał niewiele wspólnego z pozostałymi członkami peletonu.

Do końca wyścigu zostało jeszcze sześć dni, łącznie z przełęczą Peña Cabarga, ale triumf, którego nikt się nie spodziewał, był coraz bliżej. Do historii przeszedł pojedynek Hiszpana z Froome'em w kantabryjskich górach. Brytyjczyk usiłował odebrać mu czerwoną koszulkę, ale kolarz Geoxu bronił się zębami i pazurami, najpierw zostając z tyłu, a później dościgając go *in extremis*. „Cierpiałem – przyznał Cobo. – Dziś dotarłem do mety w najgorszym stanie, a kiedy Froome zaatakował, myślałem, że Vuelta jest dla mnie przegrana. Próbowałem za nim jechać, ale było to niemożliwe". „Bizon"

ożył w samą porę. Jego rywalowi pozostała już tylko walka o bonifikaty, które jednak trafiły na konto Hiszpana. Na przedostatnim etapie Froome pomylił oznaczenie i finiszował nie w tym miejscu co trzeba. „Popełnił błąd", stwierdził lider, którego tylko jeden dzień dzielił od wygrania Vuelty w wieku 30 lat.

„To nagroda za wszystko", oznajmił rozemocjonowany „Matxin". Jego radość podzielał David de la Fuente, kolega z pokoju właściciela czerwonej koszulki: „Doskonale rozumiem, co stało się na Lagos de Somiedo, chociaż było mnie stać na zwycięstwo. Ale wygrana Juana jest czymś niesamowitym". Niesamowity był także widok licznych Kantabryjczyków i kibiców Cobo, którzy przyjechali do Madrytu, aby świętować jego sukces w centrum stolicy. I niesamowity był widok jego samego z uśmiechem na twarzy: „Nigdy jeszcze nie przeżyłem czegoś takiego i mam nadzieję, że dzięki temu triumfowi uświadomię sobie, co straciłem przez ostatnie półtora roku". Z dzielnicy La Pesa, leżąc całymi dniami w domu rodziców, do podniesienia trofeum za wygranie Vuelty przy Cibeles. Idealne zakończenie historii o pojedynku między lokalnym bohaterem a dwoma Brytyjczykami w barwach wszechpotężnej ekipy.

A po Vuelcie – pustka. Juan Cobo pokazał swoją wartość, po czym, zrywając z „Matxinem" i Geoxem, porzucił kolarstwo zaledwie miesiąc po wygranej w Vuelcie – i nie wykorzystując szansy, jaką dało mu Movistar, proponując kontrakt na dwa następne sezony. Nowa przygoda Cobo w ekipie Eusebio Unzué ograniczyła się bowiem do wystawnej prezentacji razem z powracającym do peletonu Alejandro Valverde w siedzibie Telefóniki i niewiele więcej. Presja doprowadziła go do szaleństwa i ostatecznie zepchnęła go do trzeciej dywizji kolarskiej. Zaledwie trzy lata po triumfie w Vuelcie ostatnie

kroki w karierze stawiał w nieznanej ekipie Torku Şekerspor. Tak wyglądał koniec tego osobliwego kolarza.

Nie był to jednak koniec jego historii. W 2019 roku Trybunał Antydopingowy UCI uznał, że w latach 2009–2011 Cobo złamał przepisy antydopingowe. W jego paszporcie biologicznym dopatrzono się anomalii, które wskazywały na stosowanie zabronionych substancji. Karą było pozbawienie go zwycięstw na Angliru oraz w klasyfikacji generalnej i kombinowanej Vuelty w 2011 roku i etapowej wygranej w tym wyścigu dwa lata wcześniej. Zawodnik nie odwołał się od tej decyzji.

„Dziadek”, który opychał się hamburgerami

Japończyk i hippis. Sportowiec bez diety i kolarz mający więcej żyć niż bohater gry wideo. Syn mechanika pracującego w amerykańskim wojsku. Młodzieniec bez zobowiązań, który ostatecznie się ożenił i został ojcem. Człowiek, który igrał ze śmiercią, nie tracąc uśmiechu. „Dziadek”, który sięgnął po chwałę, który stworzył historię i został najstarszym zawodnikiem triumfującym w wielkim tourze. Taki właśnie jest Chris Horner, Amerykanin, który urodził się na Okinawie, ponieważ tam z powodu pracy przebywał jego ojciec, sympatyczny zawodnik, który wywołuje uśmiech, gdy mówi po hiszpańsku, 20-latek, który marzył o tym, by zostać kolarzem, więc spakował swoje życie do kampera, aby zdobyć to, czego tak pragnął. Przemierzył Stany Zjednoczone od jednego wybrzeża do drugiego. Udał się do RPA, aby przypadkiem znaleźć prawdziwą przepustkę do kolarstwa. W Europie poniósł klęskę. Wrócił do USA. A później, ponownie na Starym Kontynencie, odnalazł szczęście.

Życie Chrisa Hornera, który – ku powszechnemu zaskoczeniu – wygrał Vueltę mając 41 lat i 11 miesięcy, to historia amerykańskiego chłopaka z miejscowości Bend, który urodził się w Azji i przez pierwsze cztery dekady przeżył tyle, że można by o tym napisać trylogię: jego beztroski sposób spędzania czasu, upadek w 2011 roku, który o mały włos posłałby go samolotem prosto do nieba, czy bakteria, która kilka lat po zwycięstwie w Vuelcie groziła mu zakończeniem kariery. Niewielu kolarzy ma w zanadrzu więcej ciekawych, wesołych i smutnych historii niż on. Urodził się w Japonii, dorastał w Oregonie, pracował jako robotnik dniówkowy, został

bezrobotnym, a rowery poznał dzięki naprawianiu ich w warsztacie. Pedałując, podbił Stany Zjednoczone, po czym wyjechał do Afryki w poszukiwaniu szansy w europejskim kolarstwie. Tam, podczas wyścigu w RPA, szczęśliwy traf sprawił, że podpisał kontrakt z Française des Jeux na sezon 1997. Alain Gallopin, ówczesny dyrektor francuskiej ekipy, wybrał się do Republiki Południowej Afryki, aby przyjrzeć się australijskiemu sprinterowi Badenowi Cooke'owi, ale zachwycił się tym chłopakiem z kucykiem i bródką. Chłopakiem, który wcześniej z wyścigu na wyścig jeździł po całej Ameryce kamperem (płacił za niego w ratach) razem ze swoim psem, żył za 20 dolarów tygodniowo i zatrzymywał się na stacjach, żeby pochłaniać hamburgery, pizze, cukierki czekoladowe, litry coca-coli i inne śmieciowe jedzenie, bo sam nie potrafił gotować.

Jednakże jego przygoda we Francji nie zakończyła się zbyt dobrze. Ekscentryczny Chris nigdy się nie przyzwyczaił do normalnego życia nad Sekwaną. Dla niego było tam nazbyt spokojnie i nazbyt zimno. Wytrzymał trzy sezony, po czym wrócił do domu. Ale w 2004 roku na powrót był w Europie. Wcześniej jednak poznał smak zwycięstwa, podbijając Langkawi, Georgię i San Francisco. Ale to nie wygrane ani wysoka forma przywiodły go z powrotem na Stary Kontynent; sprowadził go tutaj jego dawny znajomy z Française des Jeux, Mauro Gianetti, który po zakończeniu kolarskiej kariery został dyrektorem sportowym. Kiedy razem z „Matxinem" stworzył ekipę Saunier Duval, Scott, producent rowerów i jeden ze sponsorów, postawił warunek, że w drużynie musi jeździć zawodnik amerykański. Gianetti szybko przypomniał sobie o tym ekscentrycznym i sympatycznym hippisie, z którym kilka lat wcześniej dzielił ekipę. Zadzwonił do niego i zaproponował kontrakt. W Ameryce zrobiło się już za ciasno dla Hornera, który podczas swojego drugiego etapu w Europie, już w wieku

33 lat, natychmiast nawiązał przyjaźń z Hiszpanami z Sauniera, a było ich mnóstwo. Jego otwartość pasowała do osobowości lokalnych kolarzy, którzy po wywrotce Amerykanina podczas wyścigu Tirreno–Adriático w 2005 roku zaczęli go nazywać „Chiquito de la Calzada”[18]. Po złamaniu kości udowej Horner wrócił na rower, wciąż utykając, więc kiedy koledzy pytali, jak mu idzie, odpowiadał: „Nie mogę, nie mogę”, co w połączeniu z jego akcentem i wysokim głosem przyczyniło się do nadania mu tego pseudonimu. W barwach hiszpańskiej ekipy wygrał jeden etap wyścigu Dookoła Szwajcarii i zdobył brązowy medal szosowych mistrzostw Stanów Zjednoczonych.

Po dwóch sezonach w drużynie Gianettiego i „Matxina”, Horner podpisał kontrakt z Lotto, gdzie jeździł przez kolejne dwa lata, wygrywając jedynie etap w wyścigu Dookoła Romandii. W 2008 roku jeździł już dla innego lidera. Cadela Evansa zamienił na Alberto Contadora w Astanie, gdzie musiał słuchać również swojego rodaka Lance’a Armstronga. Razem z nim w 2010 odszedł do ekipy RadioShack. Tam nastąpiło odrodzenie Hornera, bo w barwach amerykańskiego zespołu triumfował w wyścigu Dookoła Kraju Basków, wygrywając kończącą go czasówkę i pokonując w klasyfikacji generalnej dobrze się zapowiadającego lokalnego idola Beñata Intxaustiego oraz takiego zawodnika jak Joaquim Rodríguez, a także znalazł się w czołowej dziesiątce samego Tour de France.

Zaledwie rok później, w 2011, był o krok od powtórzenia swojego wyczynu w Kraju Basków. Uniemożliwił mu to jednak jeden z jego kolegów, Niemiec Andreas Klöden, spychając Chrisa Hornera na drugie miejsce. W maju wygrał wyścig Dookoła Kalifornii, a w lipcu otarł się o śmierć wskutek upadku na Tour de France. Doznał wtedy wstrząśnienia mózgu i miał złamany nos, a później doszło do tego jeszcze złamanie dwóch

żeber i odma opłucnej. Niewiele brakowało, by jego serce się zatrzymało. „Myślałem, że umrę. Całe szczęście, że kolega szybko zawiózł mnie na pogotowie. Gdybym zwlekał dłużej, umarłbym", opowiadał Horner kilka lat po tym zdarzeniu. W 2014, kiedy trenował na północy Włoch, w pobliżu jeziora Como, przygotowując się do Wielkiej Pętli, potrącił go samochód. „Znajdowałem się w tunelu i z tyłu wjechało we mnie auto". Skutek: złamane cztery żebra i przebite płuco.

Ale lista mrocznych zdarzeń w życiu Chrisa Hornera jest znacznie dłuższa. Między końcem 2015 a początkiem 2016 roku jego kariera stanęła pod znakiem zapytania, kiedy Amerykanin nie czuł się dobrze i nawet najlepsi eksperci nie znajdowali powodu takiego stanu rzeczy. Podczas piątego etapu Tour de France w 2015 roku Horner zdał sobie sprawę, że coś jest nie tak, że jego ciało nie zachowuje się tak samo jak wcześniej. Myślał, że może ma to związek z wiekiem. Ale okazało się, że nie. Zawiniła pewna bakteria – *pseudomonas aeruginosa*, pałeczka ropy błękitnej. Dowiedział się o tym w październiku po przejściu licznych badań. „Wiedziałem, że w moim ciele działo się coś dziwnego. Miałem te same objawy co w przypadku astmy, przypominało to reakcję alergiczną, która nie pozwalała mi oddychać, ale to nie była astma", opowiadał Horner w wywiadzie dla „Business Insider". Pozbycie się tej bakterii wiele go kosztowało, ale w końcu udało mu się z tym uporać i mógł jeszcze kontynuować karierę – tym razem w barwach skromnego Lupus Racing Team, który przestał istnieć pod koniec sezonu. Wcześniej, w 2015 roku, przygarnęła go grupa Airgas-Safeway, natomiast w 2014 jeźdz ił w barwach Lampre-Merida i był to zarazem jego ostatni sezon w kolarskiej elicie, która w 2013 roku odkurzyła książki o historii, aby zrobić dla niego miejsce.

Kontrakt Chrisa Hornera z grupą RadioShack dobiegał końca, gdy los zgotował mu najlepszą niespodziankę. Hiszpania, kolejny raz Hiszpania, miała być scenerią jego wyczynu, i to wyczynu bez precedensu w światowym kolarstwie. W wieku 41, a właściwie prawie 42 lat, „Chiquito" postanowił zniszczyć wszelkie przewidywania dotyczące Vuelty 2013. Może była to sprawka czarownic (wszak wyścig rozpoczynał się na rampie w prowincji Pontevedra[19]), bo bardzo trudno jest znaleźć inne wytłumaczenie tego, co stało się pod koniec tamtego lata. Brakowało Contadora, Froome'a, Wigginsa i Quintany, ale startowała spora grupka zawodników, którym łatka faworytów jak najbardziej pasowała: Nibali, Valverde, „Purito", Urán oraz trio Samu-Antón-Nieve z Euskaltel-Euskadi, drużyny, która żegnała się z peletonem. Nie było nikogo tak odważnego, kto powiedziałby, że ten łysy hippis z nieodłącznym uśmiechem i ciałem staruszka też jest kandydatem do końcowego triumfu. Nawet wtedy, gdy trzeciego dnia pokazał się na Mirador de Lobeira, niewielkiej przełęczy z zaledwie pięciokilometrowym podjazdem, która prowadzi swoich gości aż do latarni, a po drodze raczy ich widokiem na morze. Kiedy nikt się tego nie spodziewał, 700 metrów przed metą Horner nacisnął pedały i już się nie zatrzymał. Ani razu nie siadając, jakby siodełko go parzyło. Z łokciami wystawionymi na zewnątrz, jakby nie potrafił jeździć na rowerze.

„Na każdym etapie jadę tak, jakby był ostatnim", powiedział Horner na mecie. Pokonał najlepszych, Valverde i „Purito", zaskoczonych na ich terenie. Pokonał wielkiego faworyta Nibalego, który jechał w czerwonej koszulce. Włochowi, który wiosną wygrał Giro, odebrał pozycję lidera. Co za szczęście – pomyślał sobie być może Vincenzo, z którego Amerykanin zdejmował ciężar bycia pierwszym, stania na czele peletonu na tak wczesnym etapie. „Sekret tkwi w pasji", podkreślał jak

zawsze uśmiechnięty Horner w strefie podium. Pomimo okazałego zwycięstwa i znakomitej formy wydawało się, że ze względu na jego dotychczasową karierę, zaawansowany wiek i z braku precedensu będzie go stać tylko na to, na wspaniały pierwszy tydzień i niewiele więcej, po czym zniknie wraz z kolejnymi etapami, kiedy ci naprawdę mocni zawodnicy stoczą walkę o klasyfikację generalną i odbiorą staremu Amerykaninowi palmę pierwszeństwa.

Ta teoria, której broniła większość i której prawie nikt nie śmiał podważyć, została wzmocniona 24 godziny później, kiedy tam, gdzie kończy się świat, na Finisterre[20], w samym sercu Wybrzeża Śmierci, Horner się pogubił i oddał koszulkę lidera jej poprzedniemu właścicielowi, tracąc do niego zaledwie kilka sekund. Ale „dziadek" był w walecznym nastroju i nie zajęło mu dużo czasu poproszenie o zwrot tego kawałka czerwonego materiału, który tak bardzo chciał założyć. Tym razem na południu, na trudnej przełęczy Hazallanas, już podczas dziesiątego etapu, pokazał na co go stać na ostatnich czterech i pół kilometrach (tego samego dnia pojawiła się informacja, że Fernando Alonso zostanie właścicielem Euskaltel-Euskadi, do czego ostatecznie nie doszło). Amerykanin przez kilkadziesiąt metrów – od momentu gdy Alejandro Valverde zwolnił – wahał się, czy nacisnąć pedały, czy nie. Odważny „The Hornet" (to inny jego pseudonim, bo kłuje jak osa) znalazł się na czele niewielkiej grupy faworytów, tuż przed nosem Ivana Basso, i nie przyspieszając ani gwałtownie nie zmieniając tempa, sukcesywnie się oddalał, aż rywale stracili go z oczu. Nikt nie mógł go dogonić. Horner odnió

„Nie jestem najmocniejszym góralem", przyznawał Amerykanin, choć wyglądało na to, że jest inaczej. Przynajmniej podczas tych pierwszych dziesięciu dni wyścigu. W tyle został już pierwszy tydzień niespodzianek, jak również wątpliwości

odnośnie do Hornera jako kandydata do zdobycia czerwonej koszulki, która tak dobrze pasowała do jego uśmiechu. A jeśli istniała jeszcze jakaś niepewność, wkrótce miała zostać rozwiana. Po zwinięciu mety na Hazallanas i dniu odpoczynku wyścig przeniósł się do Tarazony w Aragonii na czasówkę, która miała jeszcze bardziej wyklarować sytuację w klasyfikacji generalnej. Wprawdzie Horner stracił koszulkę lidera, lecz nie szanse, wszak w jeździe na czas spisał się całkiem nieźle. Zajmował teraz czwarte miejsce, tracąc niecałą minutę do Nibalego, który odzyskał kontrolę nad chaotyczną Vueltą.

„Chcę wygrać ten wyścig, mam siły jak młodzieniaszek. Marzę o tym, by zapisać się w historii", powiedział kilka dni później Horner, który jednodniowe przerwy wykorzystywał na to, by opychać się hamburgerami z McDonalda (jego ekipa pogodziła się z tym, że przegrała walkę z tą antysportową dietą). Wyszedł wzmocniony z Pirenejów i z następnego etapu na Formigal, gdzie Nibali się poddał, i przewaga Włocha nad kolarzem grupy RadioShack stopniała do 28 sekund. Twarz „Squalo", bledsza niż błękit jego Astany, mówiła wszystko. A zostały jeszcze Peña Cabarga, Naranco i straszliwa Angliru – końcowa seria emocjonującej Vuelty.

Pierwszy atak, na kantabryjską górę, nie udał się Nibalemu, który utrzymał koszulkę lidera z przewagą zalewie trzech sekund. Taką samą przewagę miał Horner następnego dnia po drugim ataku, na Naranco, gdzie stało się jasne, że Vuelta zaczynała się Włochowi mocno dłużyć. Zdobycie dubletu było już bardzo, bardzo trudne. „Dziadek" był teraz głównym faworytem. Ale Nibali nie miał zamiaru sprzedać tanio skóry. Nie musiał tego robić, ale walczył, jak na mistrza przystało. Mógł przecież oszczędzać siły. Mógł walczyć o bonifikaty. A jednak „Rekin" atakował raz za razem. Chciał wygrać Vueltę z dala od mety, jak prawdziwi mistrzowie. Oddając hołd

dawnemu kolarstwu, Vincenzo Nibali mocniej naciskał pedały raz, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Przy ostatnim dostał ostateczną odpowiedź. Vuelta należała już do Chrisa Hornera, który wciąż nie dotykał siodełka, który frunął i na Angliru był drugi, za uciekającym Kennym Elissonde, dwa razy od niego młodszym. Taki piękny jest ten sport.

„Mam nadzieję, że kibice dobrze się bawili podczas tego etapu, bo był on pełen ciągłych ataków i mogli przeżyć wyjątkowy moment, czyli zwycięstwo takiego kolarskiego weterana jak ja. To, co się tutaj stało, być może już nigdy się nie powtórzy", powiedział dumny Amerykanin ze swoim charakterystycznym uśmiechem. A przecież w 2013 roku nie jeździł przez trzy miesiące z powodu kontuzji kolana, która jego dalszą karierę postawiła pod znakiem zapytania. „Kiedy odniosłem kontuzję, mój 12-letni syn zapytał, co zrobię, czy zakończę karierę, czy będę nadal jeździł. Odpowiedziałem, że się nad tym zastanawiam, ale dał mi jasno do zrozumienia, że za nic w świecie nie chce, bym rozstawał się z kolarstwem, że chce pójść do szkoły i wciąż móc mówić kolegom, że jego ojciec jest zawodowym kolarzem. To przekonało mnie do kontynuowania kariery – przyznał Horner, mąż Megan i ojciec trójki dzieci. – Przez cały wyścig myślałem o tej rozmowie z moim synem i sądzę, że to dało mi mnóstwo dodatkowej energii, abym osiągnął to, co osiągnąłem".

Niewielki wysiłek w ciągu całego sezonu okazał się kluczowy dla wyjaśnienia jego niewyjaśnionego zwycięstwa. Horner zapisał się w historii, wygrywając Vueltę z przewagą 37 sekund (na podium obok niego stanęli Nibali i Valverde). To był przełomowy moment, ponieważ amerykański kolarz został najstarszym triumfatorem trzytygodniowego wyścigu w historii, pokonując pod tym względem Firmina Lambota, który wygrał Tour de France w 1922 roku w wieku 36 lat,

Fiorenzo Magniego, który triumfował w Giro w 1955, mając 34 lata, oraz Toniego Romingera, który zwyciężył w Vuelcie w 1994 w wieku 33 lat. „A teraz jestem nie tylko najstarszym triumfatorem wielkiego touru, ale także pierwszym Amerykaninem, który wygrał Vueltę. Nie potrzebuję wcale czasu, żeby to do mnie dotarło. Wiek i doświadczenie pozwalają mi uświadomić sobie, ile mnie to wszystko kosztowało. Praca, wysiłek i pasja doprowadziły mnie do tego miejsca. Od dłuższego czasu próbowałem osiągnąć coś takiego. Teraz chcę się tym cieszyć".

Szczęśliwy Horner uśmiechał się w Madrycie częściej niż kiedykolwiek wcześniej, ale następnego ranka zmarszczył brwi, kiedy media podały informację, która wyszła od organów antydopingowych i nie zapowiadała nic dobrego. Amerykańska Agencja Antydopingowa (USADA) poprosiła agencję hiszpańską (AEPSAD), by ta wykonała testy zwycięzcy Vuelty. Nie zastano go jednak we wskazanym miejscu o wskazanej porze. W madryckim hotelu ekipy RadioShack nie było po nim śladu. Ani pod nowym adresem, jaki wskazał „wampirom" lekarz amerykańskiej drużyny. Na scenie znowu pojawiła się mroczna strona kolarstwa. Okazało się jednak, że był to fałszywy alarm. USADA przyznała, że to jej wina, ponieważ kolarz powiadomił uprzednio o zmianie adresu, ale zapomniano przekazać go swoim odpowiednikom w Hiszpanii, którzy nie znaleźli najstarszego mistrza, Chrisa Hornera, który jest jak dobre wino. Gran reserva.

Wyczyn Fabio

To, co na początku wydawało się oczywiste, ostatecznie się nie wydarzyło. To, co wydawało się oczywiste później, też nie. A to, co wydawało się niemożliwe – i owszem. Bo na początku faworytami byli ci najważniejsi zawodnicy Vuelty 2015: Chris Froome, Nairo Quintana, Alejandro Valverde, Vincenzo Nibali i Joaquim Rodríguez, ze wszystkimi swoimi zwycięstwami i życiorysami. To, co było oczywiste później, to niemal pewne ostateczne zwycięstwo kolarza, po którym się tego nie spodziewano: Holendra Toma Dumoulina. A to, co niemożliwe, to odwrócenie losów Vuelty w wykonaniu młodego Włocha o uprzejmym spojrzeniu, Fabio Aru, który rozpoczynał wyścig w drugim rzędzie faworytów. Pewnego wrześniowego dnia w podmadryckich górach przekreślił on szanse Dumoulina, który do owego momentu sprawiał wrażenie niepokonanego.

To, co wydarzyło się podczas tamtej edycji wyścigu, wydawało się nierealne, kiedy Vuelta startowała z Puerto Banús, pośród jachtów, luksusowych samochodów i złota. Wtedy w Marbelli prawdopodobnie nikt, ani kolarze, ani dyrektorzy sportowi, ani dziennikarze, ani kibice nie przypuszczali, co stanie się na trasie wyścigu w ciągu najbliższych trzech tygodni. Żaden plan się nie powiódł. Bo jak miał się powieść, skoro nawet pierwszy etap, czasówka po plażach miasta pełnego blichtru, odbył się na marne. Z powodu niebezpiecznej trasy czasy uzyskane przez ekipy nie zostały wliczone do klasyfikacji generalnej. Dziwny początek jeszcze dziwniejszej Vuelty, która dalej korzystała ze słońca i morza, z tego raju na ziemi zwanego Costa del Sol. Ale tam też straciła jedną ze swoich gwiazd. Nibali bezczelnie chwycił się

samochodu swojej ekipy, który wyciągnął go z grupy – gdzie znalazł się po kraksie – aby doprowadzić go do peletonu. Był to zbyt odważny ruch, zarejestrowany przez telewizyjny helikopter, który kosztował kolarza wykluczenie z wyścigu. Z tego wrześniowego egzaminu, do którego przystąpił ku udręce swojego kolegi Fabio Aru. Ten nie chciał być pomocnikiem, chciał walczyć o czerwoną koszulkę.

„Vincenzo postanowił podczas Tour de France, że Vuelta będzie jego kolejnym celem. We Francji mu nie wyszło, więc chce sobie to zrekompensować" – mówił Giuseppe Martinelli, dyrektor sportowy Astany i szef obydwu kolarzy. – Oczekuję od niego wielkich rzeczy, ale wie on też, bo mu o tym powiedziałem, że celem ekipy jest wygranie Vuelty z Fabio Aru. Nie będzie pomocnikiem, ale wie, że Fabio jest naszym głównym aktorem. I nie zapominajmy, że mamy jeszcze Mikela Landę". Martinelli chciał przekazać Aru, że ekipa ma do niego pełne zaufanie. Włoch, dobrze wychowany i sympatyczny chłopak z rocznika '90, stawał na podium dwóch ostatnich edycji Giro; w 2014 roku lepsi od niego byli tylko dwaj Kolumbijczycy, Nairo Quintana i Rigoberto Urán, a w 2015 – Alberto Contador. Jego wartość rosła, a i w Vuelcie radził sobie całkiem nieźle, ponieważ w swoim debiucie rok wcześniej zajął piąte miejsce i wygrał dwa etapy.

Już bez Nibalego na polu walki, począwszy od trzeciego etapu (który w rzeczywistości był drugim po neutralizacji drużynowej czasówki), Fabio Aru wziął na siebie cały ciężar odpowiedzialności za Astanę. Zadanie było trudne, wszak musiał pokonać Froome'a i Quintanę, a także tych dwóch Hiszpanów, którzy za każdym razem, gdy widzieli ściankę, mocniej naciskali pedały. Miał świadomość, że powinien szybko zaznaczyć swoją obecność, przestraszyć rywali już na początku, aby wiedzieli, że poważnie myśli o zwycięstwie, że jest bardzo

mocny. I już w pierwszym tygodniu był bliski zwycięstwa, na siódmym etapie, akurat wtedy, gdy zaczynał cierpieć wszechpotężny Froome. Brytyjczyk jednak szybko odżyje, zaledwie dwa dni później, podczas dziewiątego etapu, kiedy pokaże się również Holender Tom Dumoulin. Kolejny z rocznika ’90. Kolejny obiecujący kolarz. Obydwu, Fabio i Toma, łączyło tylko tyle, ponieważ są zupełnie odmiennymi zawodnikami. Włoch jest szczupłym góralem, a Holender korpulentnym puncherem. Pierwszy kocha góry, drugi uwielbia płaski teren i długie, niekończące się czasówki. Pierwszy kocha kolarstwo ofensywne, bazujące na atakach, drugi marzy o jeździe defensywnej, o spokojnych etapach z kalkulatorem w ręce. Pierwszy bardziej przypominał Alberto Contadora, swojego wielkiego idola, lustro, w którym się przegląda, drugi był bardziej jak Miguel Indurain, walec drogowy. Tak różni, tak samo dobrzy.

Podczas agresywnego sprintu Dumoulin pokonał Froome’a na Cumbre del Sol, kolejnej trudnej, typowej dla Vuelty przełęczy z widokiem na Morze Śródziemne. Nawet „Purito” nie wytrzymał tego ataku. Ani Valverde. Ani aspirujący do końcowego zwycięstwa Aru. Dumoulin zdobył czerwoną koszulkę, ale nie miał wystarczająco dobrej ekipy, aby utrzymać się na pozycji lidera, ani dokonań, żeby myśleć o nim jak o faworycie. Pierwsze miejsce stracił w Andorze, w górach. Na Cortals d’Encamp, mecie tamtego 11. etapu, triumfował Mikel Landa, kolega Aru, na papierze pomocnik, ale o walecznym sercu. „Jechałem dla siebie”, powiedział później Bask, zawodnik stworzony do wyczynów, do kolekcjonowania wielkich dni.

Andora pokonała Froome’a, któremu etap mocno się dłużył, nie wytrzymał tempa rywali i zaliczył wywrotkę, zanim jeszcze walka na dobre się rozpoczęła, na trzecim kilometrze. Andora pokonała Quintanę, który nie był w formie. Andora poradziła

sobie z wieloma, ale nie z Tomem Dumoulinem, który wprawdzie oddał koszulkę lidera, ale nie zaprzepaścił swoich szans w klasyfikacji generalnej. Na przekór wszelkim prognozom, niszcząc opinie ekspertów, Holender wyszedł wzmocniony z terenu, na którym chciano go pogrzebać. A na dodatek sytuacja przedstawiała się teraz dokładnie na odwrót. Czasówka w Burgos, siedem dni później, zwiększała jego szanse na zwycięstwo. Naprawdę pokazał, że trzeba się z nim liczyć.

Pierwsza część Vuelty przeszła już do historii. I nic nie wyglądało tak, jak podpowiadała logika w Puerto Banús. Właścicielem czerwonej koszulki był Aru, mający niecałe pół minuty przewagi nad „Purito" i dokładnie pół minuty nad niesamowitym Dumoulinem, którego teraz wskazywano jako wielkiego faworyta wyścigu. Rozglądał się dookoła, obserwował swoich rywali i się uśmiechał. Cóż za drobne ciała. Cóż za szczupłe sylwetki – tak typowe dla górali. Cóż za chude nogi. Cóż za wąskie plecy. A on taki duży, z potężnymi mięśniami, o posturze specjalisty od czasówek.

Fabio Aru dobrze wiedział, że musi atakować i atakować, żeby zdobywać przewagę, a „Purito" wiedział, że tylko jakaś hekatomba zapewniłaby mu zwycięstwo w Vuelcie – pierwszym i zasłużonym wielkim tourze – która była dla niego tak okrutna w drodze na Fuente Dé pewnego feralnego letniego dnia nie tak dawno temu. Katalończyk wiedział, że musi wyrywać sekundy, aby zyskiwać minuty, które zapewniłyby mu wystarczający kapitał, by ujść z życiem z Burgos, z tej prawie 40-kilometrowej czasówki, konkurencji, której nie cierpiał. „Purito" wygrał w Sotres i miał już tylko sekundę straty do lidera Aru, który czuł na plecach jego oddech i który wykorzystał tamten tryptyk złożony z asturyjskich i kantabryjskich gór (Fuente del Chivo, Sotres i Ermita del Alba), aby oddalić się od swojego głównego rywala Dumoulina, który owszem, tracił, ale jeszcze się nie

poddawał. Na tych trzech etapach Holender oddał prawie półtorej minuty. To dużo czasu, ale nic w porównaniu z tym, czego spodziewali się wszyscy ci, którzy byli przekonani o jego słabości na podjazdach. Po tym ostatnim, pod Ermita del Alba, liderem został „Purito" Rodríguez, który – jako że nie wygra także tej Vuelty – przynajmniej do następnego etapu, po dniu przerwy, przystępował w czerwonej koszulce. A tym etapem była czasówka. Wielki dzień.

Wydawało się, że Tom Dumoulin zniszczy swoich drobnych rywali. Rozniesie wszystkich. Że przypieczętuje swoje zwycięstwo w Vuelcie, której zostały jeszcze cztery etapy: dwa pagórkowate (Riaza i Ávila), jeden prawdziwie górski (Cercedilla) oraz przejażdżka po Madrycie. I owszem, wygrał Dumoulin. Owszem, został liderem. Ale nie zniszczył rywali. I oczywiście nie przypieczętował swojego zwycięstwa w wyścigu. Fabio Aru stanął na wysokości zadania. I to jak. Wprawdzie przegrał walkę o pierwsze miejsce, ale zaledwie o trzy sekundy. Pokonawszy ból żołądka, na który skarżył się w Asturii, lider Astany przygotowywał się, aby stawić czoła końcowym etapom wyścigu.

Próbował raz i drugi w Riazie, na podjeździe pierwszej kategorii 13 kilometrów przed metą w dniu, w którym atakował nawet Dumoulin. I potknął się w Ávili, gdzie na podjeździe drugiej kategorii, 19 kilometrów przed metą, Holender z Giant-Alpecin wyskoczył z peletonu i dogonił zdezorientowanego Włocha, który oddał kolejne trzy sekundy. Było więc już między nimi sześć sekund różnicy. Niby niewiele, a jednak dużo. O zwycięzcy miała zdecydować podmadrycka góra.

Tego pamiętnego dnia Fabio Aru przywdział garnitur podziwianego przez siebie Contadora i odwrócił losy Vuelty 2015. „Od Alberto nauczyłem się tego, że zawsze trzeba atakować, że prawie nigdy nie wolno czekać", opowiadał

później Włoch. W przebraniu „Pistolero” lider Astany przygotował zasadzkę, w jaką złapał się jego rywal, Tom Dumoulin, który został znokautowany. Kalkulujący, niezniszczalny kolarz został upolowany. Uśpiony przez żwawego Aru, który wykończył Holendra podczas idealnego etapu, takiego jak w dawnych czasach, etapu, na jaki stać tylko kogoś takiego jak Contador.

Wyścig przebiegał spokojnie na podjeździe pod przełęcz La Morcuera, przedostatniej wspinaczce dnia, kiedy porządek został zakłócony za sprawą odwagi Aru, którego bolał bok po wywrotce w drodze do Ávili 24 godziny wcześniej, ale zapomniał o wszystkim, gdy tylko Mikel Landa zaczął atakować. Zostało zaledwie półtora kilometra, aby dostać się na szczyt przełęczy, aby Dumoulin mógł odetchnąć. Jednakże, kiedy nie powinien osłabnąć, kolarz Giant-Alpecin uległ potędze zawodników w błękitnych strojach. Samotny, bez ekipy, z przyspieszonym biciem serca, z bladą twarzą, z opuchniętymi nogami. Pogrążony. Zniszczony przez strategię Astany, która spowolniła Luisa Leóna Sáncheza i Andrieja Zejca, tak idealnych na zjazd i późniejszy płaski teren aż do Cotos, tak idealnych do tego, aby groźny Landa mógł złapać oddech.

Fabio Aru, który zdobył prawie czterominutową przewagę nad Tomem Dumoulinem (Holender ukończył wyścig na szóstym miejscu, poza podium, gdzie znaleźli się „Purito” i Rafał Majka), wygrał Vueltę w wielkim stylu, tak jak wielcy. Jak jego idol. „Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co osiągnąłem – powiedział po swoim wyczynie. – Ekipa spisała się na medal. Wszyscy. Ci, którzy byli w ucieczce, ci, którzy jechali ze mną w peletonie, a przede wszystkim Mikel, który był genialny – ciągnął Aru, który nie szczędził też komplementów przegranemu: – Dumoulin pokazał, że jest wielkim kolarzem i że w przyszłości może powalczyć o zwycięstwo w wielkich

tourach. Gratuluję mu wszystkiego, co zrobił w tym wyścigu". Dżentelmen przed mikrofonami, skromny chłopak, który rower odkrył dlatego, że był on jego środkiem transportu, kiedy jeździł grać w tenisa i w piłkę nożną, i który chciał wyrobić sobie nazwisko w kolarstwie przełajowym. Jego koledzy z reprezentacji mówili mu jednak, że może być dobrym góralem, że powinien zająć się kolarstwem szosowym, że tam będzie wygrywał. Mieli rację.

Pomysły Alejandro

Genialny. Niepowtarzalny. Alejandro Valverde, skromny, sympatyczny żartowniś z Las Lumbreras w prowincji Murcja, jeden z najbardziej utalentowanych zawodników w historii hiszpańskiego i światowego kolarstwa, jest inny niż wszyscy ze względu na styl jazdy. Z uwagi na ofensywny sposób pojmowania tego sportu, swoją pasję, tę samą, która tak wiele mu dała i tyle samo odebrała. A także ze względu na swój sposób bycia. Ze względu na to, że rozumie, jak powinna zachowywać się gwiazda, nie odrywając stóp od ziemi i nie uważając się za Bóg wie kogo.

Alejandro jest gwiazdą bez przechwałek, jednym z tych kolarzy, którzy urodzili się z darem zadziwiania ludzi, z umiejętnością wywoływania u dziennikarzy pustki w głowie, kiedy muszą opowiedzieć o jednym z jego ponad 100 zwycięstw, zmuszając ich do sięgnięcia po cenne listy synonimów. Tych zwycięstw ma tyle, że naprawdę brakuje przymiotników na ich opisanie. Taki jest Alejandro, bohater cieszący się powszechnym uznaniem, człowiek, który po zejściu z roweru jest tak samo podziwiany jak wtedy, gdy pedałuje, maltretując swoje mięśnie, niszcząc rywali. Nigdy się nie spieszy. Zawsze ma czas na rozmowę, na autograf, na wywiad, na sesję zdjęciową. Dobre wychowanie, podobnie jak klasa, to jego znak rozpoznawczy.

Mając na koncie wygraną Vueltę, pięć wyścigów Strzała Walońska, cztery Liège–Bastogne–Liège, dziewięć podiów w wielkich tourach, siedem medali mistrzostw świata, Valverde mógłby pomyśleć, że jest z innej planety, ale tego nie robi. Cztery razy był najlepszy na świecie, był bohaterem dziesiątek

wyczynów wszelkiego rodzaju. Poznał najprzyjemniejszą, najładniejszą stronę kolarstwa, ale też tę najbardziej nieludzką i okrutną. A jednak, z workiem pełnym chwały i powodów, aby być introwertycznym i antypatycznym, Alejandro Valverde prawie dwie dekady po swoim debiucie, wciąż jest taki sam, identyczny jak pierwszego dnia. I kibice są mu za to wdzięczni. Są wdzięczni, że gwiazda wcale nie zachowuje się jak gwiazda. Że kiedy wygrywa, nie pyszni się, choć miałby ku temu powody. Że kiedy przegrywa – nie staje się grubiański.

Od jego debiutu w Vuelcie minęła już cała wieczność, ale wydaje się, jakby to było wczoraj, kiedy kolarski świat mówił o tym chłopaku z Murcji, który miał zadatki na wielkiego zawodnika. Nie był góralem. Nie był sprinterem. Nie był specjalistą od wyścigów klasycznych. Nie był też czasowcem. A mimo to zwyciężał: wspinając się jak góral, finiszując jak sprinter, wygrywając wyścigi klasyczne i jazdy na czas. Był Eddym Merckxem nowego stulecia. Współczesnym „Kanibalem". Pucołowatym chłopcem, którego nazywano „Niepokonanym", ponieważ od najmłodszych lat kolekcjonował trofea. Był najlepszy w każdej kategorii wiekowej. „Myślę, że ta moja umiejętność wygrywania wszelkiego rodzaju wyścigów jest genetyczna, że wszystko to mam po ojcu, który jest wyjątkowy. Kiedy on zaczął brać udział w wyścigach weteranów, od razu wygrywał. Tak samo jak ja, chociaż w moim pierwszym wyścigu, w Jumilli, byłem drugi. A mój brat, który też jeździ na rowerze, robi to samo: wygrywa", opowiadał Valverde na łamach „El País" w jednym z pierwszych wywiadów, w 2003 roku, w swoim drugim sezonie jako zawodowy kolarz.

Był wtedy zawodnikiem Kelme, ekipy wojowników, gdzie funkcję dyrektora sportowego pełnił Vicente Belda, który zwerbował go kilka lat wcześniej, zachwyciwszy się nim, gdy

jeździł w amatorskiej drużynie Banesto. Podkradł go, obiecując młodemu zawodnikowi, że zostanie prawdziwym kolarzem, i zapewnił go, że trafi do zawodowego peletonu. Przekonało to Alejandro, który był już zmęczony jeżdżeniem w każdy weekend do Pampeluny, aby tam rywalizować. W 2002 roku Belda, zgodnie z obietnicą, przeniósł go do zawodowej drużyny i dał mu szansę debiutu w Vuelcie. Aby mógł ją poznać, aby zaczął się oswajać z narodowym wyścigiem. A 365 dni później Valverde pokazał już, na co go stać. Mając zaledwie 23 lata, wygrał dwa etapy, na Envalirze i La Panderze, i ostatecznie stanął na najniższym stopniu podium obok Roberto Herasa oraz, co było zaskoczeniem, Isidro Nozala. Była to tylko przygrywka do tytułu wicemistrza świata, który zdobył niedługo potem.

„Jego kieszenie nie mają dna. Każdego dnia prosimy go, żeby zdobył się na jeszcze większy wysiłek, żeby spróbował wygrać coś jeszcze, a on nigdy nam nie odmawia, przeszukuje kieszenie i zawsze coś nam oferuje. Nie ma drugiego takiego jak on”, powiedział José Luis Laguía, dyrektor sportowy Kelme, dziennikarzowi Carlosowi Arribasowi po tamtej fantastycznej Vuelcie w 2003 roku, podczas której największa perła ekipy przedstawiła się kibicom. Wygrywając i zachwycając. „Valverde nie jest na sprzedaż. Nawet jeśli ktoś przyszedłby do nas i zaoferował półtora miliona euro, i tak byśmy go nie sprzedali”, zapowiadał Belda, kiedy spadek z dywizji groził rozwiązaniem ekipy. Wszyscy chcieli pozyskać jego zawodnika, który w Kelme (przemianowanym na Comunitat Valenciana) spędził jeszcze jeden sezon, 2004, kiedy niewiele zabrakło, aby znów stanął na podium trzeciego wielkiego touru w kalendarzu. Wyścig zakończył na czwartym miejscu, dorzucając jeden wygrany etap.

„Wszyscy zobaczyli przyszłość kolarstwa”, stwierdził sam Lance Armstrong kilka miesięcy później, latem 2005 roku, kiedy Hiszpan pokonał go w jego wyścigu, na jego terenie. Courchevel, w niezmierzonych i pięknych Alpach, był świadkiem zmiany, o jakiej mówił Amerykanin. „Przyszłością jest Valverde, który jest mocny, szybki, inteligentny, jeździ w świetnej ekipie i zawsze był bardzo dobry, od pierwszego dnia i od pierwszego wyścigu”, dodał kolarz walczący o swój siódmy triumf w Tour de France, który ostatecznie odniósł, lecz jakiś czas później został wymazany z historii kolarstwa. Armstrong nie miał jednak na myśli ekipy Vicente Beldy, lecz zespół José Miguela Echavarriego i Eusebio Unzué, w którym wcześniej jeździli także Ángel Arroyo i Julián Gorospe, Pedro Delgado i Miguel Indurain, „Chava” Jiménez i Abraham Olano. W 2005 roku Valverde podpisał kontrakt z Illes Balears, czyli późniejszą Caisse d’Epargne, która po kilku latach została przemianowana na Movistar.

Z Echavarrim, a przede wszystkim z Unzué, Alejandro nauczył się dozować wysiłek, szlifować swój profil wielkotourowca, zwracać uwagę na nogi i obserwować oddech, przestał tracić energię niczym junior, żeby sprawdzać, czy jego rywale są zmęczeni. Eusebio dużo to kosztowało, ponieważ talent Valverde jest naturalny, a nie wytrenowany. Ma swoje zalety – i to dużo, lecz także wady, z typowym dla niego słabszym dniem podczas wielkich tourów, gdy zaprzepaszcza swoje szanse i przyprawia o ból głowy swoich szefów. W 2005 roku zadziwił na Tour de France, ale ostatecznie musiał się wycofać, ponieważ bolało go kolano, nie pozwalając mu pedałować jak należy i zagrażając jego zdrowiu. Wycofał się ze swojej pierwszej Wielkiej Pętli i musiał zrezygnować ze startu w Vuelcie, na którą wrócił rok później, w 2006. Wyścig ten rozpoczął się w tak dziwny sposób, że aby go zrozumieć,

należałoby przygotować szczegółowy podręcznik. Faworytem był Denis Mieńszow, drugi w ostatniej Vuelcie, któremu ostatecznie przypadł tytuł po pozytywnym wyniku antydopingowym Roberto Herasa (po latach dostanie go z powrotem). Był też drugi kandydat, Óscar Pereiro, który znalazł się na drugim stopniu podium na Polach Elizejskich, ale odliczał dni, aby w końcu dostać żółtą koszulkę, nagrodę potwierdzającą, że to on jest zwycięzcą Tour de France[21].

Mieńszow i Pereiro byli dwoma najbardziej wyróżniającymi się zawodnikami hiszpańskiego sierpnia. Żaden jednak nie miał przewagi u bukmacherów. Alejandro Valverde, już 26-letni, wyleczony po feralnym upadku w ostatnim Tour de France, gdzie też był głównym faworytem, marzył o wygraniu swojego pierwszego wielkiego touru. Ale w tamtym roku startowali również inni wielcy: Carlos Sastre, któremu nie brakowało regularności, nieprzewidywalny Samuel Sánchez oraz groźny Aleksandr Winokurow. „Vueltę wygra Alejandro, ponieważ jest najmocniejszy. Gdyby nie wywrotka, wygrałby Tour de France, bo już wtedy był najlepszy", zapowiedział Pereiro, jego kolega z drużyny, który doskonale wiedział, jaki poziom prezentował Valverde we Francji miesiąc wcześniej. Galisyjczyk był optymistą, bo kolarz z Murcji zdążył się wykurować w ostatniej chwili. „Chciałbym wziąć udział w Vuelcie, ale w mojej obecnej sytuacji nie widzę się tam", ubolewał Valverde kilka tygodni przed wyścigiem.

Ale wykurował się na czas, żeby walczyć jak nigdy przedtem. Jak zawsze. Wydawało się, że obecność Óscara Pereiro w ekipie Caisse d'Epargne przynosiła ulgę „Balaverde", którego zżerała presja. I szybko się można było o tym przekonać. Siódmego dnia, na El Morredero, na dachu Ponferrady, na zdradzieckiej przełęczy z trudnymi ściankami i odcinkami, które będąc tak łagodne, w rzeczywistości są niebezpieczne, Valverde kolejny

raz pokazał, że może wygrywać, gdzie chce, jak chce i z kim chce. Zwyciężył w tak pięknym stylu, z taką klasą, że nawet taki wyjadacz jak Echavarri, znawca kolarstwa, który widział już wszystko, który miał pod swoimi skrzydłami dzielnego „Perico" Delgado i genialnego Induraina, był zaskoczony i zdumiony tym, co właśnie zobaczył. Jego lider wzruszył go jak nowicjusza. Jego i wszystkich tych, którzy byli świadkami – czy to z samochodu, z siodełka roweru, czy z kanapy przed telewizorem – sceny, jaka na zawsze już pozostanie w uprzywilejowanym miejscu w naszej pamięci.

Alejandro próbował zaatakować dziewięć kilometrów przed szczytem, ale popełnił błąd. Wtedy w grupie najlepszych zapanował spokój. Wszyscy na siebie patrzyli. Wszyscy się pilnowali. Skoro zawiódł najlepszy, ten najmocniejszy, to ciekawe, kto odważy się teraz ruszyć. Walka o klasyfikację generalną popadła w zapomnienie i na pierwszy plan wysunęła się rywalizacja o zwycięstwo etapowe. Połasił się na nie Winokurow, Kazach, który osłabł na pierwszym górskim etapie tej edycji, z metą na La Covatilli, gdzie stracił aż dwie i pół minuty. Lider Astany miał przewagę i wydawało się, że zwycięstwo należy już do niego, ponieważ z tyłu nikt nie kwapił się do ataku: 400 metrów. 300, 250. I wtedy w głębi coś zaczyna się ruszać. To Valverde, który postanawia ruszyć i zaczyna finiszować tuż przed samą metą. 200 metrów. Jednak wciąż wydaje się, że etap wygra Winokurow, który się nie męczy, który nadal ma wystarczającą przewagę. 150. Hiszpan zbliża się niczym pocisk, niczym górski sprinter. I zjada Kazacha. Połyka. Alejandro Valverde kradnie zwycięstwo temu, który później będzie jego największym wrogiem, bezlitosnym katem.

Był to jeszcze jeden pokaz tego, co skrywał jego organizm. W peletonie od lat nie było nikogo takiego jak on. Kanibal. Kolejny. Wszystko wychodzi mu tak łatwo, że wydaje się takie

proste. Rywalizuje z równymi sobie, ale zmusza do myślenia, że oni należą do innej kategorii, zdecydowanie niższej. Dorosły kontra dzieci. Alejandro jest wyjątkowy. Śnieżnobiałą koszulkę lidera klasyfikacji UCI zamienił na złotą koszulkę Vuelty. Zostało jeszcze mnóstwo etapów, ale „Bala" był w znakomitej formie, a u niego jest to synonimem radości. Ale… na jego drodze stanęła Granada. Jego zwyczajowy słabszy moment pojawił się w drodze do Alhambry, na błyskawicznym zjeździe z Monachil, na zboczu Sierra Nevada. Winokurow wybrał 17. etap, aby torturować biednego Hiszpana, który odpowiedział na pierwszy cios, zadany mu przez lidera Astany jeszcze na podjeździe, ale został powalony przy drugim, definitywnym, odwracającym losy Vuelty, choć wydawało się, że wszystko było już przesądzone.

Valverde stracił energię, aby nie wpaść w pierwszą pułapkę Astany, był więc zbyt zmęczony, aby stawić czoła drugiej. Winokurow razem z Kaszeczkinem, innym Kazachem, doprowadzili lidera do szaleństwa. Kiedy w końcu udało mu się ich doścignąć, na samym początku zjazdu, ryzykując życiem, „Wino" go wykończył. Z rozpiętą koszulką, by nie tracić ani sekundy, nie odzyskawszy jeszcze oddechu po wysiłku włożonym w pokonanie ostatniego odcinka podjazdu, Valverde zapłacił za wszystko. Dogonił ich, aby na powrót stracić z oczu Winokurowa, który cieszył się męką Hiszpana. Po raz pierwszy od bardzo dawna „Niepokonany" Valverde, samotny, zagubiony i pogrążony, był znokautowany. To, że nie zapiął koszulki przed zjazdem, na co raz i drugi nalegał Pedro Delgado na antenie TVE, było ostatnim błędem Valverde, któremu tego dnia nic nie wychodziło. Kilka kilometrów dalej, w centrum Granady, nad brzegiem rzeki Darro, nie był już liderem.

Stracił koszulkę o dziewięć sekund, ale dystans był już najmniej istotny. „Najważniejsze jest morale, odbudowanie

morale”, mówił Eusebio Unzué, któremu w środku walki zepsuł się telewizor, podobnie jak wcześniej Valverde popsuły się słuchawki. Okrutny los ostrzegał, że ma zamiar się na nich zawziąć. „Tutaj chodzi o to, by atakować, atakować i atakować”, chwalił się wielki wygrany dnia, niestrudzony Winokurow, który przesądził o losach wyścigu między La Panderą, na ostatnim górskim etapie, a czasówką przedostatniego dnia na przedmieściach Madrytu. Ostatecznie Valverde zdołał utrzymać się na podium uwięziony między Kazachami.

„Bala” przegrał Vueltę na zjeździe, na terenie tak bardzo znienawidzonym przez drobnego i upartego Jeana Robica, który dźwigał w kieszeniach obciążniki, aby móc szybciej zjeżdżać; na terenie, na którym swoje szanse zaprzepaścił Luis Ocaña podczas Tour de France w 1971 roku. Valverde stracił złotą koszulkę, lecz nie utracił nadziei, że w końcu wygra trzytygodniowy wyścig. Ponownie próbował we Francji i w Hiszpanii. Na Vueltę wrócił dwa lata później, w 2008, kiedy prosił, aby nie nakładać na niego więcej presji, aby wszyscy zapomnieli o jego szansach w klasyfikacji generalnej. „Nie można wymagać ode mnie walki o generalkę”, mówił Valverde, który postawił sobie za cel wygranie jednego etapu. Jednak jego cele zazwyczaj są dla niego zbyt małe. Już drugiego dnia wyścigu podniósł ręce w geście triumfu i założył złotą koszulkę lidera, której nie dotykał od czasu tamtego odległego i smutnego dnia w Granadzie.

Niemal niechcący – tak jest dobry – włączał się do walki w klasyfikacji generalnej. Aż do 11 września. Aż do 12. etapu, na którym kolarze zostawiali Burgos, aby wjechać do Kantabrii. Aż do Alto del Caracol, nieznaczącej przełęczy, która zadecydowała o losach tamtej edycji Vuelty. Na pagórkowatym etapie, przejściowym dla tych najlepszych, Alejandro Valverde wywinął jeden ze swoich numerów. Mimo że stał na czele ekipy

i powinien zachowywać się, jak na lidera przystało, postanowił – jako że padało i było bardzo zimno – sam zjechać do samochodu po pelerynę przeciwdeszczową. Bo w sumie po co prosić o to pomocnika, któremu płacą, by służył swojemu liderowi i dbał, aby niczego mu nie brakowało? Alejandro jest inny. „Zjechałem do samochodu po pelerynę i kiedy się zorientowałem, zostałem w tyle", powiedział już na mecie ze smutnym wyrazem twarzy. Podczas nieistotnego etapu jeden z faworytów wyścigu stracił prawie trzy i pół minuty przez roztargnienie, kolejne roztargnienie. „Wina leży po stronie Alejandro, bo nie był tam, gdzie powinien się znajdować taki kolarz jak on. Takie błędy się niestety powtarzają", powiedział, wściekły jak nigdy Eusebio Unzué, który zatrzymał całą swoją ekipę, Óscara Pereiro, Davida Arroyo i Daniego Moreno, aby pomogli Valverde. „Kolarz o takich umiejętnościach i z takim doświadczeniem jak Alejandro nie może przegrać Vuelty podczas takiego etapu i to z powodu bzdury", podkreślił stanowczo Pereiro w rozmowie z dziennikarzami. Wściekłość w Caisse d'Epargne, która miała połowę swojej drużyny w pierwszej dziesiątce, była ogromna. Ale Alejandro to Alejandro. Ze swoimi zaletami i wadami. Szybko im przeszło. Nie wygrał także tej Vuelty, ale przynajmniej ukończył ją na piątym miejscu.

A kiedy było najwięcej wątpliwości, kiedy najmniej się tego spodziewano, kiedy zjazd w kierunku Granady, to, co wydarzyło się na Caracol, oraz kilka innych błędów popełnionych we Francji plamiły jego wspaniałą dotychczasową karierę, nadeszła Vuelta 2009. I Alejandro Valverde zamienił się w nowego Valverde, mniej instynktownego, bardziej metodycznego, mniej ofensywnego, spokojniejszego. „Bala" pokazał się z najbardziej poważnej strony, rywalizując z takimi zawodnikami, jak Samuel Sánchez,

Cadel Evans czy Ivan Basso. A przecież wcześniej wydawało się to takie trudne… Tymczasem Valverde rozegrał swoją najlepszą partię na Vuelcie, podczas której – co u niego dziwne – nie wygrał ani jednego etapu. To był Valverde 2.0, model, który zniszczył od razu po wejściu na najwyższy stopień podium w Madrycie, aby odzyskać swoją poprzednią wersję. Jak dotąd nie triumfował w Vuelcie ponownie, ale od tamtej pory w narodowym wyścigu spisywał się lepiej niż kiedykolwiek. W następnych sezonach (wyłączając dwie edycje z powodu zawieszenia) wygrał siedem etapów i czterokrotnie stawał na podium, a oprócz tego cztery razy triumfował w klasyfikacji punktowej i raz w klasyfikacji kombinowanej. Minęło 11 lat od jego zwycięstwa i 18 od debiutu w narodowym wyścigu, ale Alejandro Valverde wciąż jest na świeczniku i w końcu, po tylu próbach, ze złotym medalem mistrzostw świata, który zdobył w 2018 roku na piekielnej trasie w Innsbrucku. Z tym samym talentem co zawsze, z tą samą radością, co zawsze. I oczywiście ze swoimi absurdalnymi pomysłami. Pomysłami kolarza wyjątkowego.

Legenda „Pistolero”

Alberto Contador, który urodził się 6 grudnia 1982 roku w madryckim szpitalu 12 Października, już od najmłodszych lat był pewien jednego: że w życiu trzeba walczyć. Przekonał się o tym, patrząc na rodziców, Francisco Contadora, który w dzieciństwie wymykał się ze szkoły na rowerze, żeby pomagać w polu swojemu ojcu, i Franciscę Velasco, która była bardzo dobrą uczennicą; Paco i Paquita, dwoje Estremadurczyków, porzucili rodzinną Bancarrotę w prowincji Badajoz, aby w 1978 roku przeprowadzić się do stolicy Hiszpanii i tutaj zarabiać na życie. I przyswoił to sobie, gdy widział, jak obydwoje starali się rozweselić Raúla, jego młodszego brata, który urodził się z mózgowym porażeniem dziecięcym. Aby zrozumieć osobowość madryckiego mistrza, trzeba poznać jego dzieciństwo i wczesną młodość, poznać rodzinę, w której się wychowywał, wartości, jakie mu przekazano, a także przeszkody, jakie musiał pokonać, żeby osiągnąć to wszystko, o czym marzył.

Alberto musiał w swoim życiu zawsze wybierać. Bo jak miał tego nie robić, skoro chciał poświęcić się czemuś, czym w jego rodzinie nikt się nie zajmował. Rodzice Alberto nie byli zadowoleni, kiedy tuż przed osiągnięciem pełnoletności oświadczył, że chce rzucić naukę, aby zostać zawodowym kolarzem. Miał zamiar zamienić w zawód swoją największą pasję, która skradła mu serce dzięki innemu z braci, Franowi (jest ich czworo, razem z Alicią). Fran zaczął wybierać się na rowerowe przejażdżki z Alberto, który przygodę ze sportem zaczynał, grając w piłkę, po czym zajął się uprawianiem lekkiej atletyki. Tak naprawdę ciągnęło go do sportu indywidualnego,

rywalizacji twarzą w twarz, jeden na jednego. I nie szło mu wcale źle, zwłaszcza w biegach przełajowych, ale wolał naciskać pedały, walczyć z podjazdami, siedząc na siodełku. Wkrótce, w wieku 14 lat, rower górski ustąpił miejsca rowerowi szosowemu marki Orbea, z linkami na wierzchu i z noskami, ważącemu 15-kilogramów, odziedziczonemu po Franie. Dzięki temu Alberto, mocno opalony chuderlak, mógł już jeździć ze swoim bratem i jego kolegami w wieku 16 i 18 lat. Byli przekonani, że nie wytrzyma ich tempa, ale się mylili. Alberto mogła zatrzymać tylko bluza dresowa, która nadymała się na wietrze wiejącym między Pinto a Argandą, wszak nie miał nawet stroju kolarskiego. Nie minęło dużo czasu, gdy zaczął zostawiać ich w tyle, frunąc po szosach południowej części Madrytu.

Kilka lat później będzie też fruwał po drogach całego świata. Contador, uparciuch, który odstawił na bok naukę i imprezy, mający obsesję na punkcie dbania o najmniejsze szczegóły dotyczące swoich treningów i odżywiania, niedługo zacznie zachwycać we wszystkich kategoriach. Zyskał przydomek „Pantani” ze względu na szalony sposób rozumienia kolarstwa. Będąc tak odważnym (podobnie jak później, ścigając się z wielkimi, z najlepszymi), przegrał niejeden wyścig. W kategoriach młodzieżowych częściej zachwycał, niż zwyciężał. Wtedy więcej wygrywał inny śniady, szczupły madrytczyk, zapowiadający się na zawodowca, z którym Contador tak doskonale się rozumiał, czyli Jesús Hernández, jego przyszły „brat”, najwierniejszy pomocnik. Idąc w jego ślady, Alberto wyjechał do Kraju Basków, aby rywalizować w wyścigach amatorów w barwach Iberdroli, zakamuflowanej drużyny rezerwowej grupy ONCE. Tam, w kolarskiej kolebce, dzielił mieszkanie z Jesúsem, który został już jego nieodłącznym kompanem.

Contador pokazał się w wyścigu Subida a Gorla, gdzie ustanowił nowy rekord, po czym dalej tracił zwycięstwa, ponieważ jeździł, nie potrafiąc dozować energii, trwoniąc ją na setki ataków. Ci, którzy widzieli tamten sezon, sezon jego debiutu w amatorach, opowiadają, że zdarzały się wyścigi, w których atakował ponad 20 albo 30 razy. Choć z drugiej strony, nie było też potrzeby, by wygrywał, ponieważ miał taki talent i taką klasę, że w 2002 roku Manolo Saiz włączył go – oraz Jesúsa Hernándeza – do teraz już oficjalnej drużyny rezerwowej ONCE, którą kantabryjski dyrektor stworzył przy wsparciu firmy Würth. Spisywał się tak dobrze, że nie było już żadnych wątpliwości co do jego potencjału, i we wrześniu tamtego roku z pozycji *stagiaire* przeskoczył na poziom *pro*. Miesiąc później potwierdziło się to, co było nieuniknione: Alberto Contador zostanie zawodowcem w 2003 roku. Zadebiutował w barwach ONCE i już w pierwszym sezonie odniósł pierwsze zwycięstwo, w górskiej czasówce podczas Tour de Pologne. Był materiałem na mistrza.

Jednak czasami – i zdecydowanie zbyt często – życie się komplikuje. Jego drugi rok w zawodowym peletonie, 2004, układał się tak, jak powinien, aż do 12 maja. Wtedy los dał mu nową szansę. Alberto Contador narodził się ponownie 43 kilometry po starcie pierwszego etapu kolejnej edycji asturyjskiego wyścigu – 174-kilometrowej trasy między Oviedo a Llanes. Wyruszył ze stolicy Asturii, ale do mety już nie dotarł. Tuż przed wjazdem do Infiesto Alberto zemdlał, a wszystkim tym, którzy widzieli tę straszną scenę, ścisnęło się serce. Młody, zdrowy chłopak, w dodatku sportowiec, jedna z największych nadziei światowego kolarstwa, znalazł się teraz między życiem a śmiercią w obecności kamer telewizyjnych. Nie był to zwykły upadek, lecz coś o wiele poważniejszego. „Kilka dni wcześniej miałem już złe przeczucia, bolała mnie głowa – wspominał jakiś

czas później kolarz przemianowanej na Liberty Seguros ekipy. – Potem było lepiej, ale podczas wyścigu Dookoła Asturii znowu poczułem się źle. Przed etapem miałem dreszcze, a już na rowerze moje gałki oczne się wywróciły. Koledzy pytali, co się ze mną dzieje, a ja nie odpowiadałem. Jechałem mechanicznie, aż zacząłem mieć konwulsje i się przewróciłem".

Przewrócił się i zatrzymał dopiero na poboczu. Obraz leżącego na ziemi Alberto, bez względu na to, ile razy się to widziało, wciąż przyprawia o gęsią skórkę. Tylko błyskawiczna interwencja lekarza wyścigu sprawiła, że nie zadławił się językiem. Natychmiast został przewieziony karetką do szpitala miejskiego w Oviedo, gdzie trafił z urazowym uszkodzeniem mózgu i złamaniem kości jarzmowej. Z powodu skrzepu krwi, jaki miał w głowie, przez wiele dni nie opuścił szpitala. Jednak młody kolarz nadal nie miał pojęcia, co tak naprawdę mu się przytrafiło. Życie wysłało mu sygnał ostrzegawczy.

Wciąż mając w pamięci zdarzenie z Asturii, cała rodzina Contadorów odpoczywała w swoim rodzinnym Pinto, kiedy – dwa tygodnie później – Alberto otrzymał kolejne ostrzeżenie. Tym razem to Manolo Saiz zawiózł go do szpitala im. Ramóna y Cajala w Madrycie, gdzie lekarze odkryli, że utrata przytomności podczas wyścigu była skutkiem krwotoku śródmózgowego spowodowanego tętniakiem. Kolarz Liberty Seguros, młody chłopak, który porzucił wszystko na rzecz realizacji swojego marzenia, teraz musiał pedałować mocniej niż kiedykolwiek przedtem, aby ukończyć najważniejszy etap pełen morderczych podjazdów, i to bez pomocy choćby jednego kolegi. Musiał poddać się operacji. Trwająca pięć godzin interwencja chirurgiczna odbyła się 11 czerwca 2004 roku. Uratowała mu życie. A na wieczną pamiątkę została mu blizna biegnąca z jednej strony głowy na drugą, spięta 70 szwami, oraz dwie płytki tytanowe, które można dojrzeć na jego czole.

Każdego dnia przypominają mu one, że dzięki tamtemu ostrzeżeniu w Asturii i kolejnemu, gdy już odpoczywał w Pinto, jego serce nadal bije.

„Jeden mały błąd podczas operacji mógłby doprowadzić do paraliżu, utraty mowy albo trwałych zaburzeń świadomości", opowiadała kilka lat później na łamach „El Mundo" Aurora Martínez Rodrigo, neurochirurg, która operowała Contadora. Podczas zabiegu nie wiedziała nawet, że jej pacjent jest kolarzem. Gdy się o tym dowiedziała, pobiegła poprosić go o autograf. Alberto odmówił i to on poprosił ją o autograf. Operacja była bardzo skomplikowana i niosła ze sobą tak duże ryzyko, ponieważ operowane miejsce sąsiadowało z obszarami odpowiedzialnymi za zmysły smaku i węchu oraz reakcje emocjonalne. Jednak Martínez Rodrigo, której Contador jest dozgonnie wdzięczny, poradziła sobie doskonale i pozwoliła, by cały świat mógł oglądać tego 20-letniego chłopaka, który znalazł się tak blisko przepaści.

Przez ponad sześć miesięcy nie mógł usiąść na siodełku, chwycić kierownicy, pedałować, tańczyć na rowerze. Przez ponad sześć miesięcy marzył, że znów to robi, choć mogło się to wydawać czymś bardzo odległym na początku długiego i skomplikowanego procesu powrotu do zdrowia, gdy niektórzy myśleli, że już nigdy nie wsiądzie na rower, że będzie musiał zrezygnować z tego, dla czego porzucił wszystko. Ale jako że był, i jest nadal, bardzo uparty, wrócił do kolarstwa. Nie skończył się jeszcze 2004 rok, a on był już z powrotem na szosie. Aby rywalizować, aby na powrót założyć koszulkę z numerem startowym, musiał jednak poczekać dwa miesiące. Nastąpiło to na innym kontynencie, w Australii, podczas Tour Down Under. Manolo Saiz zabrał go tam, aby się oswoił, aby zobaczył, że wciąż jest sobą, że wszystko wygląda tak jak wcześniej.

Osiemnastego stycznia 2005 roku zaczynała się w Adelajdzie siódma edycja jednego z tych egzotycznych wyścigów, które przebijały się do kalendarza UCI. A cóż mogło być lepszego niż pierwszy etap, liczący zaledwie 50 kilometrów, aby Contador wznowił kontakt z tą profesją, którą nazywał, podobnie jak wielu innych, pasją. I nie opuścił Australii, nie zostawiwszy po sobie śladu. Podczas piątego etapu, z finałem na Wzgórzu Willunga, Alberto Contador i jego kolega Luis León Sánchez, przyjechali na metę razem i osobno. Luis León, który wygrał dwa dni wcześniej i nosił koszulkę lidera, podał mu triumf jak na tacy, co spotkało się z entuzjazmem kibiców. Podali sobie ręce i Sánchez, dumny i wzruszony, powiedział koledze, że pokazał, iż posiada coś wyjątkowego. W ciągu zaledwie ośmiu miesięcy przebył drogę od szpitala, balansując na krawędzi życia i śmierci, do takiego triumfu. „To najważniejsze zwycięstwo w moim życiu", powtarza raz i drugi Contador, który wstrząsnął kibicami tym głośnym rozdziałem w swoim życiu. Stał się symbolem przezwyciężenia trudności, bohaterem jednej z tych opowieści, które dodają siły osobom znajdującym się w podobnej sytuacji. Powróciwszy do zdrowia po zdiagnozowaniu tętniaka mózgu i znalazłszy się w peletonie pełnym tak różnych kolarzy, Contador przekroczył linię mety, nigdy wcześniej nie będąc przy tym tak szczęśliwym i dziękując niebiosom za otrzymanie nowej szansy, by móc cieszyć się życiem.

W tym samym roku zadebiutował w Tour de France, aby mógł go poznać i się w nim zaadaptować. Wtedy rozpoczęła się jego słodko-gorzka relacja z Wielką Pętlą. Zagubiony w debiucie, Alberto wrócił na nią w 2006 roku, ale nie mógł nawet stanąć na starcie, ponieważ „Operacja Puerto" zniszczyła jego ekipę. Rok później, w 2007, już w barwach Discovery Channel, talent Hiszpana eksplodował. Jego liczne ataki na

Michaela Rasmussena – który został wycofany z wyścigu z powodu podejrzeń o unikanie kontroli antydopingowych – zapisały się w historii sportu i zachwyciły kibiców. Nie mógł jednak bronić tytułu w 2008 roku, ponieważ jego nowa ekipa, Astana, nie została dopuszczona do wyścigu z powodu afer dopingowych, w jakie byli uwikłani jej kolarze, Winokurow i spółka. Giro przyjęło go w ostatniej chwili (wygrał je prosto z plaży, bo jego sponsor zobowiązał się, że wystartuje w „różowym" wyścigu), a Vuelta go rozpieściła. Była to jego pierwsza przygoda z hiszpańskim tourem. I skończyła się całkiem dobrze.

Wydawało się, że Alberto Contador był dotknięty czarodziejską różdżką. Odkąd stanął na najwyższym stopniu podium w Paryżu w lipcu 2007 roku, wygrywał każdy wielki tour, w którym startował. Wiosną następnego roku triumfował w Giro, a pod koniec lata w Vuelcie. Zakładając złotą koszulkę, skompletował swoją potrójną koronę. Stojąc na czele gwiazdorskiej Astany, z Levim Leipheimerem i Andreasem Klödenem jako swoimi zastępcami, przypieczętował zwycięstwo w trzecim trzytygodniowym wyścigu z rzędu, pokonując hiszpańską armadę, złożoną z kolarzy takiego formatu, jak Carlos Sastre, który dopiero co wygrał Tour de France, Alejandro Valverde, Ezequiel Mosquera, Joaquim Rodríguez czy Igor Antón. Po pierwszym ostrzeżeniu na przełęczy La Rabassa (był trzeci), Alberto pokazał, kto tu rządzi, 13. dnia rywalizacji, na swojej ukochanej Angliru (aj, Asturia!), gdzie otrzymał podwójną nagrodę: zwycięstwo etapowe i pozycję lidera. Zrządzeniem losu to właśnie na asturyjskim terenie zwycięstwo w Vuelcie zaczęło się przechylać na jego stronę. Przypieczętował je właściwie na następnym etapie, podbijając Fuentes de Invierno, za największego przeciwnika mając swojego kolegę Leipheimera, jedynego zawodnika

posiadającego jeszcze realne szanse na odebranie mu złotej koszulki. Owszem, Amerykanin wygrał czasówkę na przedostatnim etapie, lecz nie był w stanie usunąć z pierwszego miejsca swojego lidera. Później Contador wygrał jeszcze Tour de France w 2009 i 2010 (chociaż ten ostatni tytuł został mu odebrany) oraz Giro w 2011 (zwycięstwo także anulowane).

Rok 2011 zakończył się tak samo jak 2010. Bez kary za przeklęty klenbuterol. Przesłuchanie zaplanowane na czerwiec przełożono na sierpień, ale ostatecznie doszło do niego między 21 a 24 listopada w Szwajcarii. Sportowy Sąd Arbitrażowy (TAS) wymierzył mu karę zawieszenia na dwa lata o charakterze wstecznym, co zostało ogłoszone 6 lutego 2012 roku, już po rozpoczęciu sezonu kolarskiego. W swoim wyroku TAS, pomimo werdyktu skazującego, przyznał rację Contadorowi co do tego, że nie zażył on klenbuterolu umyślnie: „Jest bardziej niż prawdopodobne, że obecność klenbuterolu w organizmie sportowca była spowodowana zażyciem zanieczyszczonego suplementu diety, a nie transfuzją krwi albo spożyciem zanieczyszczonego mięsa". Po anulowaniu zwycięstw w Tour de France 2010, Giro 2011, wyścigu Dookoła Murcji, wyścigu Dookoła Katalonii oraz medali za mistrzostwo Hiszpanii, Contador ogłosił, że wciąż będzie rywalizował, że jego zasady nie pozwalają mu się poddać. Nie zrobił tego, gdy jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. I teraz też nie miał zamiaru się wycofać. „Nadal będę uprawiał kolarstwo w sposób czysty, tak jak robiłem przez całe życie. Chociaż teraz nie jestem w najlepszym nastroju, wiem, że dzięki temu stanę się jeszcze mocniejszy. To, co zachowam w pamięci i co sprawia mi radość, to wspomnienie, jakie zostaje w kibicach po każdym wyścigu, oraz satysfakcja z dobrze wykonanej pracy. Każde z tych zwycięstw nie należy tylko do mnie, lecz do wszystkich tych osób, którym dostarczyły radości. Zostaną w ich pamięci i to te

osoby będą mogły zdecydować, kto wygrał każdy z tych wyścigów", powiedział wzruszony Contador po ogłoszeniu oficjalnego komunikatu.

Szóstego sierpnia 2012 roku zawieszenie dobiegało końca, więc kolarz skoncentrował wszystkie swoje przygotowania na Vuelcie. W dniu, w którym została ogłoszona kara, Alberto zakreślił na czerwono datę swojego powrotu. Przez sześć miesięcy przygotowywał się w milczeniu, trenując bez swojego oficjalnego sprzętu, zapoznając się z etapami i podnosząc się mentalnie po zadanym ciosie. Ale tylko taki człowiek jak on, z jego osobowością, z jego uporem, mógł wrócić po podobnej udręce w taki sposób, jak to zrobił, dokonując na hiszpańskich szosach jednego z najważniejszych wyczynów w historii sportu. Hiszpan na nowo założył koszulkę z numerem startowym podczas Eneco Tour (otarł się o podium, zajmując w tym wyścigu czwarte miejsce) i od razu udał się do Pampeluny, gdzie zaczynała się Vuelta, pełna wielkich nazwisk. Obok wracającego Contadora w wyścigu brali udział także między innymi Chris Froome, Alejandro Valverde i Joaquim Rodríguez. Siedem finiszy w górach, trzy kolejne po pokonaniu krótkich ścian, przejazd przez Kraj Basków… Mieszanka okazała się tak wyborna, że kibice przeżyli jedną z najlepszych edycji, jakie pamiętano.

Ambicja Froome'a, który wyścig ukończył wycieńczony, chęć zwycięstwa Valverde i „Purito", dwóch błyskawic w peletonie, w połączeniu z wyobraźnią Contadora dały w rezultacie kombinację, która przez 21 etapów trzymała kibiców przyklejonych do ekranów telewizorów. Podczas gdy Valverde rzucił wszystkie siły na odrabianie strat po feralnym upadku czwartego dnia, a Rodríguez wyrywał sekundy, gdzie się dało, „Pistolero" czekał spokojnie na kończącą się w Pontevedrze czasówkę, na półmetku wyścigu, kiedy to powinien odebrać

czerwoną koszulkę „Purito”, diabłu na rowerze, ale spisującemu się słabiej w jeździe na czas. Jednak 40-kilometrowa trasa po galisyjskich szosach, co było zaskoczeniem, uratowała Katalończyka, który zachował pozycję lidera z sekundową przewagą. O włos.

„Nigdy nie zapomnę tego dnia”, podkreślił lider Katiuszy, najweselszy zawodnik w peletonie, najbardziej błyskotliwa postać w kolarstwie. „Vuelta dopiero teraz się zaczyna”, zapowiedział „Pistolero”. Później Joaquim Rodríguez dołożył jeszcze dwa zwycięstwa do triumfu z pierwszego tygodnia, a przede wszystkim wytrzymywał natarcia Contadora przy Jeziorach Covadonga i na Cuitu Negru, dwóch etapach poprzedzających drugi dzień odpoczynku. Dni mijały i wszyscy odnosili wrażenie, że trofeum trafi bezpośrednio na półkę w salonie „Purito”. Nawet on sam zaczynał się z tym oswajać. „Zrobiłem wielki krok. Powiedziałem, że ten, kto dotrwa na pozycji lidera do drugiego dnia przerwy, będzie miał duże szanse na końcowe zwycięstwo. Posiadam niemałą przewagę, więc czuję się faworytem”, zaznaczył właściciel czerwonej koszulki. Został jeszcze idealny na ucieczki pagórkowaty etap na terenie Kantabrii, dwa płaskie po szosach Kastylii i León oraz decydujący, z metą na Bola del Mundo, poprzedzający wjazd peletonu do centrum Madrytu.

Vuelta 2012, najlepsza od dziesięcioleci, do końcowej prostej przystępowała zarażona uśmiechem „Purito” i jednym okiem spoglądając w stronę podmadryckich gór, które miały zadecydować o triumfatorze wyścigu. Jednak w peletonie jechał ktoś, kto nigdy się nie poddaje, niespokojny duch, który chciał zamienić się w bohatera, aby wywrócić całą rywalizację do góry nogami. Alberto Contador zaatakował niespodziewanie w drodze do Fuente Dé, 50 kilometrów od mety 17. etapu na podjeździe pod Collado de la Hoz, przełęcz przeciętną,

zwyczajną, podrzędną. Zaatakował tak wcześnie, że nawet kamery telewizyjne nie mogły uchwycić historycznego dla kolarstwa momentu.

Bezsilny „Purito", wyprzedzony w dodatku przez Valverde, patrzył, jak lider Saxo Banku dokonywał jednego ze swoich najwspanialszych wyczynów, aby skraść mu zwycięstwo w Vuelcie, które on uważał już za swoje. Na mecie, po historycznym dniu, Contador uzyskał dwie i pół minuty przewagi nad poprzednim liderem wyścigu, niezdolnym już odbudować się psychicznie, aby spróbować odegrać się na Bola del Mundo. „Była to nagroda za odwagę i nonkonformizm, co jest moim sposobem rozumienia rywalizacji", powiedział główny bohater historii, która zostanie zapamiętana na zawsze i pojawi się w każdej książce opisującej dni kolarstwa w najczystszej postaci.

„Contador wygrał, bo miał jaja – przyznał pokonany »Purito« ze zbolałym wyrazem twarzy. – To smutny dzień, ale Alberto pojechał wspaniale. Przypuszczam, że wyglądało to spektakularnie", z trudem artykułował słowa Joaquim Rodríguez na tej samej mecie, gdzie oddał pozycję lidera w Vuelcie, która mogła być dla niego pierwszym zwycięskim wielkim tourem. „Ani przez chwilę nie przeszło mi przez myśl, że może dojść do czegoś takiego. Dzisiaj napisaliśmy historię kolarstwa", ciągnął zawodnik z Parets del Vallès, którego Contador pozbawił triumfu. Sam Alberto dodał: „Ludzie będą o tym pamiętać. Bardzo ryzykowałem, atakując z tak daleka, ale postawiłem wszystko na jedną kartę, bo w kolarstwie ten, kto nie ryzykuje, nie wygrywa. Być może nie jest to mój najlepszy moment, ale miałem wielką ochotę wygrać. To bardzo ważny dzień w moim życiu, ponieważ już niewiele osób na mnie stawiało".

Zwycięstwo w Vuelcie 2012 było drugim z trzech, jakie Alberto Contador odniósł w swojej sportowej karierze, zakończonej w 2017 roku. Po raz trzeci triumfował dwa lata później, w 2014, omijając edycję z 2013 roku, kiedy nic mu nie wychodziło. Ten 2014 też nie zapowiadał się najlepiej. Bruk na piątym etapie Tour de France spowodował, że stracił ponad dwie i pół minuty, a później, podczas dziesiątego etapu, zaliczył wywrotkę na mokrym asfalcie, łamiąc sobie kość piszczelową. Musiał pożegnać się z Tourem i, co było wielce prawdopodobne, także z Vueltą. Kontuzja wymagała tyle czasu na powrót do zdrowia, że przekreślała plany Contadora. Wydawało się, że niewielka przerwa między oboma wyścigami nie dawała mu żadnych szans na udział w hiszpańskiej imprezie, co zresztą sam przyznawał w lipcu. „Gojenie ran się komplikuje. Nie znam jeszcze daty mojego powrotu na rower. Żegnaj, Vuelto", napisał na swoim profilu na Twitterze.

A jednak stał się cud. Trzy tygodnie później kolarz ogłosił, że owszem, będzie mógł założyć koszulkę z numerem startowym w Jerez de la Frontera, gdzie rozpoczynała się tamta edycja Vuelty. „Od dziesięciu dni jeżdżę na rowerze, a wczoraj po raz pierwszy mogłem wspiąć się na przełęcz bez bólu w kolanie", napisał w mediach społecznościowych. To wystarczy. Wydawało się niemożliwe, że mógłby w niej pojechać, a kiedy ogłoszono jego udział, tym bardziej nierealne wydawało się, że mógłby ją wygrać. Wielu w to powątpiewało, lecz nie jego rywale (Froome, Quintana, Valverde czy „Purito"), którzy wiedzieli, że skoro podjął decyzję o starcie, to nie dlatego, że ma zamiar urządzić sobie przejażdżkę. Jego ambicja mu na to nie pozwalała. I tak, z niepewnością co do formy Contadora, minęło pierwsze półtora tygodnia rywalizacji, aż do czasówki liczącej 36,7 kilometra z metą w miejscowości Borja, po której madrytczyk zdobył znaczną przewagę nad wszystkimi. „Czuję,

że mogę powalczyć o Vueltę", oznajmił. Zdjął maskę i założył czerwoną koszulkę.

Od tej pory kolarz Tinkoff-Saxo zdobywał kolejne sekundy przewagi. I chociaż przy Jeziorach Covadonga spotkał go cios, to już następnego dnia, na przełęczy La Farrapona, zapomniał o nim dzięki zwycięstwu, które potem powtórzył na Ancares, zaledwie dzień przed czasówką w Santiago de Compostela, kończącą tamtą edycję Vuelty. „Spoglądam wstecz na to, co było dwa miesiące temu, i nie mogę uwierzyć – powiedział kolarz, który o minutę wyprzedził Chrisa Froome'a i Alejandro Valverde. – Wygranie tej Vuelty jest dla mnie jak sen. Jestem bardzo szczęśliwy, bo się tego nie spodziewałem. Ostatnie dwa miesiące były pełne wielu zmiennych nastrojów, zdarzały się dni, kiedy byłem pełen nadziei, ale też takie, gdy nie miałem dobrych przeczuć. Ale wiedziałem na pewno, że nie chcę zakończyć sezonu upadkiem". I nie zrobił tego.

Jego dwa następne i zarazem ostatnie występy w Vuelcie również zostawiły ślad. W 2016 roku odegrał kluczową rolę, aby Nairo Quintana przypieczętował zdobycie czerwonej koszulki, pokonując Chrisa Froome'a. Brytyjczyk przegrał po kolejnej akcji „Pistolero", który stopniowo oddawał teren, aż podczas dziesiątego etapu, przy Jeziorach Covadonga, pożegnał się niemal ze wszystkimi szansami. „Zastosowana przeze mnie taktyka okazała się błędna. Powinienem być bardziej ostrożny. Czasami działam zbyt impulsywnie i wczoraj ruszyłem, podczas gdy najmądrzej byłoby cały czas jechać w grupie", ubolewał Contador, który oczywiście nie posłuchał nawet samego siebie. Uparci ludzie już tacy są. Tracąc prawie trzy minuty do Kolumbijczyka, Alberto, który nigdy się nie poddaje, który w swoim słowniku nigdy nie znajduje słowa „niemożliwe", przyznał, że szanse na zwycięstwo „są bardzo małe", ale nie stracił ducha walki. Może i nie wygra tej Vuelty, ale zapach

Fuente Dé powróci na wyścig w drodze na Formigal podczas 15. etapu. Kolejnego dnia kolarstwa w najczystszej postaci „Pistolero" ożywił peleton za sprawą jednego z tych swoich szalonych i niespodziewanych manewrów, które tak bardzo lubi.

Na krótkim etapie madrytczyk zaatakował od razu na początku, aby zamienić wyścig w istny dom wariatów, gdzie został uwięziony Froome, który nie rozumiał absolutnie niczego. Jego Sky zostało znokautowane, a wizja zdobycia czerwonej koszulki oddaliła się jak nigdy przedtem, bo Quintana potrafił zagrać lepiej niż Brytyjczyk, trzymając się koła Contadora i współpracując przy wsparciu Jonathana Castroviejo i Rubéna Fernándeza. Froome był załamany, bo zbliżał się Formigal, a on, mając do pomocy jedynie Davida Lópeza, patrzył, jak Vuelta kolejny raz wymyka mu się z rąk. Magia Contadora, który nie miał z tego żadnych korzyści, za to zyskał jeszcze więcej sympatii ze strony kibiców, pogrążyła Brytyjczyka. „To jest właśnie piękne w kolarstwie: że scenariusz zostaje podarty – podkreślił Hiszpan po zakończeniu kolejnego pamiętnego etapu. – Czasem jest on korzystny dla ciebie, a czasem nie. Nie byłem nastawiony optymistycznie do tego etapu, bo przełęcze nie były zbyt trudne, ale wczoraj wieczorem zacząłem przeglądać plan trasy, sprawdzać procenty nachylenia podjazdów, aby się przekonać, czy mógłbym coś zdziałać. Było ciężko, ale postanowiłem dać z siebie wszystko, nie zwracając uwagi na to, kto siedział mi na kole. Wiedziałem tylko tyle, że musiałem jechać na pełnych obrotach, zarówno podczas wspinaczki, jak i na zjeździe, żeby grupa się rozerwała. Miałem świadomość, że moja strategia była ryzykowna, bo gdyby doścignęli mnie przed metą, faworyci mogli mnie zostawić. Postawiłem wszystko na jedną kartę i myślę, że rezultat był wspaniały. Nie wygrałem i ostatnie kilometry pokonałem ze

skurczami, ale spektakl był piękny. To właśnie przyciąga publiczność. Dzisiaj będę spał lepiej niż wczoraj”.

Bardziej niż zwycięstwa i godna pozazdroszczenia lista tytułów to wyobraźnia Contadora zapewniała mu coraz większą sympatię kibiców. Być może jego przygody nie zawsze kończyły się dobrze, ale nikt, nawet jego najbardziej zagorzali krytycy, nie mógł zaprzeczyć, że kiedy w peletonie znajduje się Alberto Contador, napięcie wzrasta. W jakimkolwiek miejscu, na którymkolwiek metrze etapu, czy to patrząc w niebo, czy zjeżdżając do piekła, na najbardziej morderczym podjeździe albo na nic nieznaczącej przełęczy, może się zdarzyć, że chłopak z Pinto, wielbiciel zwierząt, hodowca kanarków, pasjonat dawnego kolarstwa, wywróci wyścig do góry nogami. Idealnie pokazał to podczas swojej końcowej ody, którą zaprezentował światu latem 2017, swojego ostatniego roku, sezonu swoich ostatnich wyczynów. Zaczął szaloną ucieczką w wyścigu Paryż–Nicea, a zakończył pamiętną akcją w Vuelcie.

Atmosferę podgrzał już w wideo, w którym zapowiedział zakończenie kariery: „Nie ma lepszego pożegnania niż wyścig w moim kraju”. Zwycięzca dwóch Tour de France, dwóch Giro d’Italia i trzech Vuelt chciał się pożegnać w wielkim stylu. „Nagrywam to wideo, aby poinformować was o dwóch rzeczach. Pierwsza jest taka, że wezmę udział w najbliższej Vuelcie, która zaczyna się 19 sierpnia, a druga jest taka, że będzie to mój ostatni wyścig w roli zawodowego kolarza”, zakomunikował, spodziewając się idealnego zakończenia kariery. „Jestem pewien, że będą to wspaniałe trzy tygodnie pełne waszego wsparcia. Nie mogę się już doczekać”, zakończył Contador, który od początku, od momentu prezentacji ekip w Nîmes, zachowywał się swobodniej niż kiedykolwiek wcześniej, z uśmiechem na twarzy, który nie opuści go aż do Madrytu, do jego Madrytu.

Podczas Vuelty, którą powinno się nagrać i oglądać raz za razem, „Pistolero” obdarował kibiców setkami niespodziewanych ataków, czyli swoją specjalnością. Nigdy przedtem, nigdy w historii wielkich tourów, nawet w czasach, gdy szaleństwa były na porządku dziennym, nie istniał kolarz, który atakowałby niemal na każdym etapie. Niewiele było takich, i ich rodzaj nie miał znaczenia, na których Contador nie próbowałby swoich magicznych sztuczek. Wiele z nich mu nie wyszło, ale nie miało to znaczenia. „Kamikadze” peletonu, kolarz inny niż wszyscy, który mógłby podać rękę Bahamontesowi, Merckxowi i spółce, wychodził z założenia, że nie tylko zwycięstwa czynią zawodnika wielkim. Jego przygoda z kolarstwem zostanie zapamiętana nie tylko ze względu na triumfy, lecz także z uwagi na pełen pasji, romantyczny i odważny sposób rozumienia sportu, który już za nim tęskni.

Niespodziewanie osłabł w Andorze, zbyt wcześnie tracąc szanse na czerwoną koszulkę, ale dzięki tamtemu etapowi Vuelta a España, kolarstwo i sport w ogóle czerpały radość z oglądania Alberto Contadora, który wsiadł na statek, na którym nigdy nie wiedziano, kiedy nadciągnie sztorm. Fale, które przybyły ze środkowej Hiszpanii na rowerze marki Trek, stawały się coraz większe, aż morze wzburzyło się na morderczym podjeździe pod Los Machucos. „Stawałem na pedałach i nogi reagowały. Zostały trzy dni i może się zdarzyć wszystko. Podium jest blisko, a zarazem daleko. Blisko i daleko”, mówił „Pistolero”.

Nie przestał próbować i nawet zmierzył się w bezpośrednim pojedynku z Froome’em, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej w wielkim tourze. Contador wydawał się niezniszczalny. Nie brakowało mu energii. Atakował, atakował, atakował i znowu atakował. Chciał zostawić po sobie ślad. I go zostawił. I to jak. Został tylko jeden etap dający możliwość pożegnania się

w wielkim stylu. W Asturii, tam, gdzie w 2004 roku zamarły serca wszystkich kibiców, tam, gdzie życie go ostrzegło, tam, gdzie ponownie się narodził, a teraz, po tylu latach, w 2017 roku, miał się tam pożegnać z zawodowym kolarstwem, nie licząc przejażdżki i hołdu złożonego mu w stolicy.

Zanim rozpoczęła się wspinaczka pod Angliru, odżyło marzenie Alberto Contadora. Podczas popisu jak z poprzednich lat, zaciskając zęby i coraz mocniej naciskając pedały, chłopak z Pinto został bohaterem sceny godnej filmu. „Nie mogłem mieć lepszego pożegnania – powiedział ze łzami w oczach po zakończeniu etapu. – To kolejne wydarzenie, które przejdzie do historii. Jestem naprawdę wzruszony, bo bardzo pragnąłem tego zwycięstwa. Wyścig nie zaczął się dla mnie dobrze i to pozwoliło mi cieszyć się każdym dniem i jechać tak, jakby to była zabawa, jakbym był juniorem". Niczym kolarz z gry wideo Contador dopisał wspaniały rozdział na zakończenie książki o legendarnym zawodniku, który chciał pożegnać się z kolarstwem, pozostając wierny swoim zasadom. „Atakowałem na prawie wszystkich etapach. Ta Vuelta była dla mnie prawdziwym prezentem", dodał urywanym głosem z powodu łez, które nie przestawały płynąć, zalewając twarz kolarza. Kolarza, którego już nikt nigdy nie będzie mógł wymazać z historii sportu.

Opowieści z gór: „Nie jesteśmy zwierzętami!”.

Niemożliwe jest zrozumienie kolarstwa bez gór, morderczych ścian, legendarnych przełęczy, bez tych jednostek odłączających się od grupki wybranych, bez tych ataków, które podrywają z kanapy. Niemożliwe jest zrozumienie Vuelty bez Jezior Covadonga, bez Angliru czy Bola del Mundo. Jednak żaden z tych szczytów nie był pierwszym górskim finałem hiszpańskiego wyścigu. Narciarski boom sprawił, że był nim Formigal w prowincji Huesca, po południowej stronie imponujących Pirenejów. Zdarzyło się to w 1972 roku na 12. etapie, rozpoczynającym się w Saragossie, sercu Aragonii. Zwycięzcą został – jakżeby inaczej – José Manuel Fuente, „Tarangu”, jeden z najlepszych górali, jakich widział kolarski świat. Ostatecznie wygrał on tamtą Vueltę. Wcześniej jednak wyścig odwiedził szczyt Arrate, od razu następnego dnia po wspinaczce na Formigal. Czuwające nad Éibar Sanktuarium Matki Boskiej było świadkiem zwycięstwa Agustína Tamamesa. „To najcięższa Vuelta, jaką dotąd zorganizowaliśmy. Liczy 30 przełęczy, a niektóre z nich są najwyższej kategorii. Końcowy odcinek będzie morderczy”, ostrzegał Luis Bergareche, ówczesny dyrektor wyścigu.

Trzeba było jeszcze trochę poczekać, aby odkryć kolejny cud, Jeziora Covadonga z ich wodą, mgłą, zimnem, krowami i mistycyzmem. To miejsce narodziło się dla kolarstwa 2 maja 1983 roku i już nigdy się od niego nie odłączyło. Tuż przy bazylice, tam, gdzie droga skręca w lewo, a następnie w prawo, gdzie znak wskazuje, że zostało jeszcze 12 kilometrów męczarni, gdzie czas się zatrzymuje i ciągnie w nieskończoność, Marino Lejarreta, skromny mistrz, oraz pozostali Hiszpanie, na

chwilę zostawili w tyle wielką gwiazdę Bernarda Hinaulta. Później Francuz odzyskał oddech i ostatecznie stracił niewiele ponad minutę na mecie, na tym płaskim końcowym odcinku, przywracającym kolarzy do życia po pokonaniu trasy, która powinna trafić na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Przez jeden dzień Lejarreta królował w Vuelcie należącej do Hinaulta. Tam, przy jeziorach, w kolejnych latach ze zwycięstwa będą się cieszyć także Pedro Delgado, Luis Herrera, Álvaro Pino, Laurent Jalabert, Juanmi Mercado, Eladio Jiménez, Carlos Barredo, Antonio Piedra, Przemysław Niemiec czy Nairo Quintana.

Szesnaście lat później, 100 kilometrów dalej, też na asturyjskim terenie, Vuelta a España natknęła się na „Piekło", na żądną krwi, spragnioną porażek, potrzebującą omdleń Angliru. Na środku pasma Aramo, w strefie pastwisk i wodopoju dla bydła, Angliru czekała od niepamiętnych czasów na przybycie peletonu, który odważyłby się stawić jej czoła, wyzwał ją na pojedynek, spojrzał jej w oczy i powiedział, że może ją pokonać, bez względu na to, jak dzielna by była i jak ogromny strach by wywoływała. Zdarzyło się to w 1999 roku, kiedy Vuelta była wystarczająco odważna, by się jej przeciwstawić. Odkryła ją zaledwie trzy lata wcześniej, w 1996, dzięki Miguelowi Prieto, byłemu dyrektorowi do spraw informacji grupy ONCE, który wysłał list do Alberto Gadei z zarządu Unipublic, pisząc w nim o wyjątkowości tego kolosa, przyćmiewającego zarówno wielkie góry francuskie, jak i imponujące szczyty włoskie.

Z najwyższym punktem Cueña de les Cabres, odcinkiem o nachyleniu prawie 24 procent, Angliru natychmiast stała się jedną z najtrudniejszych przełęczy w kolarskim krajobrazie, na równi z takimi legendarnymi podjazdami, jak Mortirolo, Zoncolan czy Tourmalet. Po propozycji Prieto, zaakceptowaniu jej przez Unipublic i naprawieniu drogi przez urząd gminy

Riosa, asturyjska góra użyczyła niewiele ponad 12 kilometrów wspinaczki, aby Vuelta a España 1999 stoczyła batalię, której potem nikt już nie zapomni. Angliru, ze swoimi trudnościami i obawami, była wielką gwiazdą tamtej edycji wyścigu. Górska droga od wieków wykorzystywana do wyprowadzania bydła na wysoko położone pastwiska, teraz zamieniona na kolarską przełęcz. „To najtrudniejsza przełęcz, jaką kiedykolwiek widziałem", wykrzyknął jeszcze przed wspinaczką jeden z hiszpańskich kolarzy, niezniszczalny „Chechu" Rubiera.

Na tamtym ósmym etapie, który rozpoczął się w León, organizatorzy postanowili umieścić przed wielkim gwoździem programu dwoje psotnych dzieci: Cobertorię i Cordal. To był niezapomniany dzień, kolarstwo w czystej postaci, kolarstwo najwyższej próby. Zimno i deszcz nie chciały przeoczyć etapu, na którym oba zjazdy zebrały wiele ofiar – Fernando Escartín złamał sobie trzy żebra, a lider, Abraham Olano, też wylądował na asfalcie. Uporawszy się z trudnymi przystawkami, nadszedł czas na Angliru, na którą jako pierwszy zaczął się wspinać Mołdawianin Rusłan Iwanow z ekipy Liquigas. Z tyłu, niezbyt daleko, jechała grupka faworytów: Jan Ullrich, Roberto Heras, pochodzący z Asturii „Chechu" Rubiera, „Chava" Jiménez oraz Pawieł Tonkow, który ruszył jako pierwszy. Rosjanin wykazał się odwagą, wszak zaatakował wcześnie. Wkrótce odpowiedzieli mu Heras, „Chava", Ullrich i „Chechu", podczas gdy z tyłu próbował ich gonić Olano. Do końca zostało jeszcze sześć kilometrów i wyścig zrobił się szalony.

Angliru zamienia się w piekło: deszcz przybiera na sile, chłód zamraża kości, a mgła nadaje całości mistycznej atmosfery. Tonkow jest mocny, bardzo mocny. Mijają kilometry. Ludzie biją brawo. Jiménez i Heras dają pokaz tego, jak powinno wyglądać wspinanie. Olano wygrywa teraz pojedynek z Ullrichem. Kibice szaleją. A w telewizji nie widać absolutnie nic. Tonkow wygra.

Jeszcze tylko kilometr i zwycięstwo, pierwsze na Angliru, będzie należeć do niego. Lecz nagle znikąd, pośród mgły, oświetlony jedynie reflektorami samochodów, pojawia się „Chava", który zostawia Herasa, dościga Rosjanina i zdobywa Angliru. To musiał być on, to on musiał wygrać na najbardziej morderczej przełęczy.

„Odpowiedzialność była ogromna. Wiedziałem, że organizatorzy ułożyli ten etap z myślą o mnie i mnóstwo osób na mnie liczyło. Nie chciałem zawieść", powiedział José María Jiménez, który został stworzony do rzeczy wielkich, do wyczynów takich jak ten. Zwyciężył na Angliru, która nawet sobie nie wyobrażała, że istnieje ktoś zdolny do pokonania jej okrutnych ścian, ktoś taki jak „Chava". Tak samo jak później Gilberto Simoni, Roberto Heras, dwukrotnie Alberto Contador, Juan Cobo i Kenny Elissonde pokonali „Piekło", najbardziej wymagający podjazd w Vuelcie, który wywołał tyle krytyki. „Nie ma sensu wspinać się rowerem na górę, na którą szybciej można się dostać pieszo", wykrzyknął kiedyś Włoch Marzio Bruseghin, trzeci w Giro 2010. W podobnym tonie, albo nawet ostrzej, wypowiedział się Szkot David Millar: „Nie jesteśmy zwierzętami, to jest nieludzkie!".

Millarowi nie spodobało się też zapewne włączenie do Vuelty kilka lat później góry Bola del Mundo – był on jednym z kolarzy, który musiał stawić czoła wspinaczce na szczyt Madrytu, tym trzem kilometrom prawie zawsze pokrytych śniegiem, wąskiej betonowej drodze, na której pedałowanie jest niemal niemożliwe. Mięśnie zawodzą i zostawiają zawodnika na pastwę losu. Niewiele przyjemniejsze jest pokonanie ich pieszo. Dlatego zamontowano tam wyciąg krzesełkowy, cóż za wynalazek! I jacy niemądrzy są ci kolarze, którzy go ignorują i narażają swoje organizmy na nikomu niezalecaną mordęgę. W 2010 roku spełniło się dawne marzenie Unipublic. A poza

tym na tej drodze, prowadzącej na wysokość 2247 metrów, Vuelta miała zdecydować, kto zostanie jej zwycięzcą. Czy będzie to Vincenzo Nibali, „Rekin", Włoch, który miał zadatki na gwiazdę. Czy może Ezequiel Mosquera, człowiek-anioł, brodaty Galisyjczyk, któremu dobroć aż wypada z kieszeni.

Tylko 50 sekund dzieliło obydwu w klasyfikacji generalnej. Tylko tyle i aż tyle. Tylko 50 sekund dla lidera. Aż tyle dla „Eze", który późno zaczął jeździć na rowerze i nie zdając sobie z tego sprawy, teraz był jednym z najlepszych, jedną z tych gwiazd, których w ogóle nie przypominał. Galisyjczyk ruszył jeszcze przed dotarciem na Navacerradę, a potem zaatakował ponownie już na betonie prowadzącym na Bolę. Jechał i jechał w swoim biało-niebieskim stroju Xacobeo Galicia. Na pierwszym kilometrze zyskał 18 sekund przewagi nad Nibalim. A więc wszystko funkcjonowało jak trzeba. Kibice krzyczeli. A czas się zatrzymał. „Wtedy marzyłem o tym, że wygram Vueltę", powiedział Mosquera. Ale nie. Nie udało mu się to, ponieważ Sycylijczyk zaciskał szczękę niczym rekin i dawał z siebie wszystko, aby nie stracić czerwonej koszulki. Nie, Mosquera nie wygrał Vuelty, ale owszem, wygrał ten etap. I zdobył podziw kolarskiego świata, który pewnego dnia zakochał się w górach, aby rozpocząć z nimi niekończący się romans.

Mosquery nie ma jednak w wynikach Vuelty 2010. Skreślono także jego zwycięstwo na przedostatnim etapie tamtej edycji. Powód? Stosowanie niedozwolonego środka, który miał zamaskować branie dopingu…

Kolarska rodzina

Kolarski świat jest rodziną. Dużą, bardzo dużą, owszem, ale rodziną. Wszyscy się tu znają. Nie ma nikogo, kto by się tym zajmował – czy to będzie kolarz, dyrektor sportowy albo członek sztabu szkoleniowego, sędzia albo dziennikarz – i pozostawał obcy innemu członkowi tej karawany. Tutaj, w tym wędrownym miasteczku, relacje między wszystkimi stronami są znacznie bliższe. Więzi – silniejsze. Tyle dni wyścigu. Tyle dni razem. Przebywając ze sobą, ciągnąc walizki, jeżdżąc z miejsca na miejsce – to wszystko powoduje, że w kolarskim świecie relacje są znacznie bliższe niż gdziekolwiek indziej. Tak bliskie, że czasami dzieli się nawet więzy krwi.

Najlepiej wiedzą o tym bracia Deloor, dwaj Belgowie, którzy byli głównymi bohaterami początków Vuelty w latach 30. Gustaaf, młodszy z braci, był pierwszym zwycięzcą wyścigu, przywłaszczając sobie dwie pierwsze edycje: w 1935 roku pokonując Hiszpana Mariano Cañardo i swojego rodaka Antoine'a Dignefa, a w 1936 był dublet, bo zwyciężył Gustaaf, a Alfons Deloor zajął drugie miejsce (trzeci był Włoch Antonio Bertola). Razem wygrali siedem etapów, sześć ten młodszy, a jeden – starszy.

Później w najważniejszej kolarskiej imprezie w Hiszpanii też startowali bracia, ale żadna taka para nie powtórzyła wyczynu Deloorów aż do edycji z 1950 roku, podczas której dwóch Galisyjczyków przechrzciło narodowy wyścig na „Vueltę Rodríguezów". Emilio i Manuel Rodríguezowie zajęli dwa pierwsze miejsca w klasyfikacji generalnej, w której mógł się znaleźć jeszcze jeden z ich braci, ponieważ Pastor, który wcześniej dwukrotnie kończył wyścig w pierwszej piętnastce,

i Delio, który wygrał już Vueltę w 1945 oraz łącznie 39 etapów, również byli zawodowymi kolarzami.

Poza tym bracia Esparza (Antonio i Manuel), Manzaneque (Fernando i Jesús), Lejarreta (Ismael i Marino), Gorospe (Julián i Rubén), Indurain (Miguel i Pruden), Parra (Fabio i Iván), Casero (Rafa i Ángel, triumfator z 2001 roku), González de Galdeano (Igor i Álvaro), Jalabert (Laurent i Nicolas), Osa (Unai i Aitor), Schleck (Andy i Frank), Izagirre (Ion i Gorka), Nibali (Vincenzo i Antonio)… Wszyscy, i paru innych, brali udział w którejś edycji Vuelty. Bracia, ale nie tylko. W wyścigu startowali choćby nieodżałowany Alberto Fernández, drugi w 1984 i trzeci w 1983, oraz jego syn, także Alberto Fernández, który w barwach Xacobeo Galicia uczestniczył w edycji z 2009 roku. Albo rodzina van Poppelów: ojciec Jean-Paul w latach 90. wywalczył siedem zwycięstw etapowych, pokazując, jak to się robi swoim synom, Boyowi i Danny'emu, którzy wystartowali w Vuelcie w 2015 roku, kiedy to drugi z nich wygrał nawet jeden etap (12.).

Ale nie tylko wśród głównych bohaterów wielobarwnego węża znajdują się takie przypadki, rodzinne historie wywołujące uśmiech na twarzy. Nie ma nic piękniejszego, bardziej wzruszającego niż dzielenie swojej pasji, zawodu z najbliższymi osobami. Najlepiej wiedzą o tym Juan Mari Guajardo, głos kolarstwa, głos Vuelty, i jego siostra Mónica, która też urodziła się przyklejona do mikrofonu. Albo Gómezowie: Rafa, legenda z aparatem fotograficznym w ręku, i jego syn Luis Ángel ze zmierzwionymi włosami jako znakiem rozpoznawczym. On, najstarszy z potomków, jest następcą Rafy, który nie zmieści w sobie już więcej miłości do kolarstwa.

Rafa Gómez, Biskajczyk z Getxo, z dzielnicy Algorta, jest być może najbardziej uznanym w Hiszpanii i jednym z najważniejszych poza jej granicami fotografem

specjalizującym się w kolarstwie. Od dziesięcioleci przyklejony do obiektywu, uwieczniał „Perico”, Belokiego, Freire, Contadora, Valverde, wszystkie ikony ostatnich 30 lat. Jest wyjątkowy zarówno z aparatem w ręku, jak i bez niego. Jest tak interesujący (jego życie nadaje się na 400-stronicową książkę), robi tak znakomite zdjęcia, emanuje taką dobrocią, że nie ma kolarza, który by go nie cenił, który nie powiedziałby o nim dobrego słowa, gdy w rozmowie pada jego nazwisko.

Charyzmatyczny jak mało kto, Rafa Gómez, pracujący dla magazynu „Ciclismo a Fondo”, niedawno przestał robić zdjęcia, uwieczniać niezapomniane momenty. Niebezpieczeństwo związane z jazdą na motocyklu, kiedy naraża się życie na każdym metrze, na każdym kilometrze, będąc dodatkowym pionkiem na szachownicy, na której muszą się pomieścić kolarze, samochody, motocykle i kibice, czy to w deszczu, czy w słońcu, czy w czasie burzy, zmusiło go do przedwczesnego odłożenia aparatu. Dramatyczny upadek podczas wyścigu Dookoła Asturii w 2012 roku, wskutek którego połamał sobie wszystkie kości, jakie tylko człowiek może sobie połamać, przyspieszył jego decyzję o wycofaniu się z szosy. Szukając jak najlepszego ujęcia, własnym ciałem osłaniając sprzęt, Rafa wylądował prosto na szpitalnym łóżku.

To porażka dla mężczyzny przyzwyczajonego do życia na kolejce górskiej. Kolejce górskiej kolarstwa, na którą teraz wsiadł Luis Ángel, zastępując ojca, aby klan Gómezów nadal był mocno obecny w tym najcudowniejszym sporcie. Jeśli przy jakimś starcie lub na mecie zobaczycie mężczyznę z kręconymi włosami, jasnymi oczami, wyglądającego jak Bask albo młodego chłopaka z burzą włosów i z logiem Photo Gómez Sport, pozdrówcie ich. Oni też są częścią kolarstwa. Oni też są częścią Vuelty, tego mobilnego domu, który za sprawą jego mieszkańców emocjonuje nas pod koniec każdego lata.

LISTA ZWYCIĘZCÓW VUELTA A ESPAÑA

ROK	I MIEJSCE	II MIEJSCE	III MIEJSCE
1935	Gustaaf Deloor	Mariano Cañardo	Antoine Dignef
1936	Gustaaf Deloor	Alfons Deloor	Antonio Bertola
1941	Julián Berrendero	Fermín Trueba	José Jabardo
1942	Julián Berrendero	Diego Cháfer	Antonio Sancho
1945	Delio Rodríguez	Julián Berrendero	Juan Gimeno
1946	Dalmacio Langarica	Julián Berrendero	Jan Lambrichs
1947	Édouard Van Dyck	Manuel Costa	Delio Rodríguez
1948	Bernardo Ruiz	Emilio Rodríguez	Bernardo Capó
1950	Emilio Rodríguez	Manuel Rodríguez	José Serra
1955	Jean Dotto	Antonio Jiménez	Raphaël Géminiani
1956	Angelo Conterno	Jesús Loroño	Raymond Impanis
1957	Jesús Loroño	F.M. Bahamontes	Bernardo Ruiz
1958	Jean Stablinski	Pasquale Fornara	Fernando Manzaneque
1959	Antonio Suárez	José Segu	Rik Van Looy
1960	Franz de Mulder	Armand Desmet	Miguel Pacheco
1961	Angelino Soler	François Mahé	José Pérez Francés

ROK	I MIEJSCE	II MIEJSCE	III MIEJSCE
1962	Rudi Altig	José Pérez Francés	Seamus Elliott
1963	Jacques Anquetil	J.M. Colmenarejo	Miguel Pacheco
1964	Raymond Poulidor	Luis Otaño	José Pérez Francés
1965	Rolf Wolfshohl	Raymond Poulidor	Rik Van Looy
1966	Francisco Gabica	Eusebio Vélez	Carlos Echevarría
1967	Jan Janssen	Jean-Pierre Ducasse	Aurelio González
1968	Felice Gimondi	José Pérez Francés	Eusebio Vélez
1969	Roger Pingeon	Luis Ocaña	Marinus Wagtmans
1970	Luis Ocaña	Agustín Tamames	Herman Van Springel
1971	Ferdinand Bracke	Wilfried David	Luis Ocaña
1972	José Manuel Fuente	Miguel María Lasa	Agustín Tamames
1973	Eddy Merckx	Luis Ocaña	Bernard Thévenet
1974	José Manuel Fuente	Joaquim Agostinho	Miguel María Lasa
1975	Agustín Tamames	Domingo Perurena	Miguel María Lasa
1976	José Pesarrodona	Luis Ocaña	José Nazabal

ROK	I MIEJSCE	II MIEJSCE	III MIEJSCE
1977	Freddy Maertens	Miguel María Lasa	Klaus-Peter Thaler
1978	Bernard Hinault	José Pesarrodona	Jean-René Bernaudeau
1979	Joop Zoetemelk	Francisco Galdós	Michel Pollentier
1980	Faustino Rupérez	Pedro Torres	Claude Criquielion
1981	Giovanni Battaglin	Pedro Muñoz	Vicente Belda
1982	Marino Lejarreta	Michel Pollentier	Sven- Åke Nilsson
1983	Bernard Hinault	Marino Lejarreta	Alberto Fernández
1984	Éric Caritoux	Alberto Fernández	Reimund Dietzen
1985	Pedro Delgado	Robert Millar	Francisco Rodríguez
1986	Álvaro Pino	Robert Millar	Sean Kelly
1987	Luis Herrera	Reimund Dietzen	Laurent Fignon
1988	Sean Kelly	Reimund Dietzen	Anselmo Fuerte
1989	Pedro Delgado	Fabio Parra	Óscar Vargas
1990	Marco Giovannetti	Pedro Delgado	Anselmo Fuerte
1991	Melcior Mauri	Miguel Indurain	Marino Lejarreta
1992	Tony Rominger	Jesús Montoya	Pedro Delgado
1993	Tony Rominger	Alex Zülle	Laudelino Cubino
1994	Tony Rominger	Mikel Zarrabeitia	Pedro Delgado
1995	Laurent Jalabert	Abraham Olano	Johan Bruyneel

ROK	I MIEJSCE	II MIEJSCE	III MIEJSCE
1996	Alex Zülle	Laurent Dufaux	Tony Rominger
1997	Alex Zülle	Fernando Escartín	Laurent Dufaux
1998	Abraham Olano	Fernando Escartín	José María Jiménez
1999	Jan Ullrich	Igor G. de Galdeano	Roberto Heras
2000	Roberto Heras	Ángel Casero	Paweł Tonkow
2001	Ángel Casero	Óscar Sevilla	Levi Leipheimer
2002	Aitor González	Roberto Heras	Joseba Beloki
2003	Roberto Heras	Isidro Nozal	Alejandro Valverde
2004	Roberto Heras	Santiago Pérez	Francisco Mancebo
2005	Roberto Heras	Denis Mieńszow	Carlos Sastre
2006	A. Winokurow	Alejandro Valverde	Andriej Kaszeczkin
2007	Denis Mieńszow	Carlos Sastre	Samuel Sánchez
2008	Alberto Contador	Levi Leipheimer	Carlos Sastre
2009	Alejandro Valverde	Samuel Sánchez	Cadel Evans
2010	Vincenzo Nibali	Peter Velits	Joaquim Rodríguez
2011	Juan José Cobo	Chris Froome	Bradley Wiggins
2012	Alberto Contador	Alejandro Valverde	Joaquim Rodríguez
2013	Chris Horner	Vincenzo Nibali	Alejandro Valverde
2014	Alberto Contador	Chris Froome	Alejandro Valverde

ROK	I MIEJSCE	II MIEJSCE	III MIEJSCE
2015	Fabio Aru	Joaquim Rodríguez	Rafał Majka
2016	Nairo Quintana	Chris Froome	Esteban Chaves
2017	Chris Froome	Vincenzo Nibali	Ilnur Zakarin
2018	Simon Yates	Enric Mas	Miguel Ángel López
2019	Primož Roglič	Alejandro Valverde	Tadej Pogačar

TOP 10 VUELTA A ESPAÑA (1935–2019)

1935 – 1. EDYCJA

1. Gustaaf Deloor (BEL)	120h 00’ 07”
2. Mariano Cañardo (ESP)	+ 13’ 28”
3. Antoine Digneef (BEL)	+ 20’ 10”
4. Max Bulla (AUT)	+ 28’ 51”
5. Edoardo Molinar (ITA)	+ 29’ 49”
6. Alfons Deloor (BEL)	+ 47’ 27”
7. Paolo Bianchi (ITA)	+ 51’ 51”
8. Fernand Fayolle (FRA)	+ 52’ 58”
9. Walter Blattmann (SUI)	+ 1h 09’ 02”
10. Marinus Valentijn (NED)	+ 1h 09’ 46”

1936 – 2. EDYCJA

1. Gustaaf Deloor (BEL) 150h 07’ 54”
2. Alfons Deloor (BEL) + 11’ 39”
3. Antonio Bertola (ITA) + 17’ 54”
4. Julián Berrendero (ESP) + 23’ 14”
5. Antonio Escuriet (ESP) + 28’ 54”
6. Rafael Ramos (ESP) + 49’ 29”
7. Alphonse Schepers (BEL) + 58’ 18”
8. Emiliano Álvarez (ESP) + 1h 05’ 47”
9. Fermín Trueba (ESP) + 1h 07’ 22”
10. Mariano Cañardo (ESP) + 1h 18’ 05”

1941 – 3. EDYCJA

1. Julián Berrendero (ESP) 168h 45’ 26”
2. Fermín Trueba (ESP) + 1’ 07”
3. José Jabardo (ESP) + 6’ 32”
4. Delio Rodríguez (ESP) + 29’ 17”
5. Antonio A. Sancho (ESP) + 35’ 40”
6. Antonio Escuriet (ESP) + 35’ 57”
7. Antonio Martín (ESP) + 46’ 04”
8. Vicente Carretero (ESP) + 54’ 25”
9. José Cano (ESP) + 1h 5’ 40”
10. Manuel Izquierdo (ESP) +1h 24’ 13”

1942 – 4. EDYCJA

1. Julián Berrendero (ESP) 134h 05’ 09”
2. Diego Chafer (ESP) + 08’ 38”
3. Antonio A. Sancho (ESP) + 13’ 12”
4. Juan Gimeno (ESP) + 16’ 08”
5. Cipriano Elys (ESP) + 23’ 30”
6. José Jabardo (ESP) + 27’ 43”
7. Delio Rodríguez (ESP) + 34’ 21”
8. Isidro Bejarano (ESP) + 35’ 10”
9. José Botanch (ESP) + 38’ 01”
10. Fermo Camellini (FRA) + 58’ 20”

1945 – 5. EDYCJA

1. Delio Rodríguez (ESP) 135h 43’ 55”
2. Julián Berrendero (ESP) + 30’ 08”
3. Juan Gimeno (ESP) + 37’ 18”
4. Miguel Gual (ESP) + 49’ 53”
5. Antonio Martín (ESP) + 1h 09’ 01”
6. João Rebelo (POR) + 1h 09’ 09”
7. Diego Chafer (ESP) + 1h 12’ 41”
8. Bernardo Capó (ESP) + 1h 17’ 20”
9. A. Fombellida (ESP) + 1h 18’ 18”

10. Pedro Font (ESP) + 1h 20’ 21”

1946 – 6. EDYCJA

1. D. Langarica (ESP) 137h 10’ 38”
2. Julián Berrendero (ESP) + 17’ 32”
3. Jan Lambrichs (NED) + 23’ 54”
4. Manuel Costa (ESP) + 24’ 19”
5. Delio Rodríguez (ESP) + 45’ 04”
6. A. Fombellida (ESP) + 46’ 09”
7. Antonio A. Sancho (ESP) + 1h 00’ 10”
8. Emilio Rodríguez (ESP) + 1h 03’ 45”
9. José Gutiérrez (ESP) + 1h 18’ 48”
10. João Rebelo (POR) + 1h 53’ 37”

1947 – 7. EDYCJA

1. Édouard Van Dyck (BEL) + 132h 27’ 00”
2. Manuel Costa (ESP) + 2’ 14”
3. Delio Rodríguez (ESP) + 11’ 04”
4. Emilio Rodríguez (ESP) + 25’ 55”
5. Joaquín Olmos (ESP) + 39’ 45”
6. Julián Berrendero (ESP) + 40’ 30”
7. Dominique Pedrali (FRA) + 52’ 58”
8. Félix Adriano (FRA) + 1h 00’ 09”

9. Rick Randers (BEL) + 1h 04’ 30”
10. José Pérez Llacer (ESP) + 1h 18’ 55”

1948 – 8. EDYCJA

1. Bernardo Ruiz (ESP) 155h 06’ 30”
2. Emilio Rodríguez (ESP) + 9’ 07”
3. Bernardo Capó (ESP) + 20’ 45”
4. Dalmacio Langarica (ESP) + 22’ 19”
5. Senén Mesa (ESP) + 24’ 57”
6. Manuel Costa (ESP) + 25’ 52”
7. Manuel Rodríguez (ESP) + 33’ 25”
8. José Pérez Llacer (ESP) + 39’ 39”
9. Miguel Gual (ESP) + 43’ 35”
10. Antoine Giauna (FRA) + 1h 07’ 38”

1950 – 9. EDYCJA

1. Emilio Rodríguez (ESP) 134h 49’ 19”
2. Manuel Rodríguez (ESP) + 15’ 30”
3. José Serra (ESP) + 16’ 05”
4. Bernardo Ruiz (ESP) + 19’ 16”
5. Umberto Drei (ITA) + 25’ 23”
6. Senén Mesa (ESP) + 31’ 44”
7. Bernardo Capó (ESP) + 36’ 29”

8. Alighiero Ridolfi (ITA) + 36’ 29”
9. Antonio Gelabert (ESP) + 46’ 38”
10. Jesús Loroño (ESP) + 47’ 03”

1955 – 10. EDYCJA

1. Jean Dotto (FRA) 81h 04’ 02”
2. Antonio Jiménez (ESP) + 3’ 06”
3. Raphaël Géminiani (FRA) + 5’ 05”
4. Jesús Loroño (ESP) + 5’ 52”
5. Vicente Iturat (ESP) + 6’ 24”
6. Gabriel Company (ESP) + 6’ 39”
7. José Serra (ESP) + 7’ 31”
8. Giuseppe Buratti (ITA) + 8’ 42”
9. Cosme Barrutia (ESP) + 9’ 37”
10. Georges Gay (FRA) + 9’ 44”

1956 – 11. EDYCJA

1. Angelo Conterno (ITA) 105h 37’ 52”
2. Jesús Loroño (ESP) + 13”
3. Raymond Impanis (BEL) + 1’ 54”
4. F.M. Bahamontes (ESP) + 3’ 27”
5. Rik Van Steenbergen (BEL) + 7’ 48”
6. Miguel Chacón (ESP) + 8’ 30”

7. Gilbert Bauvin (FRA) + 19’ 18”
8. Brian Robinson (GBR) + 20’ 36”
9. José Serra (ESP) + 23’ 38”
10. Manuel Rodríguez (ESP) + 24’ 55”

1957 – 12. EDYCJA

1. Jesús Loroño (ESP) 84h 44’ 06”
2. F.M. Bahamontes (ESP) + 8’ 11”
3. Bernardo Ruiz (ESP) + 9’ 34”
4. J.M. Ribeiro da Silva (POR) + 14’ 32”
5. Raphaël Géminiani (FRA) + 17’ 07”
6. Francisco Moreno (ESP) + 18’ 43”
7. Jan Adriaensens (BEL) + 19’ 38”
8. Pasquale Fornara (ITA) + 23’ 48”
9. Gastone Nencini (ITA) + 25’ 59”
10. Salvador Botella (ESP) + 28’ 06”

1958 – 13. EDYCJA

1. Jean Stablinski (FRA) 94h 54’ 21”
2. Pasquale Fornara (ITA) + 2’ 51”
3. F. Manzaneque (ESP) + 3’ 51”
4. Hilaire Couvreur (BEL) + 5’ 04”
5. Luis Otaño (ESP) + 10’ 36”

6. F.M. Bahamontes (ESP) + 11’ 39”
7. Julio San Emeterio (ESP) + 13’ 16”
8. Jesús Loroño (ESP) + 16’ 09”
9. Rik Luyten (BEL) + 28’ 13”
10. Benigno Aspuru (ESP) + 33’ 37”

1959 – 14. EDYCJA

1. Antonio Suárez (ESP) 84h 36’ 20”
2. José Segu (ESP) + 1’ 06”
3. Rik Van Looy (BEL) + 7’ 00”
4. Pierre Everaert (FRA) + 7’ 44”
5. Emmanuel Busto (FRA) + 16’ 29”
6. Roger Rivière (FRA) + 17’ 30”
7. Hilaire Couvreur (BEL) + 24’ 24”
8. Luis Otaño (ESP) + 26’ 34”
9. Joseph Vloeberghs (BEL) + 27’ 17”
10. Jesús Galdeano (ESP) + 29’ 40”

1960 – 15. EDYCJA

1. Frans De Mulder (BEL) 103h 05’ 57”
2. Armand Desmet (BEL) + 15’ 21”
3. Miguel Pacheco (ESP) + 19’ 24”
4. Antonio Karmany (ESP) + 22’ 03”

5. Juan Campillo (ESP) + 29’ 50”
6. F. Manzaneque (ESP) + 31’ 58”
7. Salvador Botella (ESP) + 32’ 58”
8. Benigno Aspuru (ESP) + 35’ 08”
9. Jesús Loroño (ESP) + 38’ 11”
10. Arthur Decabooter (BEL) + 44’ 42”

1961 – 16. EDYCJA

1. Angelino Soler (ESP) 77h 36’ 17”
2. François Mahé (FRA) + 51”
3. José Pérez Francés (ESP) + 2’ 23”
4. Antonio Suárez (ESP) + 2’ 47”
5. A. Gómez del Moral (ESP) + 3’ 13”
6. Vicente Iturat (ESP) + 5’ 29”
7. F. Manzaneque (ESP) + 5’ 47”
8. Antonio Karmany (ESP) + 6’ 07”
9. Carmelo Morales (ESP) + 7’ 38”
10. Jesús Loroño (ESP) + 7’ 47”

1962 – 17. EDYCJA

1. Rudi Altig (GER) 78h 35’ 27”
2. José Pérez Francés (ESP) + 7’ 14”
3. Seamus Elliott (IRL) + 7’ 17”

4. Miguel Pacheco (ESP) + 10’ 21”
5. Francisco Gabica (ESP) + 10’ 31”
6. Jean Stablinski (FRA) + 17’ 07”
7. Michel Stolker (NED) + 17’ 57”
8. F. Manzaneque (ESP) + 18’ 13”
9. Eddy Pauwels (BEL) + 19’ 55”
10. Ab Geldermans (NED) + 20’ 23”

1963 – 18. EDYCJA

1. Jacques Anquetil (FRA) 64h 46’ 20”
2. J.M. Colmenarejo (ESP) + 3’ 06”
3. Miguel Pacheco (ESP) + 3’ 32”
4. Bas Maliepaard (NED) + 5’ 06”
5. Francisco Gabica (ESP) + 7’ 57”
6. Antonio Suárez (ESP) + 8’ 13”
7. Eusebio Vélez (ESP) + 8’ 34”
8. A. Gómez del Moral (ESP) + 9’ 10”
9. Jean Stablinski (FRA) + 9’ 31”
10. G. Van Tongerloo (BEL) + 10’ 48”

1964 – 19. EDYCJA

1. Raymond Poulidor (FRA) 78h 23’ 35”
2. Luis Otaño (ESP) + 33”

3. José Pérez Francés (ESP) + 1’ 26”
4. Eusebio Vélez (ESP) + 2’ 04”
5. Julio Jiménez (ESP) + 3’ 16”
6. F. Manzaneque (ESP) + 4’ 19”
7. Valentín Uriona (ESP) + 6’ 06”
8. José A. Momeñe (ESP) + 9’ 31”
9. Francisco Gabica (ESP) + 9’ 32”
10. Antonio Bertrán (ESP) + 11’ 14”

1965 – 20. EDYCJA

1. Rolf Wolfshohl (GER) 92h 36’ 03”
2. Raymond Poulidor (FRA) + 6’ 36”
3. Rik Van Looy (BEL) + 8’ 55”
4. F. Manzaneque (ESP) + 12’ 48”
5. Carlos Echeverría (ESP) + 15’ 54”
6. Francisco Gabica (ESP) + 20’ 03”
7. Hans Junkermann (GER) + 20’ 13”
8. J.-C. Wuillemin (FRA) + 20’ 13”
9. A. Gómez del Moral (ESP) + 23’ 04”
10. F.M. Bahamontes (ESP) + 23’ 13”

1966 – 21. EDYCJA

1. Francisco Gabica (ESP) 78h 53’ 55”

2. Eusebio Vélez (ESP) + 39”
3. Carlos Echeverría (ESP) + 44”
4. Luis Otaño (ESP) + 2’ 17”
5. José A. Momeñe (ESP) + 2’ 25”
6. Valentín Uriona (ESP) + 2’ 44”
7. A. Gómez del Moral (ESP) + 3’ 52”
8. Cees Haast (NED) + 3’ 55”
9. Angelino Soler (ESP) + 4’ 37”
10. J.M. Errandonea (ESP) + 4’ 40”

1967 – 22. EDYCJA

1. Jan Janssen (NED) 76h 39’ 04”
2. Jean-Pierre Ducasse (FRA) + 1’ 43”
3. Aurelio González (ESP) + 1’ 45”
4. Luis Otaño (ESP) + 2’ 39”
5. Cees Haast (NED) + 3’ 20”
6. José Manuel López (ESP) + 3’ 41”
7. Gregorio San Miguel (ESP) + 4’ 19”
8. Raymond Poulidor (FRA) + 4’ 20”
9. Mariano Díaz (ESP) + 5’ 54”
10. José Pérez Francés (ESP) + 6’ 04”

1968 – 23. EDYCJA

1. Felice Gimondi (ITA) 78h 29’ 00”
2. José Pérez Francés (ESP) + 2’ 15”
3. Eusebio Vélez (ESP) + 5’ 08”
4. J.M. Errandonea (ESP) + 5’ 19”
5. Vittorio Adorni (ITA) + 5’ 26”
6. Jan Janssen (NED) + 5’ 43”
7. A. Gómez del Moral (ESP) + 5’ 55”
8. Carlos Echeverría (ESP) + 6’ 00”
9. Lucien Aimar (FRA) + 6’ 42”
10. Joseph Spruyt (BEL) + 7’ 50”

1969 – 24. EDYCJA

1. Roger Pingeon (FRA) 73h 18’ 45”
2. Luis Ocaña (ESP) + 1’ 54”
3. Marinus Wagtmans (NED) + 5’ 10”
4. José Manuel Lasa (ESP) + 5’ 10”
5. Michael Wright (GBR) + 5’ 27”
6. Rolf Wolfshohl (GER) + 6’ 11”
7. Gilbert Bellone (FRA) + 6’ 47”
8. Gregorio San Miguel (ESP) + 7’ 05”
9. Carlos Echeverría (ESP) + 7’ 35”
10. Eusebio Vélez (ESP) + 7’ 51”

1970 – 25. EDYCJA

1. Luis Ocaña (ESP)	89h 57’ 12”
2. Agustín Tamames (ESP)	+ 1’ 18”
3. Herman Van Springel (BEL)	+ 1’ 27”
4. Jesús Manzaneque (ESP)	+ 1’ 27”
5. Willy In ‘t Ven (BEL)	+ 2’ 00”
6. Francisco Galdós (ESP)	+ 3’ 07”
7. Miguel María Lasa (ESP)	+ 3’ 09”
8. Joaquim Galera (ESP)	+ 3’ 15”
9. Luis. P. Santamarina (ESP)	+ 3’ 50”
10. J.M. Santisteban (ESP)	+ 4’ 15”

1971 – 26. EDYCJA

1. Ferdinand Bracke (BEL)	73h 50’ 05”
2. Wilfried David (BEL)	+ 59”
3. Luis Ocaña (ESP)	+ 1’ 01”
4. Miguel María Lasa (ESP)	+ 2’ 18”
5. Manuel Galera (ESP)	+ 2’ 37”
6. Joop Zoetemelk (NED)	+ 2’ 48”
7. Agustín Tamames (ESP)	+ 5’ 15”
8. Antonio Martos (ESP)	+ 5’ 45”
9. Raymond Poulidor (FRA)	+ 6’ 01”

10. Luis Balagué (ESP) + 6’ 17”

1972 – 27. EDYCJA

1. José Manuel Fuente (ESP) 82h 34’ 14”
2. Miguel María Lasa (ESP) + 6’ 34”
3. Agustín Tamames (ESP) + 7’ 00”
4. Gonzalo Aja (ESP) + 8’ 07”
5. J.A. González Linares (ESP) + 8’ 08”
6. Domingo Perurena (ESP) + 8’ 23”
7. Jesús Manzaneque (ESP) + 8’ 27”
8. José Pesarrodona (ESP) + 8’ 38”
9. Désiré Letort (FRA) + 8’ 42”
10. Bernard Labourdette (FRA) + 8’ 54”

1973 – 28. EDYCJA

1. Eddy Merckx (BEL) 84h 40’ 50”
2. Luis Ocaña (ESP) + 3’ 46”
3. Bernard Thévenet (FRA) + 4’ 16”
4. José Pesarrodona (ESP) + 5’ 54”
5. Pedro Torres (ESP) + 7’ 29”
6. Joaquim Agostinho (POR) + 8’ 15”
7. Agustín Tamames (ESP) + 9’ 15”
8. Luis Balagué (ESP) + 12’ 26”

9. Roger Swerts (BEL) + 13’ 27”
10. Jesús Manzaneque (ESP) + 15’ 01”

1974 – 29. EDYCJA

1. José Manuel Fuente (ESP) 84h 48’ 18”
2. Joaquim Agostinho (POR) + 11”
3. Bernard Thévenet (FRA) + 1’ 19”
4. Miguel María Lasa (ESP) + 1’ 58”
5. Domingo Perurena (ESP) + 4’ 29”
6. J.A. González Linares (ESP) + 5’ 56”
7. J.-P. Danguillaume (FRA) + 6’ 29”
8. José Luis Uribezubia (ESP) + 6’ 33”
9. Ventura Díaz (ESP) + 8’ 25”
10. Roger Swerts (BEL) + 8’ 28”

1975 – 30. EDYCJA

1. Agustín Tamames (ESP) 88h 00’ 56”
2. Domingo Perurena (ESP) + 14”
3. Miguel María Lasa (ESP) + 33”
4. Luis Ocaña (ESP) + 1’ 33”
5. Hennie Kuiper (NED) + 2’ 29”
6. Fernando Mendes (POR) + 5’ 50”
7. Giuseppe Perletto (ITA) + 5’ 55”

8. José Martins (POR) + 6’ 53”
9. Santiago Lazcano (ESP) + 7’ 26”
10. Jesús Manzaneque (ESP) + 7’ 57”

1976 – 31. EDYCJA

1. José Pesarrodona (ESP) 93h 19’ 10 ”
2. Luis Ocaña (ESP) + 1’ 03”
3. José Nazabal (ESP) + 1’ 41”
4. Dietrich Thurau (GER) + 1’ 41”
5. Vicente López Carril (ESP) + 1’ 50”
6. Hennie Kuiper (NED) + 2’ 00”
7. Joaquim Agostinho (POR) + 3’ 16”
8. Josef Fuchs (SUI) + 3’ 45”
9. Pedro Torres (ESP) + 4’ 43”
10. J.A. González Linares (ESP) + 7’ 18”

1977 – 32. EDYCJA

1. Freddy Maertens (BEL) 78h 54’ 36”
2. Miguel María Lasa (ESP) + 2’ 51”
3. Klaus-Peter Thaler (GER) + 3’ 23”
4. Domingo Perurena (ESP) + 4’ 45”
5. José Luis Viejo (ESP) + 5’ 14”
6. Michel Pollentier (BEL) + 5’ 35”

7. Gary Clively (AUS) + 7’ 06”
8. José Pesarrodona (ESP) + 9’ 32”
9. Pedro Torres (ESP) + 10’ 29”
10. J. A. González Linares (ESP) + 11’ 18”

1978 – 33. EDYCJA

1. Bernard Hinault (FRA) 85h 24’ 14”
2. José Pesarrodona (ESP) + 3’ 02”
3. Jean-René Bernaudeau (FRA) + 3’ 47”
4. Eulalio García (ESP) + 4’ 28”
5. Jos Schipper (NED) + 4’ 33”
6. Ferdi Van Den Haute (BEL) + 5’ 52”
7. José Nazabal (ESP) + 6’ 12”
8. E. Martínez Heredia (ESP) + 6’ 53”
9. Gonzalo Aja (ESP) + 10’ 12”
10. V. López Carril (ESP) + 13’ 57”

1979 – 34. EDYCJA

1. Joop Zoetemelk (NED) 94h 57’ 05”
2. Francisco Galdós (ESP) + 2’ 43”
3. Michel Pollentier (BEL) + 3’ 21”
4. Manuel Esparza (ESP) + 3’ 22”
5. Faustino Rupérez (ESP) + 5’ 51”

6. Lucien Van Impe (BEL) + 6’ 49”
7. Pedro Torres (ESP) + 7’ 41”
8. Felipe Yáñez (ESP) + 8’ 03”
9. Christian Seznec (FRA) + 10’ 01”
10. Alfons de Wolf (BEL) + 10’ 42”

1980 – 35. EDYCJA

1. Faustino Rupérez (ESP) 88h 23’ 21”
2. Pedro Torres (ESP) + 2’ 15”
3. Claude Criquielion (BEL) + 3’ 00”
4. Sean Kelly (IRL) + 3’ 31”
5. Marino Lejarreta (ESP) + 4’ 32”
6. Guido Van Calster (BEL) + 4’ 39”
7. Johan De Muynck (BEL) + 4’ 48”
8. Francisco Galdós (ESP) + 5’ 00”
9. Miguel María Lasa (ESP) + 5’ 25”
10. Vicente Belda (ESP) + 6’ 41”

1981 – 36. EDYCJA

1. Giovanni Battaglin (ITA) 98h 04’ 49”
2. Pedro Muñoz (ESP) + 2’ 09”
3. Vicente Belda (ESP) + 2’ 29”
4. Jørgen Marcussen (DEN) + 3’ 33”

5. Antonio Coll (ESP) + 4’ 26”
6. Ángel Arroyo (ESP) + 4’ 30”
7. José Luis Laguía (ESP) + 6’ 05”
8. Faustino Rupérez (ESP) + 7’ 09”
9. Régis Clère (FRA) + 7’ 23”
10. Miguel María Lasa (ESP) + 10’ 54”

1982 – 37. EDYCJA

1. Marino Lejarreta (ESP) 95h 47’ 23”
2. Michel Pollentier (BEL) + 18”
3. Sven- Åke Nilsson (SWE) + 1’ 17”
4. Faustino Rupérez (ESP) + 2’ 14”
5. José Luis Laguía (ESP) + 2’ 37”
6. Pierre R. Villemiane (FRA) + 2’ 43”
7. Stefan Mutter (SUI) + 4’ 18”
8. Jaime Vilamajó (ESP) + 4’ 19”
9. Marc Durant (FRA) + 5’ 10”
10. Álvaro Pino (ESP) + 5’ 53”

1983 – 38. EDYCJA

1. Bernard Hinault (FRA) 94h 28’ 26”
2. Marino Lejarreta (ESP) + 1’ 12”
3. Alberto Fernández (ESP) + 3’ 58”

4. Álvaro Pino (ESP) + 5’ 09”
5. Hennie Kuiper (NED) + 10’ 26”
6. Eduardo Chozas (ESP) + 11’ 11”
7. Laurent Fignon (FRA) + 11’ 27”
8. Pedro Muñoz (ESP) + 12’ 05”
9. Vicente Belda (ESP) + 13’ 08”
10. Faustino Rupérez (ESP) + 13’ 36”

1984 – 39. EDYCJA

1. Éric Caritoux (FRA) 90h 08’ 03”
2. Alberto Fernández (ESP) + 06”
3. Reimund Dietzen (GER) + 1’ 33”
4. Pedro Delgado (ESP) + 1’ 43”
5. Edgar Corredor (COL) + 3’ 40”
6. Julián Gorospe (ESP) + 4’ 41”
7. J. Patrocinio Jiménez (COL) + 7’ 10”
8. Vicente Belda (ESP) + 7’ 14”
9. José Recio (ESP) + 7’ 21”
10. Francesco Moser (ITA) + 8’ 41”

1985 – 40. EDYCJA

1. Pedro Delgado (ESP) 95h 58’ 00”
2. Robert Millar (GBR) + 36”

3. Francisco Rodríguez (COL) + 46”
4. Peio Ruiz Cabestany (ESP) + 1’ 51”
5. Fabio Parra (COL) + 3’ 40”
6. Éric Caritoux (FRA) + 6’ 08”
7. Reimund Dietzen (GER) + 6’ 36”
8. Álvaro Pino (ESP) + 7’ 41”
9. Sean Kelly (IRL) + 7’ 52”
10. José Luis Navarro (ESP) + 8’ 56”

1986 – 41. EDYCJA

1. Álvaro Pino (ESP) 98h 16’ 04”
2. Robert Millar (GBR) + 56”
3. Sean Kelly (IRL) + 5’ 19”
4. Reimund Dietzen (GER) + 5’ 58”
5. Marino Lejarreta (ESP) + 7’ 12”
6. Peio Ruiz Cabestany (ESP) + 7’ 26”
7. Laurent Fignon (FRA) + 7’ 29”
8. Fabio Parra (COL) + 7’ 44”
9. Anselmo Fuerte (ESP) + 10’ 50”
10. Pedro Delgado (ESP) + 11’ 50”

…

97. Dariusz Kajzer + 2h 22’ 53”
101. Andrzej Półkośnik + 2h 35’ 54”

Krzysztof Chrabąszcz, Zbigniew Haitner, Zbigniew Ludwiniak, Tadeusz Mytnik, Tadeusz Piotrowicz, Sławomir Podwójniak, Roman Rękosiewicz i Wiesław Stopa nie ukończyli

1987 – 42. EDYCJA

1. Luis Herrera (COL)	105h 34’ 25”
2. Reimund Dietzen (GER)	+ 1’ 04”
3. Laurent Fignon (FRA)	+ 3’ 13”
4. Pedro Delgado (ESP)	+ 3’ 52”
5. Óscar Vargas (COL)	+ 4’ 03”
6. Vicente Belda (ESP)	+ 4’ 40”
7. Anselmo Fuerte (ESP)	+ 4’ 59”
8. Yvon Madiot (FRA)	+ 5’ 25”
9. Henry Cárdenas (COL)	+ 7’ 08”
10. Omar Hernández (COL)	+ 7’ 33”

1988 – 43. EDYCJA

1. Sean Kelly (IRL)	89h 19’ 23”
2. Reimund Dietzen (GER)	+ 1’ 27”
3. Anselmo Fuerte (ESP)	+ 1’ 29”
4. Laudelino Cubino (ESP)	+ 2’ 17”
5. Fabio Parra (COL)	+ 2’ 25”
6. Robert Millar (GBR)	+ 3’ 22”
7. Jesús Blanco Villar (ESP)	+ 8’ 19”

8. Álvaro Pino (ESP) + 8’ 25”
9. Eddy Schepers (BEL) + 9’ 45”
10. Roberto Córdoba (ESP) + 10’ 28”

1989 – 44. EDYCJA

1. Pedro Delgado (ESP) 93h 01’ 17”
2. Fabio Parra (COL) + 35”
3. Óscar Vargas (COL) + 3’ 09”
4. Federico Echave (ESP) + 3’ 24”
5. Álvaro Pino (ESP) + 4’ 28”
6. Iwan Iwanow (RUS) + 5’ 00”
7. Iñaki Gastón (ESP) + 6’ 24”
8. Pedro Saúl Morales (COL) + 7’ 59”
9. Jean-Claude Bagot (FRA) + 8’ 23”
10. Luc Suykerbuyk (NED) + 9’ 44”

1990 – 45. EDYCJA

1. Marco Giovannetti (ITA) 94h 36’ 50”
2. Pedro Delgado (ESP) + 1’ 28”
3. Anselmo Fuerte (ESP) + 1’ 48”
4. Peio Ruiz Cabestany (ESP) + 2’ 16”
5. Fabio Parra (COL) + 3’ 07”
6. Federico Echave (ESP) + 3’ 52”

7. Miguel Indurain (ESP)	+ 6’ 22”
8. Iwan Iwanow (RUS)	+ 6’ 48”
9. Uwe Ampler (GER)	+ 7’ 15”
10. Denis Roux (FRA)	+ 7’ 56”

Zenon Jaskuła, Dariusz Kajzer, Marek Kulas, Lech Piasecki i Marek Szerszyński nie ukończyli

1991 – 46. EDYCJA

1. Melcior Mauri (ESP)	82h 48’ 07”
2. Miguel Indurain (ESP)	+ 2’ 52”
3. Marino Lejarreta (ESP)	+ 3’ 11”
4. Federico Echave (ESP)	+ 3’ 54”
5. Fabio Parra (COL)	+ 5’ 38”
6. Peio Ruiz Cabestany (ESP)	+ 6’ 50”
7. Raúl Alcalá (MEX)	+ 6’ 57”
8. Piotr Ugriumow (LVA)	+ 10’ 43”
9. Steven Rooks (NED)	+ 12’ 09”
10. Oliverio Rincón (COL)	+ 12’ 11”

1992 – 47. EDYCJA

1. Tony Rominger (SUI)	96h 14’ 50”
2. Jesús Montoya (ESP)	+ 1’ 04”
3. Pedro Delgado (ESP)	+ 1’ 42”

4. Marco Giovannetti (ITA) + 5’ 19”
5. Federico Echave (ESP) + 5’ 34”
6. Laudelino Cubino (ESP) + 6’ 24”
7. Fabio Parra (COL) + 7’ 24”
8. Raúl Alcalá (MEX) + 12’ 50”
9. Francisco Mauleón (ESP) + 15’ 44”
10. Steven Rooks (NED) + 18’ 57”

…

64. Joachim Halupczok +1h 46’ 13”
81. Andrzej Dulas +2h 08’ 41”

1993 – 48. EDYCJA

1. Tony Rominger (SUI) 96h 07’ 03”
2. Alex Zülle (SUI) + 29”
3. Laudelino Cubino (ESP) + 8’ 54”
4. Oliverio Rincón (COL) + 9’ 25”
5. Jesús Montoya (ESP) + 10’ 27”
6. Pedro Delgado (ESP) + 11’ 17”
7. Erik Breukink (NED) + 17’ 18”
8. Melcior Mauri (ESP) + 19’ 53”
9. Johan Bruyneel (BEL) + 20’ 01”
10. Fernando Escartín (ESP) + 23’ 27 ”

…

46. Zbigniew Spruch +1h 30’ 25”

83. Marek Szerszyński +2h 26’ 44”

1994 – 49. EDYCJA

1. Tony Rominger (SUI) 92h 07’ 48”
2. Mikel Zarrabeitia (ESP) + 7’ 28”
3. Pedro Delgado (ESP) + 9’ 27”
4. Alex Zülle (SUI) + 10’ 54”
5. Oliverio Rincón (COL) + 13’ 09”
6. Luc Leblanc (FRA) + 15’ 27”
7. Vicente Aparicio (ESP) + 15’ 48”
8. Luis Pérez (ESP) + 16’ 46”
9. Fernando Escartín (ESP) + 16’ 54”
10. Alberto Camargo (COL) + 20’ 35”

Zenon Jaskuła nie ukończył

1995 – 50. EDYCJA

1. Laurent Jalabert (FRA) 95h 30’ 33”
2. Abraham Olano (ESP) + 4’ 22”
3. Johan Bruyneel (BEL) + 6’ 48”
4. Melcior Mauri (ESP) + 8’ 04”
5. Richard Virenque (FRA) + 11’ 38”
6. Roberto Pistore (ITA) + 11’ 54”

7. David García Markina (ESP) + 13’ 50”
8. Daniel Clavero (ESP) + 15’ 03”
9. Michele Bartoli (ITA) + 19’ 14”
10. Stefano Della Santa (ITA) + 19’ 42”

…

109. Cezary Zamana +3h 54’ 31”

1996 – 51. EDYCJA

1. Alex Zülle (SUI) 97h 31’ 46”
2. Laurent Dufaux (SUI) + 6’ 23”
3. Tony Rominger (SUI) + 8’ 29”
4. Roberto Pistore (ITA) + 10’ 23”
5. Stefano Faustini (ITA) + 11’ 21”
6. Georg Totschnig (AUT) + 11’ 33”
7. Davide Rebellin (ITA) + 13’ 15”
8. Andrea Peron (ITA) + 14’ 46”
9. Bobby Julich (USA) + 15’ 10”
10. Fernando Escartín (ESP) + 18’ 35”

1997 – 52. EDYCJA

1. Alex Zülle (SUI) 91h 15’ 55”
2. Fernando Escartín (ESP) + 5’ 07”
3. Laurent Dufaux (SUI) + 6’ 11”

4. Enrico Zaina (ITA) + 7’ 24”
5. Roberto Heras (ESP) + 8’ 04”
6. Daniel Clavero (ESP) + 10’ 02”
7. Laurent Jalabert (FRA) + 10’ 03”
8. Marcos Serrano (ESP) + 10’ 40”
9. Gianni Faresin (ITA) + 13’ 53”
10. Yvon Ledanois (FRA) + 15’ 40”

1998 – 53. EDYCJA

1. Abraham Olano (ESP) 93h 44’ 08”
2. Fernando Escartín (ESP) + 1’ 23”
3. José María Jiménez (ESP) + 2’ 12”
4. Lance Armstrong (USA) + 2’ 18”
5. Laurent Jalabert (FRA) + 2’ 37”
6. Roberto Heras (ESP) + 2’ 58”
7. Á. González de Galdeano (ESP) + 5’ 51”
8. Alex Zülle (SUI) + 6’ 05”
9. Marco Serpellini (ITA) + 8’ 58”
10. Marcos Serrano (ESP) + 10’ 17”

Grzegorz Gwiazdowski nie ukończył

1999 – 54. EDYCJA

1. Jan Ullrich (GER) 89h 52’ 03”

2. Igor G. de Galdeano (ESP) + 4’ 15”
3. Roberto Heras (ESP) + 5’ 57”
4. Pawieł Tonkow (RUS) + 7’ 53”
5. José María Jiménez (ESP) + 9’ 24”
6. José Luis Rubiera (ESP) + 10’ 13”
7. Manuel Beltrán (ESP) + 11’ 20”
8. Leo Piepoli (ITA) + 13’ 13”
9. Iván Parra (COL) + 16’ 20”
10. Santiago Blanco (ESP) + 18’ 15”

Grzegorz Gwiazdowski i Zbigniew Spruch nie ukończyli

2000 – 55. EDYCJA

1. Roberto Heras (ESP) 70h 26’ 14”
2. Ángel Casero (ESP) + 2’ 33”
3. Pawieł Tonkow (RUS) + 4’ 55”
4. Santos González (ESP) + 5’ 52”
5. Raimondas Rumšas (LTU) + 7’ 38”
6. Roberto Laiseka (ESP) + 10’ 16”
7. Fernando Escartín (ESP) + 11’ 17”
8. Carlos Sastre (ESP) + 12’ 16”
9. Massimiliano Gentili (ITA) + 13’ 10”
10. Haimar Zubeldia (ESP) + 13’ 14”

…

53. Tomasz Brożyna +1h 33’ 32”

2001 – 56. EDYCJA

1. Ángel Casero (ESP) 70h 49’ 05”
2. Óscar Sevilla (ESP) + 47”
3. Levi Leipheimer (USA) + 59”
4. Roberto Heras (ESP) + 3’ 56”
5. Juan Miguel Mercado (ESP) + 5’ 45”
6. David Plaza (ESP) + 5’ 53”
7. José Luis Rubiera (ESP) + 6’ 57”
8. Claus Michael Møller (DEN) + 7’ 13”
9. Aitor Osa (ESP) + 8’ 32”
10. Fernando Escartín (ESP) + 10’ 31”

…

34. Dariusz Baranowski +1h 01’ 37”

2002 – 57. EDYCJA

1. Aitor González (ESP) 75h 13’ 52”
2. Roberto Heras (ESP) + 2’ 14”
3. Joseba Beloki (ESP) + 3’ 11”
4. Óscar Sevilla (ESP) + 3’ 26”
5. Iban Mayo (ESP) + 5’ 42”
6. Ángel Casero (ESP) + 6’ 33”

7. Francesco Casagrande (ITA) + 6’ 38”
8. Félix García Casas (ESP) + 6’ 46”
9. Manuel Beltrán (ESP) + 8’ 29”
10. Gilberto Simoni (ITA) + 9’ 22”

…

29. Sylwester Szmyd + 54’ 18”
130. Zbigniew Spruch + 3h 06’ 58”

2003 – 58. EDYCJA

1. Roberto Heras (ESP) 69h 31’ 52”
2. Isidro Nozal (ESP) + 28”
3. Alejandro Valverde (ESP) + 2’ 25”
4. Igor G. de Galdeano (ESP) + 3’ 27”
5. Francisco Mancebo (ESP) + 4’ 47”
6. Manuel Beltrán (ESP) + 5’ 51”
7. Michael Rasmussen (DEN) + 5’ 56”
8. Félix Cárdenas (COL) + 6’ 33”
9. Unai Osa (ESP) + 6’ 51”
10. Luis Pérez (ESP) + 7’ 56”

2004 – 59. EDYCJA

1. Roberto Heras (ESP) 77h 42’ 46”
2. Santiago Pérez (ESP) + 30”

3. Francisco Mancebo (ESP)	+ 2’ 13”
4. Alejandro Valverde (ESP)	+ 3’ 30”
5. C. García Quesada (ESP)	+ 7’ 44”
6. Carlos Sastre (ESP)	+ 8’ 11”
7. Isidro Nozal (ESP)	+ 8’ 32”
8. J.Á. Gómez Marchante (ESP)	+ 13’ 08”
9. Luis Pérez (ESP)	+ 13’ 24”
10. David Blanco (ESP)	+ 15’ 15”
…	
33. Dariusz Baranowski	+1h 00’ 03”
74. Sylwester Szmyd	+2h 07’ 59”

2005 – 60. EDYCJA

1. Roberto Heras (ESP)	82h 22’ 55”
2. Denis Mieńszow (RUS)	+ 4’ 36”
3. Carlos Sastre (ESP)	+ 4’ 54”
4. Francisco Mancebo (ESP)	+ 5’ 58”
5. C. García Quesada (ESP)	+ 8’ 06”
6. Rubén Plaza (ESP)	+ 11’ 36”
7. Óscar Sevilla (ESP)	+ 13’ 22”
8. Thomas Danielson (USA)	+ 16’ 38”
9. Mauricio Ardila (COL)	+ 18’ 15”
10. Juan Miguel Mercado (ESP)	+ 18’ 31”

…

24. Sylwester Szmyd	+ 50’ 50”
80. Dariusz Baranowski	+2h 34’ 51”

2006 – 61. EDYCJA

1. Aleksandr Winpkurow (KAZ)	81h 23’ 07”
2. Alejandro Valverde (ESP)	+ 1’ 12”
3. Andriej Kaszeczkin (KAZ)	+ 3’ 12”
4. Carlos Sastre (ESP)	+ 3’ 35”
5. J.Á. Gómez Marchante (ESP)	+ 6’ 51”
6. Thomas Danielson (USA)	+ 8’ 09”
7. Samuel Sánchez (ESP)	+ 8’ 26”
8. Władimir Karpiec (RUS)	+ 10’ 36”
9. Manuel Beltrán (ESP)	+ 10’ 47”
10. Luis Pérez (ESP)	+ 11’ 32”

…

14. Sylwester Szmyd	+18’ 40”

2007 – 62. EDYCJA

1. Denis Mieńszow (RUS)	80h 59’ 07”
2. Carlos Sastre (ESP)	+ 3’ 31”
3. Samuel Sánchez (ESP)	+ 3’ 46”
4. Cadel Evans (AUS)	+ 3’ 56”

5. Ezequiel Mosquera (ESP) + 6’ 34”
6. Władimir Jefimkin (RUS) + 7’ 07”
7. Władimir Karpiec (RUS) + 8’ 09”
8. Igor Antón (ESP) + 8’ 44”
9. Manuel Beltrán (ESP) + 9’ 38”
10. Carlos Barredo (ESP) + 10’ 12”

…

25. Sylwester Szmyd + 44’ 25”

2008 – 63. EDYCJA

1. Alberto Contador (ESP) 80h 40’ 08”
2. Levi Leipheimer (USA) + 46”
3. Carlos Sastre (ESP) + 4’ 12”
4. Ezequiel Mosquera (ESP) + 5’ 19”
5. Alejandro Valverde (ESP) + 6’ 00”
6. Joaquim Rodríguez (ESP) + 6’ 50”
7. Robert Gesink (NED) + 6’ 55”
8. David Moncoutié (FRA) + 10’ 10”
9. Egoi Martínez (ESP) + 10’ 57”
10. Marzio Bruseghin (ITA) + 11’ 56”

2009 – 64. EDYCJA

1. Alejandro Valverde (ESP) 87h 22’ 37”

2. Samuel Sánchez (ESP)	+ 55”
3. Cadel Evans (AUS)	+ 1’ 32”
4. Ivan Basso (ITA)	+ 2’ 12”
5. Ezequiel Mosquera (ESP)	+ 4’ 27”
6. Robert Gesink (NED)	+ 6’ 40”
7. Joaquim Rodríguez (ESP)	+ 9’ 08”
8. Paolo Tiralongo (ITA)	+ 9’ 11”
9. Philip Deignan (IRL)	+ 11’ 08”
10. Juan José Cobo (ESP)	+ 11’ 27”
…	
17. Sylwester Szmyd	+ 21’ 03”
131. Maciej Bodnar	+3h 08’ 41”

2010 – 65. EDYCJA

1. Vincenzo Nibali (ITA)	87h 18’ 33”
2. Peter Velits (SVK)	+ 3’ 02”
3. Joaquim Rodríguez (ESP)	+ 4’ 20”
4. Frank Schleck (LUX)	+ 4’ 43”
5. Xavier Tondo (ESP)	+ 4’ 52”
6. Nicolas Roche (IRL)	+ 5’ 03”
7. Carlos Sastre (ESP)	+ 6’ 06”
8. Thomas Danielson (USA)	+ 6’ 16”
9. Luis León Sánchez (ESP)	+ 7’ 42”

10. Mikel Nieve (ESP) + 10’ 58”

…

77. Maciej Paterski + 2h 13’ 23”

2011 – 66. EDYCJA

1. Juan José Cobo (ESP) 84h 59’ 31”
2. Chris Froome (GBR) + 13”
3. Bradley Wiggins (GBR) + 1’ 39”
4. Bauke Mollema (NED) + 2’ 03”
5. Denis Mieńszow (RUS) + 3’ 48”
6. Maxime Monfort (BEL) + 4’ 13”
7. Vincenzo Nibali (ITA) + 4’ 31”
8. Jurgen Van Den Broeck (BEL) + 4’ 45”
9. Daniel Moreno (ESP) + 5’ 20”
10. Mikel Nieve (ESP) + 5’ 33”

…

53. Przemysław Niemiec +1h 50’ 36”

148. Jarosław Marycz +4 29’ 18”

Michał Gołaś i Rafał Majka nie ukończyli

2012 – 67. EDYCJA

1. Alberto Contador (ESP) 84h 59’ 49”
2. Alejandro Valverde (ESP) + 1’ 16”

3. Joaquim Rodríguez (ESP) + 1’ 37”
4. Chris Froome (GBR) + 10’ 16”
5. Daniel Moreno (ESP) + 11’ 29”
6. Robert Gesink (NED) + 12’ 23”
7. Andrew Talansky (USA) + 13’ 28”
8. Laurens ten Dam (NED) + 13’ 41”
9. Igor Antón (ESP) + 14’ 01”
10. Beñat Intxausti (ESP) + 16’ 13”

…

13. Tomasz Marczyński + 19’ 14”
15. Przemysław Niemiec + 20’ 48”
32. Rafał Majka + 1h 05’ 42”
89. Maciej Paterski + 2h 29’ 16”
138. Maciej Bodnar + 3h 12’ 07”

2013 – 68. EDYCJA

1. Chris Horner (USA) 84h 36’ 04”
2. Vincenzo Nibali (ITA) + 37”
3. Alejandro Valverde (ESP) + 1’ 36”
4. Joaquim Rodríguez (ESP) + 3’ 22”
5. Nicolas Roche (IRL) + 7’ 11”
6. Domenico Pozzovivo (ITA) + 8’ 00”
7. Thibaut Pinot (FRA) + 8’ 41”

8. Samuel Sánchez (ESP) + 9’ 51”

9. Leopold König (CZE) + 10’ 11”

10. Daniel Moreno (ESP) + 13’ 11”

…

19. Rafał Majka + 32’ 52”

35. Bartosz Huzarski + 1h 26’ 14”

45. Sylwester Szmyd + 1h 48’ 25”

54. Maciej Paterski + 2h 03’ 20”

Tomasz Marczyński nie ukończył

2014 – 69. EDYCJA

1. Alberto Contador (ESP) 81h 25’ 05”

2. Chris Froome (GBR) + 1’ 10”

3. Alejandro Valverde (ESP) + 1’ 50”

4. Joaquim Rodríguez (ESP) + 3’ 25”

5. Fabio Aru (ITA) + 4’ 48”

6. Samuel Sánchez (ESP) + 9’ 30”

7. Daniel Martin (IRL) + 10’ 38”

8. Warren Barguil (FRA) + 11’ 50”

9. Damiano Caruso (ITA) + 12’ 50”

10. Daniel Navarro (ESP) + 13’ 02”

…

26. Przemysław Niemiec + 1h 11’ 31”

122. Maciej Bodnar	+ 4h 00’ 23”
124. Karol Domagalski	+ 4h 03’ 11”

2015 – 70. EDYCJA

1. Fabio Aru (ITA)	85h 36’ 13”
2. Joaquim Rodríguez (ESP)	+ 57”
3. Rafał Majka	+ 1’ 09”
4. Nairo Quintana (COL)	+ 1’ 42”
5. Esteban Chaves (COL)	+ 3’ 10”
6. Tom Dumoulin (NED)	+ 3’ 46”
7. Alejandro Valverde (ESP)	+ 6’ 47”
8. Mikel Nieve (ESP)	+ 7’ 06”
9. Daniel Moreno (ESP)	+ 7’ 12”
10. Louis Meintjes (RSA)	+ 10’ 26”
…	
35. Paweł Poljański	+ 1h 16’ 20”
140. Maciej Bodnar	+ 3h 59’ 47”

Przemysław Niemiec nie ukończył

2016 – 71. EDYCJA

1. Nairo Quintana (COL)	83h 31’ 28”
2. Chris Froome (GBR)	+ 1’ 23”
3. Esteban Chaves (COL)	+ 4’ 08”

4. Alberto Contador (ESP) + 4’ 21”

5. Andrew Talansky (USA) + 7’ 43”

6. Simon Yates (GBR) + 8’ 33”

7. David de la Cruz (ESP) + 11’ 18”

8. Daniel Moreno (ESP) + 13’ 04”

9. Davide Formolo (ITA) + 13’ 17”

10. George Bennett (NZL) + 14’ 07”

…

118. Michał Gołaś + 3h 52’ 50”

Bartosz Huzarski i Michał Kwiatkowski nie ukończyli

2017 – 72. EDYCJA

1. Chris Froome (GBR) 82h 30’ 02”

2. Vincenzo Nibali (ITA) + 2’ 15”

3. Ilnur Zakarin (RUS) + 2’ 51”

4. Wilco Kelderman (NED) + 3’ 15”

5. Alberto Contador (ESP) + 3’ 18”

6. Wouter Poels (NED) + 6’ 59”

7. Michael Woods (CAN) + 8’ 27”

8. Miguel Ángel López (COL) + 9’ 13”

9. Steven Kruijswijk (NED) + 11’ 18”

10. Tejay van Garderen (USA) + 15’ 50”

…

39. Rafał Majka	+ 1h 53’ 59”
55. Tomasz Marczyński	+ 2h 34’ 33”
67. Paweł Poljański	+ 2h 58’ 35”
86. Przemysław Niemiec	+ 3h 25’ 48”

2018 – 73. EDYCJA

1. Simon Yates (GBR)	82h 05’ 58”
2. Enric Mas (ESP)	+ 1’ 46”
3. Miguel Ángel López (COL)	+ 2’ 04”
4. Steven Kruijswijk (NED)	+ 2’ 54”
5. Alejandro Valverde (ESP)	+ 4’ 28”
6. Thibaut Pinot (FRA)	+ 5’ 57”
7. Rigoberto Urán (COL)	+ 6’ 07”
8. Nairo Quintana (COL)	+ 6’ 51”
9. Ion Izagirre (ESP)	+ 11’ 09”
10. Wilco Kelderman (NED)	+ 11’ 11”
…	
13. Rafał Majka	+ 17’ 57”
43. Michał Kwiatkowski	+1h 43’ 49”

2019 – 74. EDYCJA

1. Primož Roglič (SLO)	83h 07’ 31”
2. Alejandro Valverde (ESP)	+ 2’ 16”

3. Tadej Pogačar (SLO)	+ 2’ 38”
4. Nairo Quintana (COL)	+ 3’ 29”
5. Miguel Ángel López (COL)	+ 4’ 31”
6. Rafał Majka	+ 7’ 16”
7. Wilco Kelderman (NED)	+ 9’ 47”
8. Carl Fredrik Hagen (NOR)	+ 12’ 54”
9. Marc Soler (ESP)	+ 22’ 10”
10. Mikel Nieve (ESP)	+ 22’ 17”
…	
57. Paweł Poljański	+ 2h 44’ 06”
74. Tomasz Marczyński	+ 3h 15’ 09”
142. Szymon Sajnok	+ 5h 01’ 03”
149. Paweł Bernas	+ 5h 22’ 19”

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI GÓRSKIEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
1935	Edoardo Molinar	ITA
1936	Salvador Molina	ESP
1941	Fermín Trueba	ESP
1942	Julián Berrendero	ESP
1945	Julián Berrendero	ESP
1946	Emilio Rodríguez	ESP

1947	Delio Rodríguez	ESP
1948	Bernardo Ruiz	ESP
1950	Emilio Rodríguez	ESP
1955	Giuseppe Buratti	ITA
1956	Nino Defilippis	ITA
1957	F.M. Bahamontes	ESP
1958	F.M. Bahamontes	ESP
1959	Antonio Suárez	ESP
1960	Antonio Karmany	ESP
1961	Antonio Karmany	ESP
1962	Antonio Karmany	ESP
1963	Julio Jiménez	ESP
1964	Julio Jiménez	ESP
1965	Julio Jiménez	ESP
1966	Gregorio San Miguel	ESP
1967	Mariano Díaz	ESP
1968	Francisco Gabica	ESP
1969	Luis Ocaña	ESP
1970	Agustín Tamames	ESP
1971	Joop Zoetemelk	NED
1972	José Manuel Fuente	ESP
1973	José Antonio Abileira	ESP

1974	José Antonio Abileira	ESP
1975	Andrés Oliva	ESP
1976	Andrés Oliva	ESP
1977	Pedro Torres	ESP
1978	Andrés Oliva	ESP
1979	Felipe Yáñez	ESP
1980	Juan Fernández	ESP
1981	José Luis Laguía	ESP
1982	José Luis Laguía	ESP
1983	José Luis Laguía	ESP
1984	Felipe Yáñez	ESP
1985	José Luis Laguía	ESP
1986	José Luis Laguía	ESP
1987	Luis Herrera	COL
1988	Álvaro Pino	ESP
1989	Óscar Vargas	COL
1990	José Martín Farfán	COL
1991	Luis Herrera	COL
1992	Carlos Hernández	ESP
1993	Tony Rominger	SUI
1994	Luc Leblanc	FRA
1995	Laurent Jalabert	FRA

1996	Tony Rominger	SUI
1997	José María Jiménez	ESP
1998	José María Jiménez	ESP
1999	José María Jiménez	ESP
2000	Carlos Sastre	ESP
2001	José María Jiménez	ESP
2002	Aitor Osa	ESP
2003	Félix Cárdenas	COL
2004	Félix Cárdenas	COL
2005	Joaquim Rodríguez	ESP
2006	Egoi Martínez	ESP
2007	Denis Mieńszow	RUS
2008	David Moncoutié	FRA
2009	David Moncoutié	FRA
2010	David Moncoutié	FRA
2011	David Moncoutié	FRA
2012	Simon Clarke	AUS
2013	Nicolas Edet	FRA
2014	Luis León Sánchez	ESP
2015	Omar Fraile	ESP
2016	Omar Fraile	ESP
2017	Davide Villella	ITA

2018	Thomas De Gendt	BEL
2019	Geoffrey Bouchard	FRA

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI PUNKTOWEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
1945	Delio Rodríguez	ESP
1955	Fiorenzo Magni	ITA
1956	Rik Van Steenbergen	BEL
1957	Vicente Iturat	ESP
1958	Salvador Botella	ESP
1959	Rik Van Looy	BEL
1960	Arthur Decabooter	BEL
1961	Antonio Suárez	ESP
1962	Rudi Altig	GER
1963	Bas Maliepaard	NED
1964	José Pérez Francés	ESP
1965	Rik Van Looy	BEL
1966	Jos van der Vleuten	NED
1967	Jan Janssen	NED
1968	Jan Janssen	NED
1969	Raymond Steegmans	BEL
1970	Guido Reybrouck	BEL

1971	Cyrille Guimard	FRA
1972	Domingo Perurena	ESP
1973	Eddy Merckx	BEL
1974	Domingo Perurena	ESP
1975	Miguel María Lasa	ESP
1976	Dietrich Thurau	GER
1977	Freddy Maertens	BEL
1978	Ferdi Van Den Haute	BEL
1979	Alfons de Wolf	BEL
1980	Sean Kelly	IRL
1981	Francisco J. Cedena	ESP
1982	Stefan Mutter	SUI
1983	Marino Lejarreta	ESP
1984	Guido Van Calster	BEL
1985	Sean Kelly	IRL
1986	Sean Kelly	IRL
1987	Alfonso Gutiérrez	ESP
1988	Sean Kelly	IRL
1989	Malcolm Elliott	GBR
1990	Uwe Raab	GER
1991	Uwe Raab	GER
1992	Dżamolidin Abdużaparow	UZB

1993	Tony Rominger	SUI
1994	Laurent Jalabert	FRA
1995	Laurent Jalabert	FRA
1996	Laurent Jalabert	FRA
1997	Laurent Jalabert	FRA
1998	Fabrizio Guidi	ITA
1999	Fabrizio Guidi	ITA
2000	Roberto Heras	ESP
2001	José María Jiménez	ESP
2002	Roberto Heras	ESP
2003	Erik Zabel	GER
2004	Erik Zabel	GER
2005	Denis Mieńszow	RUS
2006	Thor Hushovd	NOR
2007	Daniele Bennati	ITA
2008	Greg Van Avermaet	BEL
2009	André Greipel	GER
2010	Mark Cavendish	GBR
2011	Bauke Mollema	NED
2012	Alejandro Valverde	ESP
2013	Alejandro Valverde	ESP
2014	John Degenkolb	GER

2015	Alejandro Valverde	ESP
2016	Fabio Felline	ITA
2017	Chris Froome	GBR
2018	Alejandro Valverde	ESP
2019	Primož Roglič	SLO

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI SPRINTERSKIEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
1961	Vicente Iturat	ESP
1962	José Segú	ESP
1963	José Segú	ESP
1964	Antonio Bertrán	ESP
1965	José Segú	ESP
1966	Domingo Perurena	ESP
1967	J.M. López Rodríguez	ESP
1968	Carlos Echeverría	ESP
1969	Raymond Steegmans	BEL
1970	Miguel María Lasa	ESP
1971	Cyrille Guimard	FRA
1972	Ventura Díaz	ESP
1973	Eddy Merckx	BEL

1974	Javier Elorriaga	ESP
1975	Fernando Mendes	POR
1976	Daniel Verplancke	BEL
1977	Freddy Maertens	BEL
1978	Bernard Hinault	FRA
1979	Roger De Cnijf	BEL
1980	Sean Kelly	IRL
1981	Hugues Grondin	FRA
1982	Benny Schepmans	BEL
1983	Sabino Angoitia	ESP
1984	Jozef Lieckens	BEL
1985	Ronny Van Holen	NED
1986	Benny Van Brabant	BEL
1987	Miguel Ángel Iglesias	ESP
1988	Miguel Ángel Iglesias	ESP
1989	Miguel Ángel Iglesias	ESP
1990	Miguel Ángel Iglesias	ESP
1991	Miguel Ángel Iglesias	ESP
1992	Antonio Esparza	ESP
1993	Hendrik Redant	BEL
1994	Mauro Radaelli	ITA
1995	Steffen Wesemann	GER

1996	Jürgen Werner	GER
1997	Mauro Radaelli	ITA
1998	Giancarlo Raimondi	ITA
1999	Robert Hunter	RSA
2000	Gianni Faresin	ITA
2001	César García Calvo	ESP

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI KOMBINOWANEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
1970	Guido Reybrouck	BEL
1971	Cyrille Guimard	FRA
1972	José Manuel Fuente	ESP
1973	Eddy Merckx	ESP
1974	José Antonio Abileira	ESP
1986	Sean Kelly	IRL
1987	Laurent Fignon	FRA
1988	Sean Kelly	IRL
1989	Óscar Vargas	COL
1990	Federico Echave	ESP
1991	Federico Echave	ESP
1992	Tony Rominger	SUI

1993	Jesús Montoya	ESP
2003	Alejandro Valverde	ESP
2004	Roberto Heras	ESP
2005	Denis Mieńszow	RUS
2006	Aleksandr Winokurow	KAZ
2007	Denis Mieńszow	RUS
2008	Alberto Contador	ESP
2009	Alejandro Valverde	ESP
2010	Vincenzo Nibali	ITA
2011	Juan José Cobo	ESP
2012	Alejandro Valverde	ESP
2013	Chris Horner	USA
2014	Alberto Contador	ESP
2015	Joaquim Rodríguez	ESP
2016	Nairo Quintana	COL
2017	Chris Froome	GBR
2018	Simon Yates	GBR

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI NA NAJWALECZNIEJSZEGO

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
2011	Adrián Palomares	ESP

2012	Alberto Contador	ESP
2013	Javier Aramendia	ESP
2014	Chris Froome	GBR
2015	Tom Dumoulin	NED
2016	Alberto Contador	ESP
2017	Alberto Contador	ESP
2018	Bauke Mollema	NED
2019	Miguel Ángel López	COL

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI MŁODZIEŻOWEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
2018	Enric Mas	ESP
2019	Tadej Pogačar	SLO

ZWYCIĘZCY KLASYFIKACJI DRUŻYNOWEJ

ROK	ZWYCIĘZCA	KRAJ
1935	Belgia	BEL
1936	Belgia	BEL
1941	Hiszpania	ESP
1942	F.C. Barcelona	ESP

1945	D.C. Manresano	ESP
1946	Hiszpania	ESP
1947	Hiszpania	ESP
1948	Hiszpania	ESP
1950	Hiszpania	ESP
1955	Francja	FRA
1956	Hiszpania	ESP
1957	Pirenaico	ESP
1958	Belgia	BEL
1959	Faema	BEL
1960	Groene Leeuw	BEL
1961	Faema	BEL
1962	Saint Raphaël-Helyett	FRA
1963	Saint Raphaël	FRA
1964	Kas	ESP
1965	Mercier-BP	FRA
1966	Kas	ESP
1967	Kas	ESP
1968	Kas	ESP
1969	Bic	ESP
1970	Werner	ESP
1971	Werner	ESP

1972	Kas	ESP
1973	La Casera	ESP
1974	Kas	ESP
1975	Kas	ESP
1976	Kas-Campagnolo	ESP
1977	Teka	ESP
1978	Kas	ESP
1979	Kas	ESP
1980	Splendor	BEL
1981	Zor-Helios-Novostil	ESP
1982	Kelme	ESP
1983	Zor	ESP
1984	Teka	ESP
1985	Zor-Gemeaz	ESP
1986	Zor-BH	ESP
1987	Ryalcao-Postobón	COL
1988	BH	ESP
1989	Kelme	ESP
1990	ONCE	ESP
1991	ONCE	ESP
1992	Amaya Seguros	ESP
1993	Amaya Seguros	ESP

1994	Banesto	ESP
1995	ONCE	ESP
1996	Polti	ITA
1997	Kelme-Costa Blanca	ESP
1998	Banesto	ESP
1999	Banesto	ESP
2000	Kelme-Costa Blanca	ESP
2001	iBanesto.com	ESP
2002	Kelme-Costa Blanca	ESP
2003	iBanesto.com	ESP
2004	C. Valenciana-Kelme	ESP
2005	Comunitat Valenciana	ESP
2006	Discovery Channel	USA
2007	Caisse d’Epargne	ESP
2008	Caisse d’Epargne	ESP
2009	Xacobeo Galicia	ESP
2010	Katiusza	RUS
2011	Geox-TMC	ESP
2012	Movistar	ESP
2013	Euskaltel-Euskadi	ESP
2014	Katiusza	RUS
2015	Movistar	ESP

2016	BMC	USA
2017	Astana	KAZ
2018	Movistar	ESP
2019	Movistar	ESP

Bibliografia

KSIĄŻKI

Arribas Carlos, *Ocaña*, Tarragona, Cultura Ciclista, 2013.

Bahamontes Federico, *La sombra del Águila, 50º aniversario del Tour 1959*, 2009.

Cánovas J.L., „Historia de un presidente", artykuł na: www.luispuig.org.

Cudeiro Óscar, *El Tarangu*, Lloviendo Letras, 2016.

Fallon Lucy, Bell Adrian, *¡Viva la Vuelta! 1935–2013*, Tarragona, Cultura Ciclista, 2014.

García David, *Nuestro ciclismo, por un equipo*, Bilbao, Libros de Ruta, 2014.

Guimard Cyrille, *Metidos en carrera*, Tarragona, Cultura Ciclista, 2013.

Martín López Bernat, „The failed Vuelta of 1913 and the Lauching of the Volta a Catalunya (1911–1913)" w: *Sport in History*, Volumen 30, issue 4, 2010.

Moncoutié David, *Ma liberté de rouler*, Saint-Malo, Cristel, 2014.

Moore Richard, *Sky's the limit*, London, Harper Sport, 2011.

MEDIA

TVE, Eurosport, Mediaset, ETB, Radio Nacional, Radio Marca, COPE, SER, Onda Cero, Agencia Mencheta, Europa Press, Agencia EFE, „ABC", „La Vanguardia", „El País", „El Mundo", „El Diario Montañés", „Informaciones", „Marca", „AS", „L'Auto", „Dicen", „El Mundo Deportivo", „La Opinión de Málaga", „Diario Sur", „Deia", „El Correo", „Diario Vasco",

„Noticias de Navarra”, „La Razón”, „El Comercio”, „Sport”, „Jot Down”, „La Gazzetta dello Sport”, „Ciclismo a Fondo”, „Bicisport”, Cyclingnews.com, Ctxt.es, Raulgomezsamperio.com, Joanseguidor.com, Bidonmagazine.org, Bicicíclismo.com, Desdelacuneta.com, Moncout.blogspot.com.

INNE

Lavuelta.com
Twitter
Instagram
YouTube
Wikipedia
CQ Ranking
ProCyclingStats

Gustaaf Deloor – pierwszy zwycięzca Vuelty w 1935 roku
Fot. Wikimedia Commons / domena publiczna

Mariano Canardo (z lewej), drugi kolarz klasyfikacji generalnej Vuelty w 1935 roku
Fot. Austrian Archives/Imagno/GettyImages

Federico Bahamontes, „Orzeł z Toledo”, jedna z najwybitniejszych postaci hiszpańskiego kolarstwa
Fot. KEYSTONE-FRANCE/Gamma-Rapho/Getty Images

Raymond Poulidor, zwycięzca Vuelty w 1964 roku
Fot. RogerViollet/GettyImages

Roger Pingeon, triumfator wyścigu w 1969 roku
Fot. KEYSTONE-FRANCE/Gamma-Rapho/GettyImages

BiC
BiC
BiC
BiC

Luis Ocaña, triumfator Vuelty w 1970 roku
Fot. Universal/Corbis/VCG/GettyImages

Eddy Merckx na najwyższym stopniu podium Vuelty w 1973 roku
Fot. PA Images/GettyImages

Pedro Delgado, dwukrotny triumfator Vuelty, kochany zwłaszcza za agresywny styl jazdy
Fot. NUTAN/Gamma-Rapho/GettyImages

Banesto
Banesto
Banesto
Banesto
TVT 92
Castelli
25

Miguel Indurain, jeden z najwybitniejszych hiszpańskich kolarzy, który jednak nigdy nie wygrał Vuelty
Fot. David Worthy/EMPICS/GettyImages

Alberto Contador, trzykrotny zwycięzca Vuelty
Fot. Tim de Waele/GettyImages

Roberto Heras, czterokrotny triumfator klasyfikacji generalnej
Fot. Tim de Waele/GettyImages

SAXO
Tinkoff
SAXO BANK
Tinkoff-SAXO

Rafał Majka w walce o trzecie miejsce klasyfikacji generalnej Vuelty w 2015 roku
Fot. Tim de Waele/Corbis/GettyImages

Rafał Majka na podium klasyfikacji generalnej Vuelty w 2015 roku
Fot. Nur Photo/NurPhoto/GettyImages

Alejandro Valverde – jeden z najwybitniejszych kolarzy w historii, ma na koncie tylko jeden wygrany Grand Tour: Vuelta a España w 2009 roku

Fot. Tim de Waele/Corbis/GettyImages

Tomasz Marczyński, dwukrotny zwycięzca etapowy Vuelty w 2017 roku
Fot. Tim de Waele/Corbis/GettyImages

Primož Roglić, zwycięzca Vuelty w 2019 roku, a w przeszłości...
skoczek narciarski
Fot. Justin Setterfield/GettyImages

[1] Generalitat de Catalunya – rząd Katalonii [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] „Cara al Sol” – hymn hiszpańskiej Falangi.

[3] Euskadi Ta Askatasuna – Kraj Basków i Wolność; baskijska organizacja terrorystyczna istniejąca w latach 1959–2018 (w 2011 ogłosiła ostateczne zakończenie działań zbrojnych).

[4] Televisón Española – telewizja publiczna.

[5] Nawarra obejmuje część historycznego Kraju Basków, ale nie należy do jego wspólnoty autonomicznej.

[6] Wspinaczka na Naranco; zwykle jednodniowy wyścig organizowany od 1941 roku, w 2011 został włączony do wyścigu Dookoła Asturii.

[7] Wyścig rozgrywany od 1952 roku na terenie Kraju Basków. Od 1991 roku był organizowany pod nazwą Euskal Bizikleta (Baskijski Rower), z powodu problemów finansowych w 2009 roku został włączony do wyścigu Dookoła Kraju Basków.

[8] Żółta koszulka, na wzór Tour de France, obowiązywała między 1955 a 1998 rokiem (z wyjątkiem edycji z 1977); w latach 1999–2009 lider Vuelty jeździł w złotej koszulce, a począwszy od 2010 – w czerwonej.

[9] Przedsiębiorca, polityk, w latach 1987–2003 prezes klubu Atlético Madryt.

[10] Wyścig organizowany w Asturii w latach 1965–1997.

[11] Mianem „skarabeuszy” określani są kolarze z Kolumbii, górale, którzy na podjazdach przypominają pracowite żuki.

[12] Hiszpańskie przedsiębiorstwo kolejowe.

[13] Odniesienie do Tour de France 1998, któremu towarzyszyły afery dopingowe.

[14] Mowa o Alberto Contadorze podczas Vuelty w 2012 roku.

[15] Wówczas przewodniczący PP (Partii Ludowej), a w latach 2011–2018 premier Hiszpanii.

[16] W październiku 2012 roku UCI poprosiła o przeprowadzenie postępowania dyscyplinarnego przeciwko Barredo, opierając się na nieprawidłowościach w jego paszporcie biologicznym, a dokładniej wynikach badań krwi z lat 2007–2011. Dwa miesiące później Barredo ogłosił, że kończy karierę. W 2014 roku UCI zawiesiła go na dwa lata (mimo że już nie startował) i anulowała wszystkie wyniki od października 2007 do września 2011 roku.

[17] Bilbainada – wielkie dokonanie mieszkańca Bilbao lub okolic.

[18] Nawiązanie do hiszpańskiego piosenkarza o takim pseudonimie.

[19] Galicja jest znana jako Kraina Czarownic.

[20] Przylądek Finisterre; finis terrae oznacza po łacinie koniec ziemi; miejsce to nazywane jest końcem świata.

[21] Triumfator tamtej edycji Tour de France, Amerykanin Floyd Landis, został pozbawiony tytułu po pozytywnym wyniku testu antydopingowego.

Historias de La Vuelta

Copyright © Álvaro Calleja
Copyright © del prólogo, Alberto Contador
Copyright © Ediciones JC 2018
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020
Copyright © for the Polish translation by Barbara Bardadyn 2020

Redakcja i korekta – Grzegorz Kaczmarzyk, Grzegorz Krzymianowski
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik
Fotografia na I stronie okładki – Tim de Waele / Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.
Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020
ISBN EPUB: 978-83-8129-511-6
ISBN MOBI: 978-83-8129-510-9

Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:
Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka
Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatek, Tomasz Czernich, Lucyna Byrdy
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak
E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś
Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Wyścig, którym należy się cieszyć. Alberto Contador
Zapomniany ojciec i tragiczny bohater
Zerwanie narodowego układu
Wyścig pośród niepewności i bomb
Łzy Costy i szczęście Langariki
Legendarna rywalizacja
Charakter Pepe i nieczyste zagranie
Prezent dla Poulidora
Na przekór logice
Wreszcie „Kanibal”
Batalie „Borsuka” i „gówniany mistrz”
Nadal nierozwiązana tajemnica
Tragedia Alberto Fernándeza
Przywileje i perypetie
Zachwyt nad „Perico”
Upadek, który przeszedł do historii
Miłość i nienawiść
Poważny i sympatyczny
„Bomba” Belokiego
Ręcznikowa banda
Niewidzialny zjazd
Francuski miłośnik hiszpańskich gór
Odrodzenie
Prorocy na swojej ziemi
Najdziwniejszy kolarz
„Dziadek”, który opychał się hamburgerami
Wyczyn Fabio
Pomysły Alejandro
Legenda „Pistolero”
Opowieści z gór: „Nie jesteśmy zwierzętami!”.

Kolarska rodzina
Statystyki
Bibliografia
Zdjęcia
Strona redakcyjna

STO EDYCJI, TYSIĄCE KOLARZY – WYŚCIG, KTÓRY ZJEDNOCZYŁ WŁOSKI NARÓD.

Giro d'Italia to obok Tour de France najbardziej prestiżowa kolarska rywalizacja świata. W tej książce Colin O'Brien przedstawia ponad stuletnie dzieje nieprzewidywalnego wyścigu, który świetnie komponuje się z bezgraniczną pasją i ekstremalnymi skrajnościami Włoch.

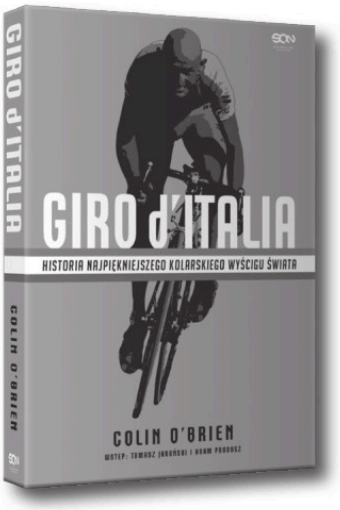

POCZUJ MAGIĘ NAJPIĘKNIEJSZEGO KOLARSKIEGO WYŚCIGU ŚWIATA!

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN
10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

WITAJ W ŚWIECIE JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH KOLARZY W HISTORII!

W autobiografii Peter Sagan uchyla kurtynę świata kolarstwa, pozwalając zajrzeć za jego kulisy. Ale nie tylko. Peter wprowadzi cię do kręgu swoich najbliższych przyjaciół, pokazując przede wszystkim to, jak w pogoni za kolejnymi zwycięstwami udało mu się pozostać normalnym i wyluzowanym człowiekiem.

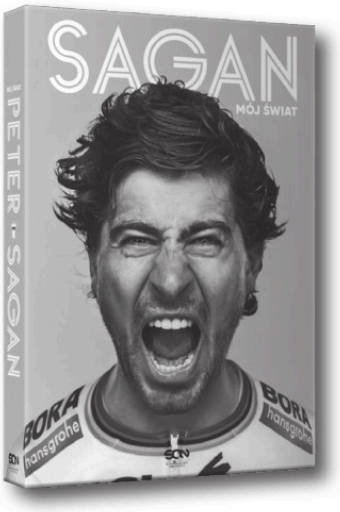

TA KSIĄŻKA TO SMAKOWITY KĄSEK DLA WSZYSTKICH FANÓW KOLARSTWA

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN
10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

ETAPY, KTÓRE PRZESZŁY DO HISTORII

Legendarny wyścig Tour de France oczami jego bohaterów. Wyjątkowe wywiady z udziałem Marka Cavendisha, Lance'a Armstronga, Eddy'ego Merckxa, Bernarda Hinaulta, Grega LeMonda, Davida Millara, Chrisa Boardmana i wielu innych kolarzy. Ta książka to sześć dekad ukazujących tajemnicę, piękno i szaleństwo najtrudniejszego na świecie wyścigu kolarskiego.

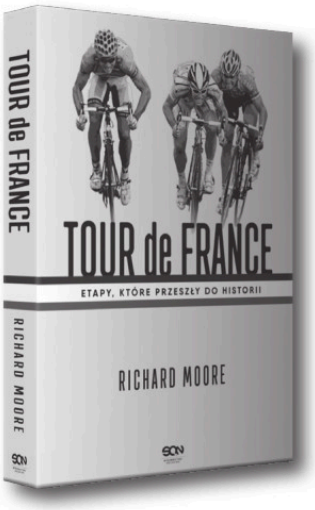

DRAMATYCZNE WYPADKI, TAKTYCZNE MAJSTERSZTYKI, NIESPODZIEWANE PORAŻKI I ZWYCIĘSTWA, KTÓRE NIE MIAŁY PRAWA SIĘ ZDARZYĆ!

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN
10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki. W 2020 roku obchodzimy okrągłe urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN

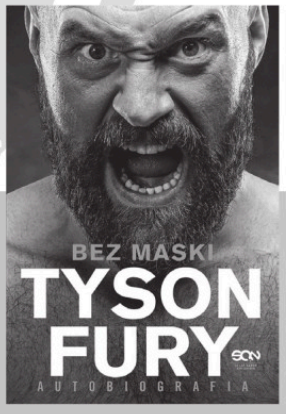

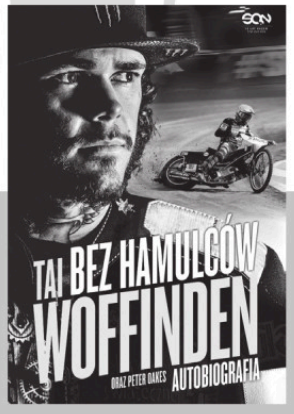

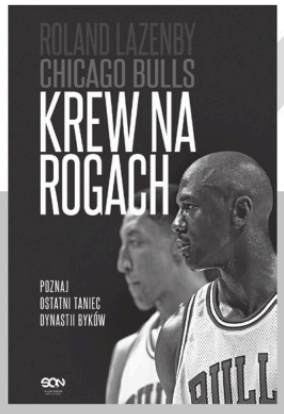

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl